LUBLIN

kultura i społeczeństwo

nr 5 (96) Rok XVI
wrzesień-październik 2019

Specjalizacja, 2019 r.

Specjalizacja, 2019 r.

Syn marnotrawny

Józef Łobodowski

Z czarną nocą się objął i szedł,
zasłuchany w burz prorocze tętenty
naświstywał na flet
każdy sen, z gniewnej pychy poczęty.

W burych łunach odgadnąć chciał świt,
by mu oczy poraził i rozciął,
i wyćwiczył nad gwar ziemskich bitw
nietutejszą miłością.

Nie mógł wyrwać sę z ramion złych lat
i, o ziemi nazbyt wiele pomnąc
próżno serce wystawiał na wiatr
pod tą nocą ogromną.

Nad rozlewem spokojnych wód
oczekiwał go sześcioskrzydły Archanioł,
lecz szalony dalej się wiódł,
szukał burzy i w nocy szedł za nią.

W krwawych broni spiżowy chrzęst
wciąż wsłuchiwał się z trwogą i żalem,
powierzając dzieje swych klęsk
czyhającym na pustyni szakalom.

Aż na brzegu obejrzał się wstecz,
jakby zboczyć nareszcie był gotów.
Krwawa zorza, jak miecz,
Zagrodziła mu drogę powrotu.

I spojrzały nań groźnie
oczy, gęstwą i mułem zarosłe,
i milczący przewoźnik
z burty łodzi potrącił go wiosłem.

LUBLIN
KULTURA I SPOŁECZEŃSTWO
Dwumiesięcznik
Środowisk Twórczych

Wydawca:
Lubelski Oddział
Stowarzyszenia Pisarzy Polskich
20-112 Lublin, Złota 3
FUNDACJA Willa Polonia
20-089 Lublin, Probostwo 26

Redakcja:
Zbigniew Włodzimierz
Fronczek
(redaktor naczelny)
Jan Kondrak
Bernard Nowak
Wojciech Pestka
Henryk Radej
Stanisław Żurek
Stanisław Jan Królik
(sekretarz redakcji)
Krzysztof Wasilczyk
(fotoreporter)
Barbara Caban
(korekta)
Michał P. Wójcik
(redakcja techniczna)

Adres redakcji:
20-882 Lublin,
Organowa 1 m. 63
tel. +48 (81) 741-63-57
tel. kom. 607-222-193
e-mail: froncze@wp.pl

Skład, druk, oprawa:
Wydawnictwo Muzyczne
Polihymnia Sp. z o.o.
20-832 Lublin, Deszczowa 19
tel./fax +48 (81) 746-97-17

WWW.PISMOLUBLIN.PL

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam. Nie odsyłamy nie zamówionych materiałów. Zastrzegamy sobie prawo do redagowania i skrótów nadesłanych tekstów.

Na okładkach dzieła
Piotra Strobla

W numerze:

Syn Marnotrawny – Józef Łobodowski 3
Drodzy Czytelnicy – Redaktor 5
Kilka prywatnych refleksji o niektórych jubileuszach 2019 roku – Józef Zięba 6
Lapidaria poetyckie Józefa Łobodowskiego – Jan Sęk 13
Łobodowski znowu na Wołyniu – (red.) 16
Przypadki ciekawego życia – ks. Edward Walewander 18
Józefów trzech: Łobodowski, Zięba, Piłsudski – Zbigniew Włodzimierz Fronczek . . 24
Kostiuchnówka 34
Legiony na Wołyniu – Zbigniew Furgał 36
O *Kropce* – Bogdan Knop 38
Poetycki dialog. O tomie Wasyla Słapczuka *Kropka w środku…* –
Barbara Strzelbicka 40
Naucz mnie trawy i śniegu – Jewhen Baran 44
Ten sam kurz drogi – Wasyl Słapczuk 45
Prezydent czy kolejny sezon Sługi Narodu? Powyborczy pejzaż Ukrainy. Z Wasylem
Słapczukiem rozmawia Wojciech Pestka 69
Notatnik konsumenta – Piotr Strobel 73
Piotr Strobel – (red.) 74
Literatura polska na Litwie wczoraj i dzisiaj – Aleksander Sokołowski 75
Międzynarodowy festiwal poezji „Maj nad Wilią” – Tomasz Snarski 77
Wileński Romantyzm (wiersze) – Mirosława Bartoszewicz 80
Wilno, Kto nie czyta poezji – Agnieszka Masalytė 81
Nowa Awangarda Wileńska – literacki odcień Wilna – Agnieszka Masalytė 82
Wyznanie fałszywej zesłanki (wiersze) – Dominika Olicka 83
Robczik (fragment powieści) – Bartosz Połoński 84
Wilno moje, Biała róża (wiersze) – Krystyna Užėnaitė 86
Wiersze – Wiaczesław Zienkiewicz 88
Gra ze śmiercią (fragmenty) – Faustyna Zawalska 90
Palma wileńska (wiersze) – Alina Lassota 92
Ślad Boga. Refleksje turystyczno-pielgrzymkowe do krajów Europy Zachodniej… –
Kazimierz Przybyłko 94
Włoskie wakacje (1) – Henryk Radej 103
Lublin winem – Zbigniew Furgał 108

Projekt został zrealizowany dzięki wsparciu finansowemu Miasta Lublin i Województwa Lubelskiego.

Drodzy Czytelnicy,

Józef Łobodowski (1909–1988) wybitny poeta polski, przyjaciel Ukrainy, niestudzony i niezastąpiony tłumacz literatury ukraińskiej, od pięciu lat jest patronem międzynarodowej nagrody przyznawanej tłumaczom literatury krajów Europy Środkowej i Wschodniej oraz popularyzatorom idei pojednania między narodami. Wręczenie tegorocznych nagród odbyło się 27 września na Ukrainie, we Wschodnioeuropejskim Uniwersytecie Narodowym im. Łesi Ukrainki w Łucku, w mieście, w którym patron nagrody redagował pismo „Wołyń". Uroczyste wręczenie nagrody było jednym z punktów programu międzynarodowej sesji naukowej „Literacka spuścizna Józefa Łobodowskiego w kulturowym kontekście współczesności". Zamieszczamy informację o laureatach i uroczystości, w której wzięła udział liczna grupa naukowców, pisarzy, dziennikarzy, samorządowców z Lublina. Cieszyłem się, że wśród nich znalazł się dr Józef Zięba, znakomity poeta i prozaik urodzony na Wołyniu, w Powursku, w roku 1932, autor (m.in.) pasjonującego tomu wspomnień *Znad Stochodu*. Powursk leży na terenach walk frontowych w latach 1915–16, gdzie Legiony Polskie toczyły krwawe boje z Rosjanami. Wyprawa do Łucka stwarzała szansę odwiedzin rodzinnych stron pisarza oraz odbycia wycieczki szlakiem walk Legionistów. Udało się tę szansę wykorzystać, wróciliśmy pełni wrażeń, na stronach 24–30 niniejszego numeru znajdzie Czytelnik reportaż z wołyńskiej wyprawy.

Jednym z laureatów Międzynarodowej Nagrody Literackiej im. Józefa Łobodowskiego został ks. arcybiskup Stanisław Budzik. Arcybiskup nie mógł przybyć do Łucka, dyplom odebrał w Lubelskim Trybunale 10 października 2019 roku, w szczególnym dniu, kiedy świat obiegła informacja o Literackiej Nagrodzie Nobla dla polskiej pisarki Olgi Tokarczuk. Piękną laudację na cześć metropolity lubelskiego wygłosił ks. prof. Edward Walewander. Przytaczamy ją w całości. Uroczystość odbyła się w podniosłej atmosferze, odnotować należy poruszające wystąpienie laureata, a także błyskotliwe i erudycyjne wypowiedzi przedstawicieli lubelskiej nauki, prasy, literatury, samorządowców. Spotkanie prowadziła niezrównana Ewa Hadrian, a swoistego uroku, piękna i duchowego klimatu uroczystości przysporzył występ chóru Iubilaeum pod batutą Tomasza Orkieszewskiego. Zamieszczamy fotoreportaż z imprezy autorstwa Andrzeja Rożka.

Wasyl Słapczuk jest dzisiaj jednym z najbardziej znanych pisarzy ukraińskich w Europie. W młodości został wcielony do czerwonej armii i wysłany na front w Afganistanie. Ciężko ranny, opuszczony przez towarzyszy broni, ocalenie zawdzięcza swojej matce, która potrafiła odnaleźć go w przyfrontowym lazarecie i tylko dzięki niespotykanemu hartowi ducha, niezwykłej odwadze i desperacji dowiozła syna do szpitala. Uratowała mu życie, ale lekarze byli bezradni wobec odniesionych urazów i młody człowiek został przykuty do inwalidzkiego wózka. W roku 2012 ukazała się w Polsce pierwsza książka Wasyla Słapczuka. Powieść *Kobieta ze śniegu* przełożoną przez Iwonę Wasilewską i Wojciecha Pestkę opublikowano w serii „Biblioteka Literatur Naszych Sąsiadów" firmowanej przez Instytut Filologii Słowiańskiej UMCS i Stowarzyszenie Pisarzy Polskich w Lublinie. Tłumacze zostali uhonorowani nagrodą Józefa Łobodowskiego, zaś autor dzieła dyplomem okolicznościowym. Publikujemy obszerny fragment kolejnej powieści Wasyla Słapczuka *Ten sam kurz drogi* w przekładzie Wojciecha Pestki. Książka ukaże się niebawem w krakowskim wydawnictwie Wysoki Zamek. Wojciech Pestka jest także autorem pasjonującego wywiadu z Wasylem Słapczukiem *Prezydent czy kolejny sezon Sługi Narodu?*

Tytuł wydać się może zagadkowy, wyjaśnię więc, że przed wyborami prezydenckimi na Ukrainie w roku 2019 wielką popularnością u naszych wschodnich sąsiadów cieszył się serial komediowy Sługa Narodu, w którym Wołodymyr Zeleński odtwarzał postać najważniejszej osoby w kraju. Sytuacja z filmu powtórzyła się w życiu, aktor, który grał rolę prezydenta, jest dziś prezydentem wielkiego kraju. W drugiej turze wygrał z dotychczasowym prezydentem Petrem Poroszonko stosunkiem 73,2 do 25,3, a jego ugrupowanie zdobyło 254 mandaty i jako pierwsze ugrupowanie po roku 1991 wywalczyło bezwzględną większość w ukraińskim parlamencie.

Wasyl Słapczuk ma swoich wiernych czytelników w wielu polskich miastach, jednym z nich jest Częstochowa, którą kilkakrotnie odwiedzał. W roku 2019, dzięki staraniom Bogdana Knopa, w Częstochowie opublikowano tom wierszy Wasyla Slapczuka *Kropka w środku* w przekładzie Bohdana Zadury. Zamieszczamy relację z promocji tomu autorstwa Bogdana Knopa, publikujemy recenzje *Kropki* pióra Barbary Strzelbickiej i Jewhena Barana.

A poza tym w numerze prezentacja polskich poetów mieszkających na Litwie oraz informacje o tworzonej przez nich literaturze i organizowanych w Wilnie imprezach. Polecam także piękny szkic autorstwa Jana Sęka o lapidariach Józefa Łobodowskiego oraz relacje z wypraw do miejsc pielgrzymkowych zachodniej Europy spisaną przez Kazimierza Przybyłkę i wyprawę do Włoch zrelacjonowaną przez naszego redakcyjnego kolegę Henryka Radeja.

I do spotkania za dwa miesiące – redaktor

Józef Zięba

Kilka prywatnych refleksji o niektórych jubileuszach 2019 roku

Przed czterdziestu laty 2 czerwca 1979 roku: Na kwitnące trawy lotniska spada biały samolot włoskich linii lotniczych. Jest godzina 10.07. […] Zaczynają bić dzwony warszawskich świątyń, poczynając od tej najbliższej lotniska pw. św. Franciszka na Okęciu, aż po bazylikę Archikatedralną w sercu stolicy. Biją wraz z nimi dzwony w całej Polsce. Wita Papieża wawelski „Zygmunt", gnieźnieński „Wojciech", toruńska „Tuba Dei", gnieźnieński „Deo Gratias". Rozdzwoniły się wieże kościołów od św. Teresy w Wiżajnach i Matki Boskiej Jagodnej w Sejnach na Suwalszczyźnie po wieże w Opolnie Zdroju i Bogatyni nad Nysą Łużycką; od świątyń w Ustrzykach Dolnych i Kalwarii Pacławskiej w Bieszczadach po świątynie św. Stanisława w Wolinie i Najśw. Marii Panny, Gwiazdy Morza, w Świnoujściu. Dzwony dzwonom przekazują ten historyczny moment…

(*Pielgrzymka do ojczyzny. Przemówienia i homilie Ojca Świętego Jana Pawła II*. Wstęp. Diariusz i aneksy Ada i Zdzisław Szubowie. Fotografie barwne Ryszard Rzepecki. Instytut Wydawniczy PAX 1982.)

We drzwiach samolotu pojawił się uśmiechnięty, w bieli, rozłożył w geście powitania ręce, pochylił się, ucałował ziemię. Wszystkie polskie dzwony obwieściły Jego zwycięstwo z podzwonnym dla tych, którzy wierzyli w skuteczność przemocy. Jednym gestem zostali obezwładnieni. Złożyli broń. Nie wytoczyli armat, nie wyprowadzili na ulice czołgów.

System oparty na przemocy i strachu w jednym momencie się zawalił. Zniewolony naród usłyszał: – Nie bójcie się! – Przestali się bać nie tylko zgromadzeni na placu Zwycięstwa, których umocnił słowami modlitwy: Niech zstąpi Duch Twój i odnowi oblicze ziemi – tej ziemi.

Były jeszcze kolejne spotkania: 4–6 czerwca w Gnieźnie i Częstochowie, gdzie Ojciec Święty spotkał się podczas Mszy św. na Jasnej Górze z pielgrzymami z Dolnego, Górnego Śląska, Zagłębia i z młodzieżą. W Częstochowie mówił o prawie narodu do wolności. Od 7 do 10 czerwca kolejne wizyty: w sanktuarium Kalwarii Zebrzydowskiej, Wadowicach, w obozie zagłady Auschwitz, Msza św. dla ludzi gór w Nowym Targu, spotkanie z młodzieżą na Skałce, wizyta w opactwie w Mogile (Nowej Hucie – mieście budowy socjalizmu) i 10 VI na Błoniach w Krakowie. Kilkanaście milionów Polaków uczestniczyło w tych spotkaniach. Wszyscy bez lęku, umocnieni i z wiarą zwycięstwa wracali do swoich domów i zakładów pracy.

Z historycznego znaczenia tego wydarzenia zdawał sobie sprawę również profesor Henryk Jabłoński, człowiek uczony, historyk, wówczas Przewodniczący Rady Państwa. Mówił: „Witam Waszą Świątobliwość w imieniu najwyższych władz państwowych i obywateli Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej w jej stolicy – drogiej wszystkich Polaków Warszawie. Czyniąc to, zdaję sobie sprawę z wyjątkowego charakteru tej uroczystej chwili i jej znaczenia". Nie był jasnowidzem i nie przewidział, że równo za dziesięć lat, też w czerwcu, bez bicia dzwonów zakończy żywot Polska Rzeczpospolita Ludowa.

Nie zdołał jej ocalić zdesperowany generał Jaruzelski, który na ulice wyprowadził czołgi. Wkrótce zawalił się też bez huku armat mur berliński.

Po trzydziestu latach obchodzono w Gdańsku skonfliktowany jubileusz zwycięstwa i powrotu demokracji. Zwolennicy „dziejowej sprawiedliwości" nie byli usatysfakcjonowani. Nie mieli bowiem okazji świętowania uwieńczonego kilkudziesięcioma wisielcami „triumfu chwały", a może jeszcze jednej bohaterskiej narodowej klęski.

Lublin ma szczególne powody szczycić się z udziału w tych historycznych wydarzeniach. Jak wiadomo, Karol Wojtyła od 1957 roku wykładał na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Nie zezwolono mu jednak, aby odwiedził nasze miasto w czasie pierwszej pielgrzymki. Obawiano się, by Jego głos nie przedostał się przez kordon niedalekiej, „bratniej granicy" i nie zakłócił snu drzemiącego za miedzą niedźwiedzia. Wkrótce i on się obudził w innej rzeczywistości…

Rocznica czterdziestolecia jest i moją prywatną rocznicą. Wymieniam ją więc w pierwszej kolejności. Karol Wojtyła, to poeta i wieloletni profesor mojej Uczelni. W czasie 50-lecia KUL pierwszy raz widziałem i podziwiałem dwu kroczących obok siebie kardynałów. Teraz oglądam ich złączonych w pomniku na dziedzińcu Uniwersytetu.

Spotkanie z Papieżem Janem Pawłem II na KUL-u 10 czerwca 1987 roku

Po czterdziestu latach trudno mi się usprawiedliwiać, czemu nie uczestniczyłem w historycznym wydarzeniu na placu Zwycięstwa. Mam do dziś z tego powodu wyrzuty sumienia. Nie uspokaja go udział w sześciu kolejnych z Janem Pawłem pielgrzymkowych spotkaniach: w Krakowie, Lublinie, w Siedlcach i Warszawie, a nawet to najważniejsze – uczestniczenie w 1983 roku we Mszy Świętej w papieskiej kaplicy i udział w prywatnej audiencji lubelskiego Duszpasterstwa Środowisk Twórczych, w czasie której zostały wręczone, oprawione w białą skórę, z mojej inicjatywy wydane, *Trzy poematy* Karola Wojtyły, jak i w 2014 roku wydany dla upamiętnienia Kanonizacji poemat: *Był Człowiek, w którym moja ziemia ujrzała, że jest związana z niebem*. – Postulowałem tam, aby obok św. Stanisława ze Szczepanowa Jan Paweł II został ogłoszony Patronem Polski. (Wierzę, że już nim jest, a oficjalne potwierdzenie w swoim czasie nastąpi.)

Wśród jubileuszy 2019 roku, ten, czterdziestolecia pierwszej pielgrzymki Jana Pawła II do Polski uważam za najważniejszy, gdyż od niej się wszystko zaczęło, a: „Oddziaływanie pontyfikatu Jana Pawła II na Kościół i świat wciąż trwa. Być może przyszłe pokolenia będą czerpać inne treści z dziedzictwa św. Jana Pawła II, aniżeli te, które porywały i inspirowały ludzi, którym przypadło żyć we wspaniałej epoce pontyfikatu Papieża znad Wisły". (Ks. prof. Alfred Marek Wierzbicki) – Miałem szczęście żyć w tej wspaniałej epoce.

II

Rok 2019 uchwałą Sejmu Rzeczpospolitej Polskiej został ustanowiony Rokiem Unii Lubelskiej.

Niezwykły to jubileusz dla Polski, a w szczególności dla Lublina, gdyż nigdy przedtem ani potem nie zdarzyło się, by Lublin przyjmował w swoich murach tak licznych i dostojnych gości. A nie był to przecież zjazd i sejm jednodniowy, trwał bowiem z dramatycznymi momentami ponad siedem miesięcy, od przyjazdu króla w końcu grudnia 1568, do połowy sierpnia roku następnego.

Pieczętował, ale nie rozwiązywał, bo nie był w stanie rozwiązać, wszystkich problemów „Obojga [politycznych] Narodów". Dziś już kilku niepodległych, sąsiadujących o miedzę państw, z którymi też z trudem próbujemy rozwiązywać wiele spraw nie rozwiązanych od czasów Unii.

Lublin w kilkusetletnim unijnym procesie odgrywał szczególną rolę.

Już 15 kwietnia 1383 roku (ponad dwa lata przed podpisaniem układu w Krewie) Jagiełło wydał przywilej, „naszym drogim mieszczanom lubelskim", umożliwiający prowadzenie handlu w granicach Wielkiego Księstwa. (Kupcy lubelscy, jako pierwsi, przecierali przedunijne szlaki.) 2 lutego 1386 roku na zamku w Lublinie odbyła się elekcja Jagiełły. (Przed chrztem, 15 lutego w Krakowie i trzy dni później zawartym ślubem z dwunastoletnią Jadwigą i 4 marca, koronacją.) Po 183 latach różnie układającego się związku, przed groźbą jego zerwania, postanowiono w Lublinie obradować i pertraktować.

Mimo dramatycznych napięć i sporów doszło do porozumienia i podpisania Unii, która w świadomości i podświadomości „Obojga [politycznych] Narodów" z tragicznymi zdarzeniami i konfliktami przetrwała, gdyż, jak stwierdził prof. Jerzy Kłoczowski: „szeroko pojęta ewolucja społeczeństw Królestwa i Wielkiego Księstwa stanowiła podstawę do związku istotnie bliskiego, bez porównania głębszego od więzi dynastycznej i bezpośrednich interesów".

Po 450 latach w Lublinie uznano, że: […] Trzeba […] zastanowić się ponownie nad oceną Unii, spojrzeć na te →

wydarzenia w szerokiej perspektywie uwzględniającej racje wszystkich narodów zamieszkujących dziś ziemie dawnej Rzeczypospolitej, raz jeszcze i na nowo rozważyć rozmaite konsekwencje roku 1569, przemyśleć i przypomnieć jego dziedzictwo. [*450 lat Unii Lubelskiej 1569-2019* – folder] Problematykę tę podjął obradujący od 13 do 15 maja „Kongres Dwóch Unii. Debaty o Polsce i Europie".

Grono poważnych i mądrych osób przedstawiło i zastanawiało się, jak rozwiązać wiele sięgających jeszcze czasów Unii, a ciągle aktualnych i trudnych problemów.

Pan prezydent Krzysztof Żuk, przy okazji organizacji Kongresu stwierdził, że: „unia zawarta 450 lat temu w Lublinie, która stanowi ważne dziedzictwo europejskie i może być prototypem w budowaniu federacji państw i społeczeństw obywatelskich".

Już w dniu 22 lutego jubileuszowego roku okazało się, że „budowanie federacji państw i społeczeństw obywatelskich" trudno zrealizować nawet na własnym, lubelskim placu Litewskim.

W dniu tym gościł Lublin troje prezydentów, dawnych „Obojga [politycznych] Narodów". Dwoje przybyło na plac Litewski przed pomnik Unii Lubelskiej. W imieniu Polski i Litwy złożono wieńce. Pochylono głowy bez deklaracji rozwiązania problemów wynikających z aktualnych stosunków obydwu państw i narodów.

Przy składaniu wieńców nie było goszczącego w tym dniu w Lublinie, ówczesnego prezydenta Ukrainy pana Poroszenki. Nie było też, miejscowego gospodarza, też prezydenta, pana Krzysztofa Żuka. – Czy ma to być „prototyp budowania federacji państw i społeczeństw obywatelskich"?

Lublin na własnym podwórku zrealizował: Przygotowywany z tej wyjątkowej okazji program obchodów „Od Unii Lubelskiej do Unii Europejskiej", [który] obejmował organizację m.in. szereg wydarzeń kulturalnych, koncertów, wystaw, spektakli i konferencji […] 15-lecie wstąpienia Polski do Unii Europejskiej (1 maja) oraz 450-lecie podpisania Unii Lubelskiej (1 lipca).

Do bogatego programu obchodów dołączyłem wydaną, przy życzliwości pana Tomasza Orkiszewskiego, prezesa Wydawnictwa „Polihymnia", *Opowieść o Unii Lubelskiej i Hołdzie Pruskim w Lublinie*.

III

Przed 140 laty Jan Matejko z okazji trzechsetnej rocznicy „Unii Lubelskiej" przedstawił własną wizję tego wydarzenia. Jego monumentalny obraz eksponowany w Muzeum Lubelskim i reprodukowany w tysiącach ilustracji, chociaż nijak się ma do rzeczywistości, zawładnął historyczną wyobraźnię Polaków.

Nawiązując do innego obrazu Jana Matejki w tym samym 1869 roku ukazała się w krakowskim „Przeglądzie Polskim" Teka Stańczyka. Była organem krakowskich konserwatystów, którzy postanowili po klęsce Powstania Styczniowego krytycznie i sceptycznie przyjrzeć się i ocenić dzieje Polski, w tym i Unii Lubelskiej. – Nie była to już tak okazała i kolorowa refleksja.

Polskie społeczeństwo po nieudanym, krwawo stłumionym patriotycznym zrywie pozostawało pod okupacją trzech zaborców. Do Galicji przybyli działacze, którzy próbowali tworzyć organizacje konspiracyjne zmierzające do wywołania nowego powstania. Józef Szujski, jak i podzielający jego poglądy „stańczycy", kwestionowali konspirację jako myślenie o niepodległym bycie narodu. Twierdzili, że „liberum veto" przekształciło się w „liberum conspiro". Szujski ironizował: Krzycz i demonstruj, żeś Polak, bo przestaniesz być Polakiem.

„Stańczycy" ostrzegali przed podejmowaniem nieprzygotowanych racjonalnie, pobudzanych emocjami, patriotycznych zrywów skazanych z góry na niepowodzenie. Wskazywali na konieczność przebudowy politycznego myślenia w celu uzyskania wzrostu siły nie tylko elit, ale szeroko rozumianego polskiego społeczeństwa. Podzielali i kontynuowali te poglądy, podejmujący „pracę organiczną i od podstaw", warszawscy pozytywiści, jak i pozostający pod pruskim zaborem poznaniacy oraz śląscy działacze oświatowi.

We wszystkich trzech zaborach mozolna i mało spektakularna działalność jednoczyła i przygotowywała szerokie kręgi polskiego społeczeństwa, by w sprzyjających okolicznościach podjąć walkę o odzyskanie niepodległości. Służył temu też często wyśmiewany adres Sejmu Krajowego Galicji skierowany do cesarza Franciszka Józefa: „Przy tobie Najjaśniejszy Panie, stoimy i stać chcemy". Był to też taktyczny program „stańczyków". Przyniósł autonomię Galicji, umożliwiając otwartą działalność patriotyczną i narodową. Galicja stała się azylem dla nieuznających kompromisów konspiratorów, którzy mogli przygotowywać się do podjęcia otwartej walki o niepodległość.

„Teka Stańczyka" przestała się ukazywać w 1914 roku, kiedy Józef Piłsudski wyruszył z Oleandrów na czele Pierwszej Kadrowej. Jego marsz byłby tylko donkiszoterią i jeszcze jednym powodem do obchodów kolejnej „bohaterskiej klęski", gdyby nie kilkudziesięcioletni wysiłek tych, którzy podjęli trud przygotowania do niepodległości szerokich warstw polskiego społeczeństwa.

Z obrazem Jana Matejki wzbogaconym hasłem: Od Unii Lubelskiej do Unii Europejskiej i nieco zmodyfikowaną deklaracją krakowskich konserwatystów: Przy tobie Najjaśniejsza[y] Pani[e] [Unio Europejska] stoimy i stać chcemy, obchodziliśmy 450-tą szacowną rocznicę. – Już prawie nikt się tej „wznowionej", galicyjskiej deklaracji nie

wstydzi. Przez piętnaście lat czerpiemy bowiem z obecności w Unii Europejskiej widoczne korzyści i zyski. Jeszcze tylko „prawdziwi patrioci" ubolewają nad utratą przez Polskę niepodległości i suwerenności.

Piętnastolecie jest konsekwencją trzydziestolecia. – To okazja do licytowania „zasług", wypinania na medale i ordery piersi, wynoszenia na piedestał, lub zdejmowania z pomników tamtych wydarzeń bohaterów.

Uczestnicy „konspiry" są pewni skuteczności własnej, niedocenianej, pełnej poświęcenia walki. Ich przeciwnicy przywołują „żołnierzy wyklętych" i bohaterów Warszawskiego Powstania twierdząc, że tylko oni „szlachetni i niezłomni" przekazali potomnym depozyt patriotyzmu i niepodległości. Szujski miałby okazję, by ironizować: „Krzycz i demonstruj, żeś Polak, bo przestaniesz być Polakiem".

Galicyjscy stańczycy z krytyczną powściągliwością, zwracaliby uwagę, że bez społecznego wsparcia solidarnościowi konspiratorzy niewiele potrafiliby zdziałać, a walczący i kryjący się w lasach bohaterowie, korzystając z upokarzającej amnestii musieli złożyć broń. Inni zapełnili więzienne cele lub zostali ukryci w bezimiennych mogiłach.

Rocznica trzydziestolecia to też dobra okazja do podziału politycznych zdobyczy i łupów oraz do wydobywania z archiwów IPN „teczek", oskarżeń i „rozliczeń". Radykałowie są zawiedzeni, bo obyło się bez zapachu krwi i efektownych spektakli z wieszaniem „zamiast liści". – Podejrzliwi posądzają o zmowę i zdradę.

– Malkontenci, że nie wyzyskano należycie dziejowej okazji.

– Pokrzywdzeni przy podziale łupów z nienawiścią patrzą na tych, którym się udało; zajmują wysokie stanowiska i jeżdżą luksusowymi samochodami…

W 2019 roku wszyscy, niezależnie od poglądów, mają możność spożywać owoce z zakazanego przez dziesięciolecia drzewa wiadomości dobrego i złego: demokracji, wolności i niepodległości.

W czasie obrad lubelskiego Kongresu „Od Unii Lubelskiej do Unii Europejskiej" zastanawiano się, czy Rzeczpospolita Obojga [politycznych] Narodów i Unia Europejska jest obciążeniem, wyzwaniem, czy zobowiązaniem?

IV

Było to około jedenastej. Do sklepu wędliniarskiego moich rodziców przyszła ze służącą Ula, córka pana Majora. Służąca robiła spore zakupy, a Ula nieco zdziwiona: – To państwo jeszcze się nie pakujecie? My wyjeżdżamy, bo o godzinie piątej będzie bombardowanie Powurska.

Rodzice zajęci sprzedażą i obsługiwaniem licznych klientów, bo przybyło już sporo uciekinierów, nie zwrócili uwagi na informację Uli. Jedynie ja na serio i poważnie przyjąłem wiadomość, gdyż Ula o dwa, a może trzy lata starsza, była dla mnie niekwestionowanym autorytetem.

Pierwszego września po raz pierwszy poszedłem do szkoły. Przed rozpoczęciem lekcji dotarła wiadomość, że rozpoczęła się wojna. Wojna przypominała trochę dziecięcą zabawę, bo nieraz z chłopakami bawiliśmy się w wojnę. Teraz też pan Nowacki i uczniowie z siódmej klasy kopali na boisku rowy, „schrony". Kiedy dokopali się do żółtego piachu zazdrościliśmy im tej nowej, wojennej zabawy. Mieliśmy się w tych „schronach" kryć, gdyby nadleciały samoloty. Nie było takiej potrzeby, bo tylko gdzieś z daleka dochodziły odgłosy bombardowań i po kilku dniach przestaliśmy chodzić do szkoły.

Upatrzyłem wśród chaszczy obrastających suchy o tej porze rów melioracyjny i z niecierpliwością co jakiś czas spoglądałem na wolno przesuwające się wskazówki zegara.

O wpół do piątej zająłem obserwacyjne stanowisko na stosie bali i desek, które ojciec zgromadził na budowę stajni. Trochę nudząc się wypatrywałem samolotów, które miały nadlecieć od zachodniej strony. Wreszcie dotarł daleki pomruk silników i wkrótce pojawiły się nad torami wiodącymi do Kowla, Lublina i Warszawy trzy powiększające się krzyżyki. Nie miałem wątpliwości.

Kiedy dopadłem do upatrzonego wcześniej miejsca, przeraziło wycie nisko przelatujących maszyn i poprzedzane grzechotem i gwizdem grzmoty kolejnych wybuchów. Byłem pewny, że wszystkie spadają na moje plecy. – Omijały, drżała tylko przerażona ziemia.

– W dniu tym, w Lublinie pod gruzami kamienicy zginął Józef Czechowicz. – Nie ostrzegła go Ula, córka dowódcy wołyńskiego garnizonu i poligonu. – Ja tylko w tym dniu zostałem pozbawiony beztroskiego dzieciństwa.

Po osiemdziesięciu latach ciągle się zastanawiam, od kogo pan Major otrzymał wiadomość? – Reszta: sowiecka i niemiecka okupacja, pozostawiony na Wołyniu rodzinny dom, ucieczka przed rzezią i Polska Ludowa, to już tylko historia.

Pozostała mi jeszcze prywatna refleksja nad czasem, który mija i wydana dla upamiętnienia rocznicy powieść: *Epitafium dla bohatera*.

V

Wskrzesiciel narodu –
Z matki obcej; krew jego dawne bohatery,
A imię jego będzie czterdzieści i cztery.

Panie! Czy przyjścia jego nie raczysz przyśpieszyć?
Lud mój pocieszyć? –
Nie! Lud wycierpi. – Widzę ten motłoch – tyrany,
Zbójce biegą – porwali – mój Naród związany
Cała Europa wlecze, nad nim się urąga –

→

W roku jubileuszy są też trzy półokrągłe, siedemdziesiąte piąte rocznice: – maj – Monte Cassino; lipiec – PKWN i sierpień – Powstanie Warszawskie. – Wszystkie ważne, wieszczone przez Adama Mickiewicza – romantyczne, narodowe i historyczne.

„Dawne bohatery" spoczywają na czele ze swym dowódcą w równych szeregach na krwawo zdobytym wzgórzu. Zdobyli skrawek ziemi dla Polski, by wystarczyło na ich groby. – Pozostała po nich legenda i pieśń, że „ziemia ta do Polski należy".

„Wskrzesiciel[e] narodu" z misją „sprawiedliwości społecznej" i „nowego ustroju" przybyli w lipcu z „Manifestem". – Wsparci siłą przemocy, nie potrafili pokonać oporu tych, których chcieli „uszczęśliwić". – Skapitulowali i obarczeni złą pamięcią, odeszli.

Po siedemdziesięciu pięciu i trzydziestu latach, pamięć świadka tamtych historycznych wydarzeń skłania do refleksji. – Twórcy PKWN, a następnie PRL nie byli tylko posłusznymi wykonawcami polityki Stalina, ale realizowali postanowienia Wielkiej Trójki z Teheranu i Jałty przekazujące „strefę wpływów". Nie interesowali się, jak te „wpływy" mają wyglądać. Stalin narzucił i realizował własną koncepcję. – Kraje nadbałtyckie włączył jako republiki do Związku Radzieckiego, dla pozostałych wymyślił „demokrację ludową", polecając wasalnym rządom tych państw pełnić na wzór sowiecki reżymową władzę. W porównaniu z pozostałymi krajami „demokracji ludowej" polski reżym nie był jeszcze najbardziej okrutny, gdyż polskie społeczeństwo od początku, najpierw zbrojnie, a następnie poprzez kolejne protesty nie godziło się z narzuconym reżymem. Zarówno SENIOR, jak i rządzący w jego imieniu WASALE musieli się z tym liczyć, godząc się na wymuszone ustępstwa. Korzystało z nich polskie społeczeństwo przystosowujące się do egzystowania i tworzenia w warunkach ograniczonej niepodległości. Jak w Galicji, w PRL też powstała „konspira". Korzystając ze sprzyjających międzynarodowych okoliczności, przed trzydziestu laty, doszło do obalenia reżymowej władzy i powstała Trzecia Rzeczypospolita…

– Ci, co pragnęli uwolnić mój [swój] Naród związany i próbowali „przyśpieszyć" , by „Lud mój [swój] pocieszyć", legli pod gruzami Warszawy. – Pamięć o nich na Powązkach i w muzealnych salach.

Krytycznie oceniliby ten romantyczny zryw galicyjscy stańczycy, którzy twierdzili, że akcje powstańcze nie mogą być podejmowane bez analizy sytuacji międzynarodowej, szans militarnych, rachunku zysków i strat.

Pamiętający przestrogi galicyjskich stańczyków nie wywołali w lipcu 1944 roku w Krakowie powstania. Kiedy „romantyczni poeci": Kamil Baczyński, Tadeusz Gajcy i Stroiński z tysiącami zwykłych „zjadaczy chleba" ginęli pod gruzami Warszawy, Kraków milczał i oczekiwał. Wraz młodym poetą, Karolem Wojtyłą, ocalał.

Z perspektywy siedemdziesięciu pięciu lat tak bilansuje się w mojej pamięci wyprorokowany przez Adama Mickiewicza „romantyczny" rok czterdziesty czwarty.

Rok ten zapisał się i w moim, nie romantycznym życiorysie. – Pod koniec lipca z przyzwoitej odległości, zza rogu stodoły w Majdanie Sobieszczańskim wraz z kilkoma mężczyznami patrzyłem na szosę wiodącą z Lublina do Kraśnika. Przesuwały się po niej czołgi. Nie było pewności, czy to uciekają Niemcy, czy przybyli Sowieci? – Gdy za nimi ukazał się oddział kawalerii, byliśmy już pewni.

Ludzie bali się bolszewików, a my z ojcem traktowaliśmy ich jak „dawnych znajomych". Oficer, z którym rozmawiał ojciec, miał z gwiazdami otoczone złotym galonem naramienniki. Wskazywały, że nie jest to ta z 1939 roku Czerwona Armia. Oficer opowiadał, że wraz z nimi idzie polskie wojsko. Ojciec powątpiewał. – Idą – twierdził oficer – ale innymi stronami.

Z Lublina dotarła też wiadomość, że będzie chyba Polska, bo ukazała się gazeta „Rzeczpospolita". Nieufni pytali, czy to Rzeczpospolita Polska, bo rzeczpospolita może być różna. – Informator gazety nie przywiózł i nie można było tego skonfrontować.

Na początku sierpnia z tłumem ludzi czekaliśmy z ojcem na dworcu w Lublinie, by wcisnąć się do jakiegoś wojskowego transportu jadącego w stronę Chełma. Przybyła z Pragi kobieta opowiadała, że po drugiej stronie Wisły wybuchło powstanie i płonie Warszawa. Jej informacja nikogo nie poruszyła. Nikt o szczegóły nie pytał. Nikt nie zawołał: „Idziemy na pomoc walczącym!". Gdyby nawet zawołał, nikt by się nie poderwał, bo wojna już się u nas skończyła. Sowieci nie byli tak groźni jak Niemcy. Nie było powodu, by z nimi walczyć. Wyzwoleni spod niemieckiej, byliśmy przygotowani żyć w warunkach nowej okupacji.

W Chełmie pełno było sowieckich żołnierzy. Nikt nie traktował ich jak oswobodzicieli. O ogłoszonym tam przed kilkunastoma dniami „Manifeście" i PKWN nikt chyba nie wiedział, bo nam o tym nie mówił.

Wraz z pojawieniem się w polskich mundurach polskich żołnierzy, powróciła nadzieja, że chyba będzie jakaś nowa Polska. Tych, co się na nią nie godzili, bo w czasie poprzedniej okupacji walczyli o niepodległą, wyłapywano i wywożono do Rosji. Innymi zapełniano (opróżnione na krótko) więzienia. Którzy uniknęli wywózki i aresztowań, skryli się w lasach z nadzieją, że zachodni alianci z generałem Władysławem Andersem, na czele prawdziwego wojska, Polskę wyzwolą. Ogół uwolnionego od niemieckiej okupacji polskiego społeczeństwa próbował dostosować się do nowych okupacyjnych warunków.

Kryjący się w lasach i wioskach, po trzech latach beznadziejnej, bratobójczej walki, kiedy okazało się, jak przewidział Wieszcz, że: „cała Europa wlecze,[polski naród i] nad nim się urąga", musieli skorzystać z upokarzającej amnestii. Nie chcący się poddać, zapełnili wkrótce więzienne cele, innych pochłonęły bezimienne mogiły…

Z dziecięcym wspomnieniem Drugiej Rzeczypospolitej, obarczeni pamięcią wojny i okupacji, nie mogliśmy jeszcze aktywnie uczestniczyć w historycznych wydarzeniach. Zbulwersowała nas tylko wiadomość, że ma być wreszcie normalna, polska szkoła.

Bez żadnego szkolnego świadectwa, po zdaniu „egzaminu" (bez sprawdzenia umiejętności czytania), zostałem przyjęty do klasy piątej. Uczyli nas korzystający z przedwojennych podręczników, bo innych nie było, o Polsce w przedwojennych granicach, przedwojenni nauczyciele i profesorowie.

Odrodziło się przedwojenne harcerstwo. Śpiewaliśmy o „żołnierzach spod Tobruku", „Donacie Ponurem", który idzie jak Langiewicz w Świętokrzyskie góry i o „chłopcach broniących się spod Parasola". W lecie 1946 roku na obozie harcerskim śpiewaliśmy jeszcze przy ognisku: „kiedy na wiosnę zmienią się czasy i komuna weźmie w łeb…" – Traktowałem to już tylko jako dobre życzenie.

W roku 1947 zostałem przyjęty do pierwszej klasy gimnazjum. Po amnestii wrócił „z lasu" o kilka lat starszy ode mnie sąsiad. Chodziłem z nim kąpać się na glinianki. Nie opowiadał o „czynach bohaterskich i leśnych przygodach". Wyczułem tylko skrywaną nutę zawodu, goryczy i rozczarowania, a może nawet zazdrości, że ja gimnazjalista, a on stracił kilka lat, kiedy powinien chodzić do szkoły. W roku 1950, po wybuchu wojny koreańskiej, został aresztowany.

Kiedy siedział w więzieniu, ukończyłem szkołę średnią i studia na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim. Z dyplomem „niewłaściwej" Uczelni, pokonując różne uprzedzenia i trudności, zdobytą wiedzą, jak moi rówieśnicy, starałem się służyć polskiemu społeczeństwu. Realizowaliśmy pogląd galicyjskich konserwatystów twierdzących, że życie narodu może się toczyć nie tylko w warunkach pełnej niepodległości. (Mój sąsiad po wyjściu z więzienia był magazynierem. Zmarł w domu opieki.)

Gdy zaistniała odpowiednia międzynarodowa sytuacja, pobudzone przez Rodaka „pokolenie Polski Ludowej", było gotowe do uwolnienia z gnębiącej niewoli. Po odzyskaniu pełnych praw SUWERENA, zgodnie z zasadami demokracji, przekazujemy władzę wyłonionym w wolnych i tajnych głosowaniach, swoim przedstawicielom.

Zwycięzcy triumfują wołając: „Polska! Polska! Niezależna, Suwerenna. To nasza zasługa!" – Pokonani tworzą opozycję i nie bez słuszności twierdzą, że zwycięzcy łudząc SUWERENA obietnicami i hasłami, po zdobyciu władzy dbają tylko o własne i partyjne interesy. – I tak po siedemdziesięciu pięciu latach spełniło się proroctwo Narodowego Wieszcza o tajemniczej liczbie „czterdzieści i cztery".

VI

Jest jeszcze jedna, obchodzona uroczyście, uchwalona przez Sejm RP narodowa rocznica. To dwusetlecie urodzin Oper Mistrza – Stanisława Moniuszki. Przy tej okazji odbywały się „narodowe śpiewania". – Obserwując występy i solowe popisy politycznych liderów, nie mogę uwolnić się od wrażenia, że siedzę na widowni tragikomicznej opery narodowej pod tytułem: „Straszny dwór". – Poinformowano w społecznych środkach przekazu, że „narodowe śpiewanie" będzie kontynuowane i w latach następnych.

VII

Na dolnej półce w przepełnionym książkami regale i różnymi „ważnymi" oraz zupełnie zbędnymi, pozostającymi w „artystycznym" nieładzie drukami, odnalazłem pierwszy numer „Lublina". (Wrzesień–październik, nr 1 (1) / 2004.) Uświadomiłem sobie, że to jeszcze jeden godny odnotowania, chociaż nie tak szacowny jak pozostałe, jubileusz. Nie należy go jednak lekceważyć, gdyż towarzyszy piętnastoleciu przynależności Polski do Unii Europejskiej: „od Unii Lubelskiej do Unii Europejskiej i od „Lublina" – do „Lublina".

Pierwszy numer nowego periodyku sporo miejsca poświęca Czesławowi Miłoszowi. Ksiądz prof. Alfred Marek Wierzbicki w artykule *Medaliony* napisał: „W sobotę 14 sierpnia, akurat w dzień moich urodzin, przyszła wiadomość o śmierci Czesława Miłosza. Miał 93 lata, wiek budzący podziw i przekonanie, że kto go dożywa, jest chyba już nieśmiertelny". – Zakończył: „Kiedy teraz czytam absurdalne oskarżenia o zdradę narodową, jest mi ogromnie wstyd, że głosy te rozlegają się w środowiskach katolickich. →

Uważałem, że obawy Miłosza przed endeckim syndromem czystości rasy są anachroniczne, przeniesione z lat jego młodości. To, co się dzieje po jego śmierci, potwierdza, że stary człowiek, który niejedno widział, nie pomylił się. Ale to Miłosz, pisarz języka polskiego, jak czasem z przekorą, a czasem z dumą, nazywał siebie, jest szansą polskiej kultury. Co przeważy – tradycja plemienna czy duch Rzeczypospolitej? Poszukiwanie wiary czy jej instrumentalizacja?" – Po piętnastu latach, postawione pytanie wydaje się być ciągle aktualne.

Za okładką wyciągniętego z regału pierwszego numeru „Lublina" znalazłem wycinek lubelskiego wydania „Gazety Wyborczej" z artykułem ówczesnego kierownika działu kulturalnego, nazwisko dziennikarza pomińmy, bowiem – jak wieść gminna głosi – porzucił już redakcyjną profesję. Tytuł: *„Lublin" bez Lublina*. Już w pierwszym zdaniu dziennikarz stwierdził: „Nie wiadomo, czy to miesięcznik, nie wiadomo, kto jest wydawcą, ani dlaczego nazywa się „Lublin". Ukazał się pierwszy numer pisma kulturalno-społecznego, tak kiepskiego, że brakuje słów pocieszenia". W podobnym stylu utrzymana jest cała insynuacja, gdyż trudno nazwać to krytyczną, a nawet złośliwą recenzją.

Jej autora zaskakuje, że w „Lublinie" niewiele jest o… Lublinie! Nie zauważył nawet – oprócz kilku innych publikacji – wywiadu z Marianem Królem, przewodniczącym Zarządu Regionu NSZZ „Solidarność" w Lublinie, a na pierwszej stronie okładki zdjęcia pięknej panoramy miasta autorstwa Piotra Maciuka, na drugiej; całostronicowego zdjęcia Miłosza z księdzem rektorem Alfredem Krąpcem, które zostało wykonane w czasie nadania Nobliście doktoratu honorowego na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, na czwartej; montażu zdjęć przed pomnikiem Józefa Czechowicza z gronem osób składających kwiaty i wieńce z okazji setnej rocznicy urodzin poety. Dziennikarz „GW" stwierdził ponadto, że: „Lublin według «Lublina» to skostniałe miasto, w którym nie ma życia, a czas płynie na odbębnianiu rocznic, lub na spotkaniach z przyjezdnymi wielkimi ludźmi. […] Na odrębne baty zasługuje autor szaty graficznej i drukarz, obaj zapewne ślepi, skoro reprodukcje kolorysty Zenona Kononowicza umieścili na tle rodem z białoruskiej toalety". Recenzent „GW" nie tylko gotów był batożyć autora szaty graficznej i drukarzy, ale domagał się dla redaktora naczelnego kary boskiej. Pisał: „«Lublin» woła o pomstę do nieba, a dobry Bóg powinien redaktora naczelnego Zbigniewa W. Fronczka skazać na męki piekielne". Ubolewał też, że w budżecie województwa przyznano nowemu pismu 15 tys. zł dotacji, zabierając te pieniądze innej renomowanej inicjatywie wydawniczej, czyli kwartalnikowi „Akcent" i tym samym skazując „Akcent" na wegetację." To oczywiście nieprawda. „Akcent" zajmuje ciągle znaczącą pozycję w życiu literackim kraju, „Lublin" nie skazuje „Akcentu" na wegetację i nie konkuruje z literackim kwartalnikiem. Jako dwumiesięcznik otwarty na współpracę międzynarodową ze środowiskami i twórcami zza wschodniej i południowej granicy, zajmuje znaczącą pozycję w życiu intelektualnym, kulturalnym i społecznym miasta.

Po „totalnej" krytyce pierwszego numeru Zbigniew Fronczek nie został skazany na piekielne męki i przez piętnaście lat redaguje kolejne numery „Lublina". Zjednał pismu grono stałych współpracowników. (Wśród nich kilkunastu profesorów lubelskich uczelni.) Wszyscy, doceniając ważną rolę pisma, chętnie przekazują do druku artykuły i inne materiały. Każdy numer wzbogaca wkładka plastyczna.

W stopce redakcyjnej wymieniane są nazwiska „współredaktorów", ale wiadomo, że „Lublin" to dzieło naczelnego redaktora. Adres redakcji to jego prywatne mieszkanie. Tajemnicą jest tylko, skąd i w jaki sposób zdobywa pieniądze na kolejne numery? Otrzymane środki wystarczają, niestety, tylko na papier i opłacenie drukarni. Autorzy doceniają społeczną rolę pisma, nadsyłają artykuły, nie licząc na honoraria. Redaktor na brak materiałów nie narzeka, wydając kolejne numery przekraczające sto stron druku. Niezwykłą zaletą pisma jest, że nie ma w nim reklam, a redakcja nie angażuje się w spory partyjne i kampanie wyborcze.

Mimo złośliwości i „batów" recenzenta wymierzonych autorom szaty graficznej i drukarzom (czy słusznie, można stwierdzić oglądając pierwszy numer „Lublina"), pismo ciągle korzysta z wydawnictwa „Polihymnia", które zapewnia wysoki poziom edytorski i wydawniczy. Niektóre numery wysyłam swoim znajomym i kolegom, którzy przed laty studiowali ze mną na KUL-u. Zawsze otrzymuję słowa uznania i podziwu, że w Lublinie ukazuje się dwumiesięcznik, którego mogą pozazdrościć inne miasta.

– Szkoda, że miejscowe władze i sponsorzy nie są w stanie przeznaczyć pismu odpowiednich środków, by przekształcić „Lublin" w miesięcznik lub tygodnik. Mimo ograniczeń, spore grono stałych odbiorców i czytelników, oczekuje na każdy kolejny numer, spodziewając się otrzymać zestaw interesujących tekstów, o wysokich walorach poznawczych, które dokumentują aktualne przejawy życia intelektualnego, społecznego i kulturalnego nie tylko miasta i województwa – z perspektywą na kraje zza naszej wschodniej i południowej granicy.

VIII

Zastanawiam się, jak wymienione i niewymienione przeze mnie jubileusze roku 2019 mogą wyglądać z perspektywy Księżyca, na którym, przed pięćdziesięciu laty, po raz pierwszy stanęła ludzka stopa?

JÓZEF ZIĘBA

Jan Sęk

Lapidaria poetyckie Józefa Łobodowskiego

Powaga śmierci pojedynczego człowieka, podobnie jak zagłada plemienia czy narodu, oddala się od nas z czasem. Staje się widmem, które już nie paraliżuje natarczywie naszych myśli i nie skłania do zbyt częstych rozmyślań o swoim własnym odejściu w zaświaty.

Pamięć o bliskich nam osobach i wydarzeniach powraca już li tylko w dniach szczególnych. Odwiedzamy wówczas nekropolie, bierzemy udział w rocznicowych akademiach, odmawiamy modlitwy wypominkowe w kościołach, względnie zgłębiamy noty wspomnieniowe w gazetach i przypominamy rocznicowe wiersze literatów. Uświadamiamy sobie też zdawkowość przeżyć, skażonych tempem bieżących zdarzeń. Razi nas w wielu przypadkach mentorstwo i patos. Ta uwaga zdaje się nie dotyczyć zasług w tej materii Józefa Łobodowskiego.

Stonowanie emocji czyni go mistrzem nad mistrzami w tej materii. Akcenty widoczne w wielu wierszach można by mnożyć. Istotniejsze są jednak te jak: *Srebrna śmierć*, *Strofy o śmierci* czy *W rocznicę śmierci*, poświęcone w całości kresowi ziemskiej egzystencji i zadumie nad bezkresem potęgi ducha.

W kolejnych etapach życia poeta stykał się z wszystkimi plagami XX wieku gnębiącymi ludność na terenach, gdzie przebywał. We wczesnych latach dzieciństwa jako nieletni bieżeniec zetknął się w Moskwie, nad Morzem Azowskim i ziemiach ukraińskich z krwawą pożogą rewolucji bolszewickiej i okrutnym odwecie jej przeciwników. Los nie oszczędził mu osobistych, gorzkich przeżyć uchodźczych także w czasie II wojny światowej oraz po jej zakończeniu na emigracji w dotkniętej totalitaryzmem Hiszpanii. Słowem tylko krótki czas dzieciństwa (1909–1914) i młodości (1922–1939), spędzonych w lwiej części w Lublinie, uznać można za względnie wolne od bliskiej styczności z wszechobecną i beznamiętną śmiercią.

Jest rzeczą znamienną i zdumiewającą zarazem, że przebywający na wygnaniu politycznym literat, trapiony na co dzień przyziemnymi bolączkami, uwikłany na dodatek w bieżącą szermierkę publicystycznych utyskiwań, z takim szlachetnym uniesieniem kreśli kolejne poetyckie epitafia.

Józef Łobodowski, 1938 r.

Zaznaczmy od razu, że nie są to serwilistyczne ramotki ani hymny ku czci, pisane na zgiętych w pokorze kolanach, z nabożnym na dodatek uwielbieniem.

Konstatację tę można odnaleźć zarówno w wierszu Łobodowskiego o grobowcu gruzińskiej królowej Tamary, zabiegającej z determinacją o suwerenny byt rodaków w zaraniu państwowości jak również w twórczości poety Borysa Pasternaka, zmarłego w bolesnej dla narodu rosyjskiego dekadzie XX wieku.

Ujmując w nawias tę część dorobku literackiego Józefa Łobodowskiego, łatwo dostrzec, iż cały ten dukt po wirtualnej nekropolii, po części realny, w części jakby z zaświatów, służy przy pomocy swoistej epigrafiki poetyckiej ocaleniu dorobku intelektualnego i zasług osób, które poświęciły swe życie walce o lepszy świat dla idei i wartości, którym hołdował także pisarz.

Zuzanna Ginczanka, ok. 1930 r..

Taką nutę przewodnią postrzegamy zarówno w wierszach poświęconych: poecie Józefowi Czechowiczowi zabitemu w trakcie bombardowania przez Niemców jego rodzinnego miasta Lublina, w pierwszych dniach II wojny światowej jak i legendarnemu generałowi Władysławowi Andersowi, dzięki determinacji którego tysiące zniewolonych rodaków mogło opuścić terytorium ówczesnego Związku Sowieckiego. Józef Łobodowski, znający (od przysłowiowej podszewki) arkana poczynań siepaczy bolszewickich, nie stara się swą twórczością dokumentować fizycznego unicestwienia bliźnich, i bezmiaru genocydu.

Zabiega o coś więcej. Pragnie zapobiec obdzierania ofiar przez bezdusznych oprawców z ich godności i woli ducha. Celem zbrodniczego imperium było bowiem wymuszenie skazania na infamię i przyznania się do niepopełnionych czynów oraz późniejsze wymazanie ich dorobku twórczego ze zbiorowej pamięci przyszłych pokoleń.

Najpełniej ten wysiłek artystyczny spełnia wzruszająca *Modlitwa* z poematu *Anna Achmatowa*:

Nie chcę się wtrącać do wyroków Bożych,
błagam Cię o pomoc jakże rzadko!
Lecz jeśli można jeszcze trochę pożyć,
to, proszę, uczyń mnie wariatką!
Niech sprawi łaska Twoja święta,
abym, nim dusza wyjdzie z ciała,
mogła udawać, że nie pamiętam,
kiedy i czemu zwariowałam.
Bym mogła wytknąć palcem – Dziwak! –
widząc, że jakiś człowiek płacze,
i abym czuła się szczęśliwa
wpośród głuptaków i żebraczek.

Gdy krwawa gwiazda w niebie błyska
i wicher powiał czarnym ptactwem,
ten tylko, co niespełna był umysłu,
mógł się uchronić przed wariactwem.
Uratuj mnie przed widmem, z którym
będę musiała iść po dawnych śladach;
nie chcę, o Panie po raz wtóry,
powoli w tamten mrok zapadać.

Liryka Łobodowskiego, dotycząca wyłącznie spraw ukraińskich, zapewniła mu poczesne miejsce w literaturze polskiej. Pobieżna nawet lektura jego wierszy z tej sfery, skłania do refleksji, że mamy do czynienia z dziełem programowo „niedzisiejszego" pasjonata. To jednak tylko pozory, przy pomocy bowiem wzniosłych hymnów i elegii chwalebnych, poeta stara się przywrócić wiarę w sens woli trwania w nadziei niewolonych pobratymców. Wrażenie takie to rezultat specyficznych relacji autora z Ukrainą, pozwalających uzyskać efekt zespolenia jego emocjonalnych doznań z wyznacznikami rdzenia tożsamości umiłowanego wbrew racjonalnym racjom narodu. Dostrzegamy taki stan ducha w *Pochwale Ukrainy* rozpoczynającym się wersem:

Tobie śpiewam, o Ukraino, ciebie pochwalam.

W dalszej części przypominając początki osiedlania się w przeszłości na tych ziemiach rodów szlacheckich z Mazowsza, stwierdza, że to dla niego ojczyzna „… najpierwsza…"

Zaskakującą deklarację uszczegółowił i jakby zarazem objaśnił w zakończeniu przywołanego poematu, wieszcząc:

w sęki trumien zbutwiałych strwożony uderzam,
jak gdybym pragnął tęczą nowego przymierza
połączyć dwie ojczyzny, sam na pół rozdarty.
Ale ty, Ukraino, me serdeczne karty,
co chciały być odezwą i uniwersałem,
a ulatują z wiatrem, jak gołębie białe,
jeszcze kiedyś szczęśliwszych dniach przyszłości twojej
odczytasz, jak się czyta modlitwę przed bojem,
i uznasz za swojego, czy później czy wcześniej
poetę, co był Lachem, a sławił cię w pieśni…

Analiza wierszy i poematów J. Łobodowskiego poświęconych Ukrainie upewnia nas, że każdy utwór rodził się z potrzeby serca i bezinteresownej miłości. Powstawały one przez długie lata, kiedy nikomu nie śniło się, że w przewidywalnej przyszłości kraj ten wyrwie się ze szponów totalitaryzmu komunistycznego i wybije się na niepodległość.

Emocjonalna liryka służyć miała ocaleniu podstawowych wartości, ginących w zakamarkach pamięci kolejnych pokoleń, względnie stawała się podglebiem manifestów rodzących się z otępiałej rozpaczy.

W czasach wolności taki rodzaj twórczości zbyt łatwo staje się historycznym eksponatem w lamusie literackim. W przypadku utworów J. Łobodowskiego do tego nie doszło dzięki uniwersalizmowi prezentowanych w nich wartości. Przetrwały, uszlachetnione upływem czasu, przekształcając się w serdeczne epitafia zaduszne, służące na co dzień wszystkim, którzy pragną kultywować zbliżenie obu narodów słowiańskich w duchu poszanowania prawości i godności jednostek, rodzin i państw.

Dzięki Józefowi Łobodowskiemu patyna lat nie przykryje dni i godzin znaczonych wszechobecnym egzystencjalnym strachem i duchowymi lękami. Warto pamiętać o tym w epoce, która przyniosła Polsce i Ukrainie pełną niepodległość.

Wędrując po lapidariach zaduszno-filozoficznych Józefa Łobodowskiego warto jeszcze docenić osobistą nutę w postaci uwieńczenia w pieśni żałobnej, najstarszego cmentarza w Lublinie przy ulicy Lipowej. Poeta jeszcze jako uczeń szkoły średniej spędził na nim kilka nocy w rodzinnym grobowcu. Pragnął w ten sposób uczcić pamięć o swym dziadku powstańcu 1863 r., który nękany przez Rosjan skrył się w tym samym miejscu przed laty. Trapiony latami wygnańczą udręką, Józef Łobodowski marzył ,by po śmierci spocząć na cmentarzu w bliskim jego sercu mieście. Po okresie ideologicznego zakłamania, doczesne szczątki poety zmarłego w Hiszpanii sprowadzono do Kraju i uroczyście pochowano w familijnym grobowcu na bliskiej sercu nekropolii.

Wyrazem tego jest cyzelowana bólem tęsknoty – oracja funeralna *Na własną śmierć*

Oto jej wstępny fragment:

Na obcej ziemi boję się umierać.
Bez lęku spotkam śmierć ojczystą,
śmierć na ziemi, co mych prochów nie rozgubi.
Tam się oddam szeleszczącym liściom,
zamienię się w goryczkę i łubin…
Żeby mi lubelskie cmentarne słowiki
zanosiły się co noc miłosnym krzykiem;
żebym wiedział, w ciepłą wtulony borowinę,
żem jest dla niej nie przybłędą, nie gościem,
lecz synem;

Utworem tym stanowiącym osobliwy sumariusz burzliwego życia, w osamotnieniu rodzinnym, politycznym zesłaniu, literackiej pustelni, z lekkim obrazoburstwem w tle, prorokuje, że jego twórczość obroni się stosownie do łacińskiej paremii: non omnis moriar.

Duchowa uczta po lekturze epitafiów poetyckich Józefa Łobodowskiego niosłaby ze sobą niedosyt, bez lirycznego uwielbienia Zuzanny Ginczanki, poetki urodzonej w Kijowie i wychowywanej przez dziadków w miasteczku Równem na Wołyniu. Była to największa, najszlachetniejsza i najnieszczęśliwsza przygoda miłosna młodego poety. Poznał ją i pokochał w 1933 roku podczas swej dziennikarskiej kresowej przygody. Przechował serdeczne wspomnienia o niej, jej sukcesach literackich, korzeniach etnicznych i bezsensownej śmierci w niemieckim obozie odosobnienia. Poświęcony jej utwór *Na śmierć Sulamity* to prawdziwy dytyramb uniesień i zachwytów nad walorami intelektualnymi i cielesnymi późniejszej lwicy salonów literackich Warszawy.

Poeta, który otrzymał od niej więcej, jak mógł, bo niezaspokojone uniesienia miłosne, w przeciwieństwie do wspomnianych uprzednio pomników literackich, przeznaczył dla Zuzanny Ginczanki osobliwy kurhan artystyczny. Pomieścił w nim wszystko co piękne, wzniosłe, szlachetne, i mające na dodatek miłosny rodowód w *Pieśniach nad pieśniami* króla Salomona, zapoznanych z przekazów Starego Testamentu. Rzecz jasna w przekazie Józefa Łobodowskiego całe to dobro niebiańsko uduchowione, w świecie realnym zostało ucieleśnione w postaci medium Sulamity.

Ten gejzer uniesień i uwielbień to klasyczny przykład kontynuacji swoistej ars moriendi, mającej głębokie zakorzenienie w kulturze polskiej, zwłaszcza w kaznodziejstwie pogrzebowym.

Stanowi przez to wzór niezłomnego trwania przy ideałach i wartościach, które dla przodków i potomnych winny być drogowskazami prawości i godziwości.

JAN SĘK

Łobodowski znowu na Wołyniu!

Konsulat Generalny Rzeczypospolitej Polskiej w Łucku

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich

ROK ŁOBODOWSKIEGO
110. ROCZNICA URODZIN

Stowarzyszenie Pisarzy Polskich Oddział w Lublinie – wspierane przez fundacje „Willa Polonia" (Lublin), „Dla Pokoleń" (Lublin), Stowarzyszenie Współpracy Polska-Wschód (Oddział w Lublinie) oraz Muzeum Niepodległości w Warszawie od pięciu lat przyznaje nagrody im. Łobodowskiego pisarzom, tłumaczom, artystom, działaczom kultury, hierarchom Kościoła.

W Łucku, w dniu 27 września 2019 r., we Wschodnioeuropejskim Uniwersytecie Narodowym im. Łesi Ukrainki, odbyła się międzynarodowa sesja naukowa „Literacka spuścizna Józefa Łobodowskiego w kulturowym kontekście współczesności". Jednym z punktów literackiego święta było wręczenie V Międzynarodowej Nagrody im. Józefa Łobodowskiego. Uroczystość odbyła się w 110. rocznicę urodzin patrona Międzynarodowej Nagrody, w obchodzonym – z inicjatywy Konsulatu RP w Łucku – Roku Łobodowskiego na Ukrainie.

Zorganizowano ją siłami Konsulatu Generalnego Rzeczypospolitej Polskiej w Łucku, Wydziału Filologii i Dziennikarstwa Wschodnioeuropejskiego Uniwersytetu Narodowego Łesi Ukrainki w Łucku, Stowarzyszenia Pisarzy Polskich Oddziału Lubelskiego.

Publiczność zgromadzoną w reprezentacyjnej auli Uniwersytetu powitali: Jurij Hromyk – dziekan Wydziału Filologii i Dziennikarstwa WUN im. Łesi Ukrainki, Teresa Chruszcz – konsul Konsulatu Generalnego RP w Łucku, Zbigniew Wojciechowski – marszałek Województwa Lubelskiego, Zbigniew Włodzimierz Fronczek – prezes Stowarzyszenia Pisarzy Polskich Oddziału Lubelskiego, Natalia Pawlicha – prorektor ds. Współpracy Międzynarodowej WUN im. Łesi Ukrainki.

Wśród gości przybyłych na międzynarodową sesję byli (m.in.) Igor Kocan – rektor WUN im. Łesi Ukrainki, Oleksandr Kiriczuk i Jurij Poleszuk najwyżsi przedstawiciele Wołyńskiej Obwodowej Administracji Państwowej, przedstawiciele władz miasta: Irina Czebeluk – zastępca mera Łucka oraz Wiktoria Gomolec i Andrij Łomaga.

Zgromadzonym przedstawiono szereg interesujących referatów. Prof. dr hab. Natalia Sydorenko z Kijowa wygłosiła wykład o Łobodowskim i emigracji ukraińskiej, prof. dr hab. Rafał Krawczyk (Łódź) zaprezentował relację o idei prometeizmu w dziełach i życiu Józefa Łobodowskiego, red. Serhij Borschevsky (Kijów) mówił o drodze autora „Pochwały Ukrainy" do ukraińskiego czytelnika zaś red. Olena Katajeva o ukraińskich tematach w twórczości polskiego poety. Prof. dr hab. Switłana Krawczenko, od lat zajmująca się twórczością „Atamana Łobody", promowała swą nową książkę: „Łobodowski – pisarz, myśliciel, ukrainofil. Życie i twórczość". Interesującym przerywnikiem była prezentacja filmu, którego bohater – lubelski dziennikarz Adam Tomanek – wspominał swego wujka: Józefa Łobodowskiego. Odnotować należy pasjonujące wypowiedzi dra Jana Sęka o lapidariach poetyckich Łobodowskiego, prof. dr. hab. Feliksa Czyżewskiego

(od lewej) Prof. dr hab. Switłana Krawczenko, prezes LO SPP Zbigniew W. Fronczek, konsul RP w Łucku Teresa Chruszcz, prof. dr hab. Jurij Hromyk

„O Lublinie i miastach Wschodu w prozie Józefa Łobodowskiego", wykład red. Pawła Lachnowicza z Białorusi, który podzielił się ze słuchaczami refleksjami tłumacza literatury polskiej, wreszcie porywające wystąpienie red. Wojciecha Pestkia, członka Jury Międzynarodowej Nagrody Łobodowskiego, poświęcone twórczości jednego z laureatów nagrody – Wasyla Słapczuka.

Drugą część sesji otworzył intrygujący spektakl „Monodie w czerwonym: 2 epizody – Łobodowski i Ginczanka" Teatru Harmyder. Spektakl przyjęto życzliwie, to poetycka opowieść o uczuciu dwojga poetów. Łobodowski i Zuzanna Ginczanka poznali się w Równem, gdzie młody poeta od roku 1933 odbywał służbę wojskową. Zuzanna zginęła podczas wojny, Józef nigdy nie zapomniał swej „wołyńskiej muzy", poświęcił jej wiele utworów, choćby tom „Na śmierć Sulamity".

Następnie prof. Switłana Krawczenko przedstawiła historię Nagrody Łobodowskiego, a prof. Feliks Czyżewski odczytał protokół V edycji Nagrody. Jury Międzynarodowej Nagrody Łobodowskiego w składzie:

Ks. prof. dr hab. Edward Walewander – przewodniczący jury,

Prof. dr hab. – Switłana Krawczenko (Ukraina) – członek jury,

Prof. Iwan Jackanyn (Słowacja) – członek jury,

Prof. dr hab. Feliks Czyżewski – członek jury,

Prof. dr hab. Jan Gurba – członek jury,

Prof. dr hab. Czesław Michałowski – członek jury,

Dr hab. Marek Olejnik – sekretarz jury,

Dr Jan Sęk – członek jury,

Red. Wojciech Pestka – członek jury,

Prezes Stow. Pisarzy Polskich Zbigniew Włodzimierz Fronczek – członek jury

– na posiedzeniu w dniu 20 września Jury postanowiło przyznać nagrody Łobodowskiego następującym osobom:

▪ Jego Ekscelencji Najprzewielebniejszemu Księdzu Arcybiskupowi Prof. dr. hab. Stanisławowi Budzikowi w uznaniu Jego twórczych inicjatyw podejmowanych w dziedzinie naukowej oraz kościelnej w celu zbliżenia Kościoła w Polsce z chrześcijanami żyjącymi za naszą wschodnią granicą i ludźmi dobrej woli,

▪ bułgarskiemu poecie, eseiście, krytykowi literackiemu, tłumaczowi literatur słowiańskich Łyczezarawi Seliaszkiemu za translatorską pracowitość, energię, poświęcenie i trud włożony w upowszechnianie literatury polskiej w Bułgarii,

▪ ukraińskiemu naukowcowi: językoznawcy, dialektologowi, profesorowi Hryhorijowi Arkuszynowi za wieloletni wysiłek rozwijania wspólnych polsko-ukraińskich badań naukowych w dokumentowaniu języka ziemi nadbużańskiej oraz zasługi w kształtowaniu właściwych postaw sprzyjających pracy zespołowej wśród polskiej i ukraińskiej młodzieży akademickiej,

▪ ukraińskiemu artyście, dyrygentowi, dyrektorowi artystycznemu Obwodowej Filharmonii w Łucku Serhijowi Efimience za popularyzowanie muzyki słowiańskiej w Europie.

Uroczystość – co należy podkreślić – odbyła się w niezwykle przyjaznej, życzliwej atmosferze.

Literatura – można rzec śmiało – łączy narody!

(RED)

Ks. Edward Walewander

Przypadki ciekawego życia

I. „Czy serce nie pałało w nas, kiedy rozmawiał z nami w drodze i Pisma nam wyjaśniał?" (Łk 24, 32) – pytali siebie nawzajem dwaj uczniowie idący do Emaus, kiedy otworzyły się im oczy i w towarzyszu drogi rozpoznali Zmartwychwstałego. Z przygodnie spotkanym przechodniem prowadzili ożywiony dialog intelektualny na temat Pisma. Dyskutowali z nim, zafascynowani jego mądrością, a na koniec zaprosili go do siebie: „Zostań z nami, gdyż ma się ku wieczorowi i dzień się już nachylił". Przygodny człowiek „wszedł więc, aby zostać z nimi […], zajął z nimi miejsce u stołu […]. Wtedy oczy się im otworzyły i poznali Go" (Łk 24, 29).

Czyż rzeczywiście nie pałało ich serce? Naturalnie, że pałało! Inaczej nie wypowiedzieliby tych znaczących słów: „Zostań z nami!".

Jak potężne jest to naturalne i niezwykłe zaproszenie. Miało się ku wieczorowi. Było już dość późno – „dzień się już nachylił". Ciemniało. W ciemności zaś podróż bywa niebezpieczna. Jedno takie wezwanie jest w stanie zapalić ludzkie serce, nawet gdy człowiek nie wierzy w zmartwychwstanie.

Należę do grona tych osób, które od lat idą przez życie z Księdzem Arcybiskupem Stanisławem Budzikiem, Laureatem Międzynarodowej Nagrody Literackiej im. Józefa Łobodowskiego. Jesteśmy razem jakby w drodze do Emaus. Często wymieniamy poglądy. Dyskutujemy na różne tematy.

Z naszych licznych spotkań zapamiętałem cztery pryncypia obecne w bogatym życiu Księdza Arcybiskupa. Niniejsze wystąpienie oprę zatem na owych czterech jakby filarach.

II. Pierwszy to religio – przywiązanie do spraw Bożych i do Kościoła. Stanisław Budzik wzrastał w bardzo religijnej rodzinie wiejskiej, w której na co dzień żyło się Kościołem i jego nauką w powiązaniu z polską tradycją katolicką. Mówimy tu o duchowych korzeniach. Korzeń zaś znaczy początek, miejsce stabilne, bo właśnie ukorzenione. Korzenie to także pochodzenie, genealogia przeniesiona na losy człowieka. Miejsce urodzenia Księdza Arcybiskupa, Łękawica koło Tarnowa, jest taką genealogią jego wiary i wszystkich tych, którzy z niej czerpali swą przynależność do Chrystusa przez Maryję. Jest jednym z miejsc, jakimi usiana jest nasza Ojczyzna. Za to nieustannie dziękujemy Bogu. Czynimy to także w tej uroczystej chwili.

Szczególnym wyrazem więzi z Kościołem są powołania kapłańskie i zakonne z parafii i całego regionu pochodzenia Księdza Arcybiskupa. Może dlatego w jego nauczaniu znajdujemy odniesienia zachęcające do tego, ażeby kapłani w spełnianiu swej misji nie ograniczali się tylko do zakrystii, ale żeby śledzili wszelkie ruchy, różne nastroje społeczne i byli katalizatorami dla całego życia narodu, by dobre kierunki aprobowali, a wszelkie zło odrzucali.

„Naturalnym miejscem życia i posługi duszpasterza jest zawsze Kościół" – napisał Ksiądz Arcybiskup we *Wprowadzeniu* do wydanej w dużym nakładzie pracy zbiorowej pt. *Rysopis kapłana. Wizerunek księdza w kulturze polskiej w XXI wieku* (red. Ł. Janicki, Lublin 2019, s. 11). W tym samym miejscu dodał też inne warte przypomnienia słowa, że Kościół jest „dla ludzi kalendarzem życia, lampą na splątanych ścieżkach oraz jasnym drogowskazem wśród ciemności".

III. Patria – Ksiądz Prymas Stefan Wyszyński uczył, że druga po Bogu wartość to umiłowanie Ojczyzny, a także stron rodzinnych. Laureat urodził się i wzrastał, jak powiedziałem, w podtarnowskiej wsi Łękawica. Duch tego miejsca, czyli genius loci, jest wyjątkowy. Jest ono jakościowym i całościowym fenomenem. Nie da się go zredukować do żadnej pojedynczej właściwości.

Tradycja religijna oraz korzenie patriotyczne – to wszystko było tam zawsze na pierwszym miejscu i pozostaje takim do dzisiaj, prawie tak jak chleb powszedni. Wystarczy, że wspomnę, iż z Łękawicy ze środowiska bardzo bliskiego naszemu Laureatowi pochodził Józef Budzik, kapitan piechoty Wojska Polskiego, zamordowany między 23 a 24 kwietnia 1940 r. przez NKWD w lesie katyńskim. Wielką sławę zyskał także łękawiczanin Kazimierz Budzik, pilot myśliwski, kapitan Polskich Sił Powietrznych i brytyjskich Królewskich Sił Powietrznych, uczestnik m.in. tak zwanej bitwy o Anglię – walczył wówczas w Dywizjonie 308 oraz sławnym Dywizjonie 303. Został odznaczony Orderem Virtuti Militari, czterokrotnie

Ks. arcybiskup Stanisław Budzik i reporterzy. fot. Andrzej Rożek

Krzyżem Walecznych, a także czterokrotnie Medalem Lotniczym. Zmarł w 2014 r. w Wielkiej Brytanii.

Łękawica to środowisko nietypowe, uspołecznione, prawe, zaangażowane w życiu patriotycznym, kulturalnym, społecznym. Gwoli przykładu powiem, że wójt gminy Łękawica Filip Włodek był znanym działaczem ludowym i posłem do Sejmu Krajowego we Lwowie w latach 1903–1908. Z Łękawicy pochodził też zmarły w 1983 r. Karol Halski, pedagog, polonista, historyk, żołnierz Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej.

To wszystko miało wpływ na osobowość Laureata. Dorastał wśród ludzi, których trzeba było szanować, poważać, bo zasługiwali na to ze względu na swoją wiedzę, postawę moralną, codzienne zachowanie, bohaterską wojenną przeszłość. Wszyscy oni uczyli młodych i wychowywali do aktywności, wspierali ich w wyborach życiowych.

Wiele nauczył się w domu rodzinnym, ale też miał szczęście spotykać wokół siebie ludzi podobnie myślących. Miało to znaczący wpływ na jego stosunek do pracy i wszelkich wynikających z niej obowiązków. Wciągało go to do działalności społecznej, nie tylko eklezjalnej, realizowanej w różnych środowiskach, głównie jednak w dziedzinie szeroko rozumianej kultury i nauki. Dzięki temu miał okazję poznać twórczo zaangażowanych wybitnych ludzi. Nauczył się blisko i twórczo współpracować z ludźmi różnych wyznań i przekonań.

IV. To, co zostało już wyżej nakreślone, prowadzi do trzeciego paradygmatu, którym jest scientia, a więc nauka i kształcenie, a przez to dążenie do prawdy. Laureat ukończył w 1971 r. renomowane I Liceum Ogólnokształcące w Tarnowie, którego patronem jest jego dawny uczeń Kazimierz Brodziński, poeta, historyk, znawca literatury polskiej. Od dzieciństwa spędzonego niedaleko Bochni Brodziński zachował bliski kontakt z ludem wiejskim, a ze szkoły w Tarnowie wyniósł oprócz wszystkiego innego znajomość języka i literatury niemieckiej.

Czy młody Stanisław Budzik nie przyglądał się przypadkiem z nadzwyczajną uwagą patronowi szkoły? Czyż wspomniane cechy patrona tarnowskiego liceum nie odbijają się wyraźnie, jakby na kalce, w życiu i działalności najpierw księdza profesora, a potem arcybiskupa Budzika? Laureat pisze, publikuje i przemawia w kilku językach. Oprócz ojczystego polskiego najlepiej czuje się w niemieckim. Z łatwością wszakże porusza się też w meandrach języka hiszpańskiego, co zresztą i w tym czyni go bliskim patronowi Nagrody, który – jak wiadomo – żył w Hiszpanii od 1941 r. aż do śmierci w 1988 r.

→

Wróćmy wszelako do biografii Laureata. W latach 1971–1977 studiował filozofię i teologię oraz nauki pokrewne w tarnowskim Wyższym Seminarium Duchownym. W 1977 r. uzyskał magisterium z teologii na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim i przyjął święcenia kapłańskie z rąk bpa Jerzego Ablewicza. Po pięciu latach pracy duszpasterskiej (w latach 1977–1980 był wikariuszem w parafii Matki Boskiej Bolesnej w Limanowej, a następnie w latach 1980–1982 w parafii katedralnej Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w Tarnowie) został skierowany na dalsze studia, specjalistyczne z teologii dogmatycznej, na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu w Innsbrucku. Zakończył je napisaniem rozprawy doktorskiej o teologii pokoju u św. Augustyna, zatytułowanej wymownie *Doctor pacis. Theologie des Friedens bei Augustinus*. Za tę rozprawę otrzymał w 1989 r. nagrodę prezydenta miasta Innsbrucka. Dodajmy, że rozprawa ukazała się drukiem, oczywiście po niemiecku, i to w znanym wydawnictwie naukowym Tyrolia-Verlag jako 24 tom znamienitej serii *Innsbrucker Theologische Studien*. Studia w mieście nad Innem miały dla ks. Budzika znaczenie szczególne, o czym chętnie wspomina. Mieszkał w międzynarodowym Collegium Canisianum (nazwa nawiązuje do św. Piotra Kanizjusza, jezuickiego teologa i kaznodziei, doktora Kościoła), w którym studiowali studenci z prawie wszystkich krajów świata. Lata spędzone w Innsbrucku to dla Laureata z pewnością, jak mówią Niemcy i oczywiście Austriacy, Sternstunde [wielkie chwile – szczęśliwy czas].

Po powrocie w 1989 r. do Polski w rodzimej diecezji tarnowskiej zdobywał przede wszystkim doświadczenie jako wykładowca Wyższego Seminarium Duchownego w Tarnowie i Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie. Niebawem został samodzielnym pracownikiem naukowym – w 1997 r. habilitował się w dziedzinie teologii na Wydziale Teologicznym Papieskiej Akademii Teologicznej w Krakowie na podstawie rozprawy *Dramat odkupienia. Kategoria dramatyczna w teologii na przykładzie René Girarda, Hansa Ursa von Balthasara i Raymunda Schwagera*. Pięć lat później uzyskał stanowisko profesora nadzwyczajnego Papieskiej Akademii Teologicznej (obecnie, od 2009 r., Uniwersytet Papieski Jana Pawła II w Krakowie).

W latach 1998–2004 pełnił obowiązki rektora tarnowskiego Seminarium Duchownego. Ponadto był założycielem i pierwszym dyrektorem diecezjalnego Wydawnictwa „Biblos", a jego polityka wydawnicza miała za zwornik dialog z kulturą współczesną. Ksiądz dr hab. Stanisław Budzik kładł też podwaliny pod działalność charytatywną Caritas diecezji tarnowskiej.

W lutym 2004 r. Jan Paweł II mianował ks. rektora Budzika biskupem pomocniczym diecezji tarnowskiej. Niedługo po tym został wybrany na sekretarza generalnego Konferencji Episkopatu Polski. W tej funkcji przyczynił się do podpisania porozumień z Telewizją Polską i Polskim Radiem oraz doprowadził do zawarcia ugody w spornych sprawach własnościowych między Polskim Autokefalicznym Kościołem Prawosławnym a Kościołem Greckokatolickim w Polsce. Przez kilka lat pracował w Zespole ds. Rozmów z Rosyjskim Kościołem Prawosławnym. Rezultatem tych negocjacji było opracowanie wspólnego przesłania do narodów Polski i Rosji, które zostało podpisane 17 sierpnia 2012 r. na Zamku Królewskim w Warszawie przez patriarchę Cyryla I oraz ówczesnego przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski abpa Józefa Michalika. Była to pierwsza wizyta i pierwszy wspólny dokument podpisany wspólnie w ponad tysiącletnich dziejach obu narodów i Kościołów.

26 września 2011 r. papież Benedykt XVI mianował ks. bpa Stanisława Budzika arcybiskupem lubelskim. W tym samym roku został wybrany na członka, a następnie na przewodniczącego Rady Programowej Katolickiej Agencji Informacyjnej oraz przewodniczącego Rady Fundacji na rzecz Wymiany Informacji Katolickiej.

Jako arcybiskup lubelski obok pracy stricte pastoralnej zajmuje się także działalnością popularyzatorską. Prowadzi wykłady, odczyty i organizuje różnego rodzaju spotkania. Uczestniczy czynnie w wielu ogólnopolskich i międzynarodowych konferencjach. Inicjuje i z powodzeniem realizuje międzynarodowe kongresy naukowe. 8 października 2019 r. został wybrany na nowego przewodniczącego Komisji Nauki Wiary Konferencji Episkopatu Polski.

Jest autorem licznych publikacji naukowych i popularnonaukowych. W Katalogu Biblioteki Narodowej w Warszawie nazwisko Stanisław Budzik pojawia się, bagatela, 538 razy. Jego książki są też obecne w zasobach Deutsche Nationalbibliothek, czyli Niemieckiej Biblioteki Narodowej, w Lipsku, a także w Bibliotece Kongresu USA. Sprawdziłem to.

V. Czwartym ważnym paradygmatem życia Księdza Arcybiskupa jest amicitia – szczera przyjaźń, trwająca niezależnie od okoliczności i układów. Laureat jest znany jako człowiek życzliwy i oddany ludziom. Zawsze można na niego liczyć. Można rzec: amicitiam colit – pielęgnuje przyjaźń. Pięknym jej wyrazem była m.in. jego szczera troska o zdrowie i warunki życia emerytowanego arcybiskupa lubelskiego Bolesława Pylaka. Troszczy się też o chorych kapłanów. Zawsze ma dla nich czas i otwartą dłoń. Obecność tylu gości na tym spotkaniu mówi sama za siebie. Przede wszystkim to, że AMICITIA w życiu Księdza Arcybiskupa jest pisana wyraźnie dużymi literami.

W duchu przyjaźni odbywa częste podróże na Wschód. Był już w większości krajów dawnego ZSRS. Bywa tam, bo jako Wielki Kanclerz KUL sięga do korzeni życia twórcy naszej Uczelni ks. Idziego Radziszewskiego. Najczęściej jednak chodzi śladami pracujących tam lubelskich

Ks. prof. dr hab. Edward Walewander – Przewodniczący jury

(od lewej) Abp ks. Stanisław Budzik, Teresa Bogacka, Zbigniew Wojciechowski – wicemarszałek woj. lubelskiego

Prezes LO SPP Zbigniew Włodzimierz Fronczek

Prof. dr hab. Feliks Czyżewski – sekretarz jury

Gratulacje od marszałka Zbigniewa Wojciechowskiego

Ewa Hadrian

księży. Podobnie jak jego poprzednicy umacnia ich w wierze i służbie Ludowi Bożemu.

Ma z owych podróży na Wschód wiele ciekawych obserwacji i wspomnień. Wspomnienia Rufina Piotrowskiego, sybiraka, oddają z pewnością doświadczenia nie tylko Księdza Arcybiskupa, ale także wielu z nas podróżujących na Wschód. Warto je zacytować. Są doprawdy nader pouczające.

„Religia katolicka tak jest narodową polską […] – napisał Piotrowski – że Polacy nawet niekatolicy […] z chęcią przychodzili na naszą mszę świętą i szczerze się modlili; a gdym się zapytał, dlaczego tam chodzili, odpowiedzieli: bo ten ksiądz i ta msza katolicka tak przypominają Polskę i jej narodowość […]. I ja ich bardzo dobrze rozumiałem. […]. Przybycie księdza […] było dla nas pewnym rodzajem uroczystości, jak to zapewne w Syberii wszędzie się dzieje, gdzie ksiądz polski do Polaków przybędzie, już to dlatego, że przybywa do nich do spełnienia aktu tak ważnego, tak świętego dla każdego katolika, jakim jest spowiedź; już to dlatego, że ksiądz polski dla Polaka zawsze jest miłym, i pożądanym gościem: bo i obrokiem duchownym gospodarza nakarmi, i rad poczciwych udziela, a przy tym takie u niego serce polskie!"

Obroku duchownego nasz Laureat udziela na Wschodzie często. Na przykład w Berdiańsku na Ukrainie, nad Morzem Azowskim sprawował liturgię i nawet konsekrował w języku rosyjskim nowo wybudowany kościół. Ma dłonie otwarte dla potrzebujących wszelkiego wsparcia, zwłaszcza duchowego, którego tam dzisiaj bardziej potrzeba niż kiedykolwiek wcześniej.

W tym miejscu wypada dopuścić do głosu przynajmniej jednego z kolegów ze szkoły Laureata, chociaż zdecydowanie odeń starszego, którego wszelako Ksiądz Arcybiskup bardzo cenił. Wszystkim nam z pewnością będzie miło, gdy wspomnę Romana Brandstaettera, tarnowianina z urodzenia i z miłości, który na początku lat 20. ubiegłego stulecia także ukończył to samo co Laureat, wspomniane już tarnowskie Liceum im. Kazimierza Brodzińskiego. Wielki pisarz, tłumacz i uznany biblista w swej bardzo ciekawej autobiografii snuł ciekawe wspomnienia. Przytoczę je z lubością w tym szacownym gronie.

„Ojciec Jan siedzi naprzeciw mnie i opowiada o swoich rodzinnych stronach w Tarnowskiem, które są również moimi stronami rodzinnymi – opowiadał ze wzruszeniem Brandstaetter. Padają nazwy, które brzmią dla mnie pełnią poezji i wspomnień: Melsztyn, Zakliczyn, Tuchów, Lisia Góra, Dąbrowa, Żabno, Brzesko, Dunajec, Biała, Zgłobice [kilka kilometrów od Łękawicy]... Słucham z zapartym tchem, a potem już wcale nie słucham, i tylko powtarzam w myślach te nazwy miasteczek, wsi i rzek, a potem i nazwy się zacierają i tylko kojarzę je ze zdarzeniami z czasów mojego dzieciństwa i młodości, z barwami i zapachami

Chór Iubilaeum uświetniający uroczystość

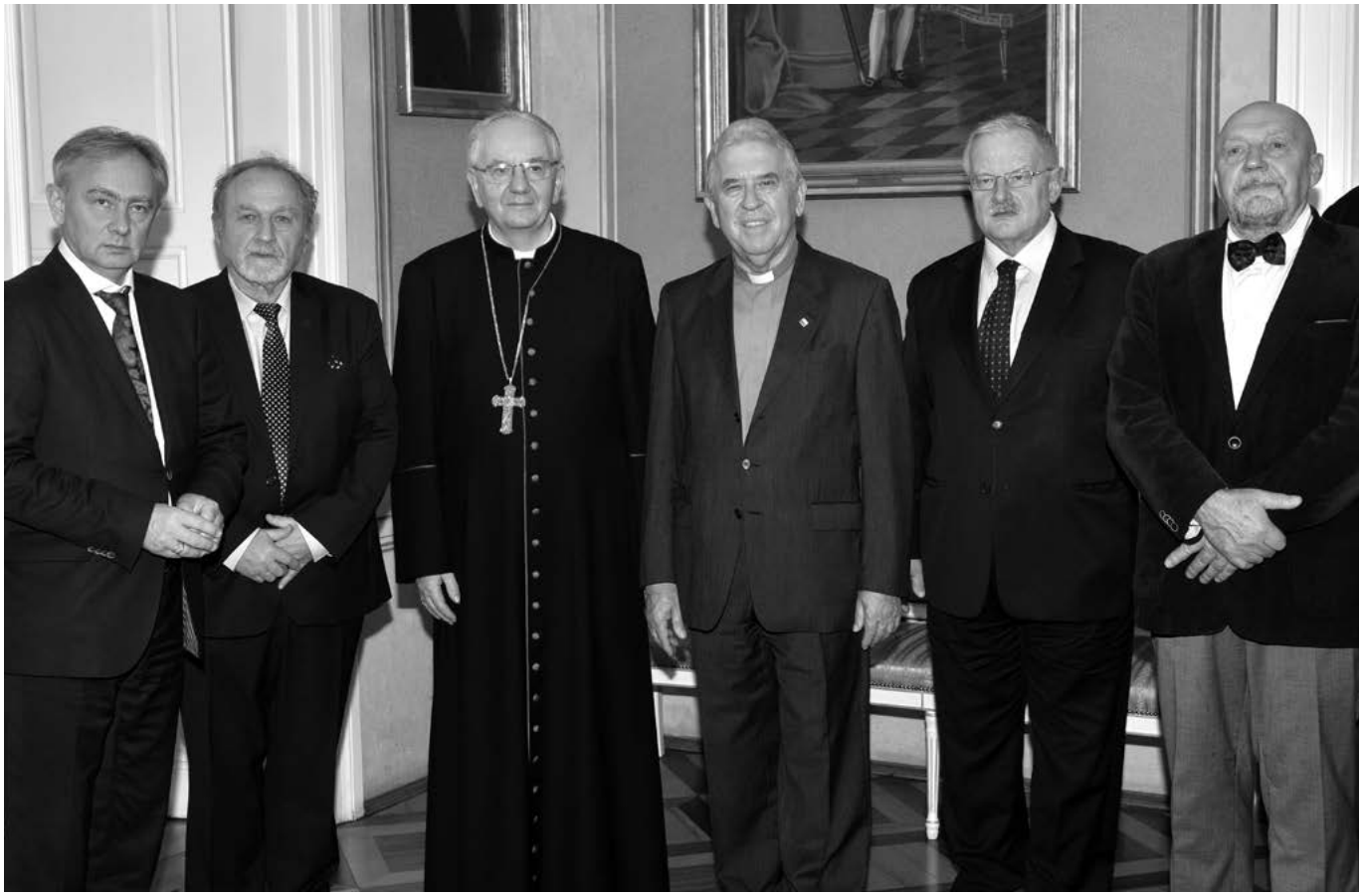

(od lewej) Dyr. Departamentu Kultury UM Andrzej Miskur, dr Jan Sęk. ks. abp Stanisław Budzik, ks. prof. Edward Walewander, dr Tadeusz Skoczek, prezes SPP Zbigniew W. Fronczek

pól, łąk, ogrodów, po których pozostała tylko gorzka wiedza o straconym i nie odzyskanym raju, strzeżonym zazdrośnie przez cienie dawno zmarłych archaniołów".

Czyż laudacja nie może zawierać także takich wspomnieniowych treści?

VI. Drogi Księże Arcybiskupie! Wróćmy do początku naszego dyskursu. Cieszy nas wszystkich, że Twoje serce od zawsze pała do prawdy, sprawiedliwości, krzewienia dobra w życiu codziennym, wszędzie tam, gdzie przychodzi Ci realizować Twoje powołanie życiowe.

Zilustrujmy krótko tę myśl. Arcybiskup lubelski był i wciąż jest gorącym zwolennikiem międzynarodowej współpracy zarówno naukowej, jak też kulturalnej i gospodarczej. Dał temu wyraz między innymi w kazaniu wygłoszonym 1 maja 2019 r. w 15. rocznicę wejścia Polski do Unii Europejskiej. Jego kazanie zrobiło wielkie wrażenie na jurorach wręczanej teraz Nagrody. Pierwszy pasterz Kościoła lubelskiego przypomniał wówczas, że za przystąpieniem Polski do Unii były wszystkie znaczące siły polityczne, wsparte autorytetem Jana Pawła II. Ojciec Święty jako pierwszy wypowiedział to ważne zdanie „Od Unii Lubelskiej do Unii Europejskiej", które uzyskało niezwykłą popularność, a szczególnie mocno i donośnie brzmi w 2019 r., kiedy obchodzimy 450-lecie Unii Lubelskiej. Arcybiskup Budzik wskazał także na wartości, które Polska wnosi do wspólnoty europejskiej: doświadczenie walki z systemami totalitarnymi, wielki ruch społeczny „Solidarność", umiłowanie wolności, czego dowodzi także historia naszych powstań narodowych i pierwsza w Europie konstytucja. Polska jest również wierna wartościom tworzącym Europę. Metropolita lubelski zaapelował wówczas bardzo mocno, byśmy nie podcinali chrześcijańskich korzeni, z których wyrastamy.

Wraz ze szczerymi wyrazami uznania, wdzięczności i szacunku składam, Księże Arcybiskupie, serdeczne gratulacje z racji dzisiejszego wyróżnienia. Dokonując wyboru, szacowne Jury kierowało się kryterium wkładu w kulturę polską. Wzięło pod uwagę postawę kapłana i hierarchy Kościoła katolickiego, który prezentuje otwartość i gotowość do dialogu z drugim człowiekiem. Dowodem tego są między innymi często padające z ust Księdza Arcybiskupa słowa, że Kościół opowiada się zawsze za tym, by jednoczyć ludzi różnych narodów, kontynentów, języków czy przekonań.

Jury Międzynarodowej Nagrody Literackiej im. Józefa Łobodowskiego zdecydowało zatem z pełnym przekonaniem, aby uhonorować człowieka o pałającym sercu, szukającego zawsze prawdy, dobra i piękna.

Ks. Edward Walewader
fotografie **Andrzej Rożek**

Zbigniew
Włodzimierz
Fronczek

Józefów trzech: Łobodowski, Zięba, Piłsudski

W dniu 25 marca 2019 roku w reprezentacyjnej auli Wschodnioeuropejskiego Uniwersytetu Narodowego Uniwersytetu im. Łesi Ukrainki w Łucku odbyła się inauguracja Roku Józefa Łobodowskiego na Ukrainie. Ustanowienie Józefa Łobodowskiego (1909–1988) patronem roku 2019 jest inicjatywą Konsulatu RP w Łucku. Do działań promujących postać i dzieło wielkiego polskiego pisarza został zaproszony – przez panią konsul Teresę Chruszcz – Lubelski Oddział Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. W październiku 2019 roku na tymże Uniwersytecie – w kolejnej odsłonie uroczystości – odbyło się wręczenie Międzynarodowej Nagrody Literackiej im. Józefa Łobodowskiego. Uroczystość przeprowadzono z rozmachem, wzięli w niej udział pracownicy polskiego konsulatu, najwyżsi przedstawiciele Wołyńskiej Obwodowej Administracji Państwowej, władze miasta, rektor łuckiej uczelni, naukowcy, przybył wicemarszałek Województwa Lubelskiego Zbigniew Wojciechowski oraz liczna grupa pisarzy i dziennikarzy lubelskich, w której znalazł się Józef Zięba. Przywołuję postać Józefa Zięby, znakomitego poety, prozaika i eseisty, bowiem pisarz ten posiada olbrzymi udział w przywracaniu pamięci o Józefie Łobodowskim, wybitnym autorze skazanym przez komunistów na zapomnienie.

Łobodowski to nie tylko autor znakomitych wierszy, także bezkompromisowy publicysta, świetny prozaik, dziennikarz radiowy, polityk, wielka postać europejskiej emigracji politycznej. Na emigracji w Hiszpanii, gdzie przyszło mu wieść ciężkie życie emigranta w latach 1945–1988, obnosił się ze swym antykomunizmem, jak w młodości demonstracyjnie manifestował lewicowe sympatie. Był – w tym przypadku rzecz najważniejsza – przyjacielem Ukrainy, tłumaczem ukraińskiej poezji, niezastąpionym rzecznikiem pojednania polsko-ukraińskiego, przez Ukraińców uznanym „za łącznika pomiędzy literaturą polską a ukraińską".

Zmarł w Madrycie w roku 1988, urna z jego prochami została „konspiracyjnie" wwieziona do kraju, a na lubelskim cmentarzu żegnał go – w imieniu środowiska literackiego – Józef Zięba. Wypowiedział wówczas słowa: „Pogrzeb prochów poety śp. Józefa Łobodowskiego każe nam nie żegnać Go, ale witać. Wraca bowiem do ojczystej ziemi, do której tęsknił i o której napisał wiele pięknych wierszy. Wraca do Lublina, na cmentarz przy ulicy Lipowej, któremu poświęcił też swoje strofy. Wraca do ziemi, która już jego prochów nie rozgubi. Spełnia się Jego wola – zostanie pochowany w grobie obok swojej matki.

Wraca do kraju po półwiecznej tułaczce.

Opuścił ojczyznę we wrześniu 1939 roku, by dalej walczyć o jej wolność i niepodległość. Walki tej do końca swego życia nie zaprzestał. Walczył najpierw jako żołnierz, potem jako poeta i publicysta.

Za tę działalność skazany był w kraju „na zapomnienie" Do chwili obecnej nie opublikowano tu nawet skromnego wyboru jego wierszy".

Pierwszy powojenny wybór wierszy Józefa Łobodowskiego ukazał się w roku 1990 w Wydawnictwie Lubelskim. Autorem wyboru i wstępu był Józef Zięba.

W roku 2015 Lubelski Oddział Stowarzyszenia Pisarzy Polskich ustanowił Międzynarodową Nagrodę Literacką im. Józefa Łobodowskiego. W roku 2019, w piątej edycji Międzynarodowej Nagrody, Laureatami zostali: arcybiskup lubelski ks. prof. dr hab. Stanisław Budzik, bułgarski poeta i tłumacz literatury polskiej Łyczezar Seliaszki, ukraiński naukowiec prof. Hryhorij Arkuszyn, ukraiński dyrygent, artysta muzyk Serhij Efimienko.

Józef Zięba urodził się na Wołyniu w roku 1932, rodzinne okolice przyszło opuścić w roku 1943, znalazł się w Chełmie (mieście ocalenia – jak napisze po latach w swych pamiętnikach), gdzie w roku 1951 ukończył liceum, następnie (już w Lublinie – mieście przeznaczenia) studia polonistyczne na Katolickim Uniwersytecie. W roku 2001 opublikował tom *Znad Stochodu*. Wspomnienia wołyńskie, wydanie uzupełnione ukazało się w roku 2018. W znakomitym tomie Autor przywołuje lata spędzone w Powursku, przypomina sylwetki i charaktery sąsiadów: rzemieślników, drobnych kupców, przedsiębiorców i wojskowych, opisuje pierwsze dni w szkole i manewry polskiego wojska na tutejszym poligonie. Relacjonuje pojawienie się na Wołyniu Niemców, armii sowieckiej, band UPA, dokumentuje wojenne zachowania Polaków, Niemców, Żydów, Ukraińców, Rosjan.

W okolicy Powurska – jak się rzekło – był poligon wojskowy, pojawiały się na nim oddziały polskiej kawalerii, piechoty, artylerii. Przybywał tu sam marszałek Piłsudski, który wizytował manewry. Marszałek – jak pisze Józef Zięba – zaszczycał swą obecnością położony w pobliżu dwór pana Moczulskiego z Hulewicz. Dwór, który jakimś cudem ocalał w czasie wojny i wstrzymanego nad Stochodem frontu. Było to największe święto, na które oczekiwało się w Hulewiczach przez cały rok. Pan Moczulski – tu fragment pięknego opisu Józefa Zięby – „w oznaczonym dniu przywdziewał frak, w którym, jak mówili złośliwi, wyglądał niby stara, wyrudziała czapla, wychodził przed ganek, wypatrywał. Nikt nie znał godziny przybycia Marszałka. Była to wojskowa tajemnica. W otoczeniu generałów i wyższych oficerów zjawiał się niespodziewanie, wszyscy na pięknych, rasowych rumakach, w polowych mundurach". Piłsudski przybywał tu chętnie, wszak na tych terenach kilkanaście lat wcześniej Legiony toczyły zacięte boje z Rosjanami. Leżąca pobliżu wieś Kostiuchnówka to miejsce chwały polskiego oręża. Na okolicznych polach pozostały wojskowe cmentarze, w samej Kostiuchnówce szkoła wzniesiona ze składek legionistów, wreszcie kopiec usypany na pamiątkę bitwy, a także nazwy miejscowości upamiętniające sukcesy militarne i miejsca postoju legionistów: Polska Górka, Nowy Jastków, Nowa Rarańcza. W lipcu 1936 roku na Polskiej Górze odbyły się uroczystości 20.lecia bitwy, największe obchody w całej historii II RP, wzięło w nich udział ponad 20 tysięcy ludzi. Z tej okazji wyremontowano drogi prowadzące do Kostiuchnówki, odrestaurowano „Redutę Piłsudskiego", ziemianki i okopy. W dniu 5 lipca 1936 roku odbyło się uroczyste poświęcenie szkoły w Kostiuchnówce, stała się ona symbolicznym pomnikiem żołnierzy Legionów, pełniła też funkcje ośrodka turystycznego.

Dom, który wzniósł ojciec Władysław Zięba, ojciec Józefa, znajdował się w Powursku przy ulicy Aleksandra Sulkiewicza, żołnierza i przyjaciela Piłsudskiego. Nie ma już ulicy Sulkiewicza, ale dom Ziębów przetrwał. Grób Sulkiewicza znajduje się na warszawskich Powązkach, na grobie napis: Aleksander Hozman Mirza Sulkiewicz (ps. „Michał", „Czarny") bojownik o niepodległość i prawa ludu pracującego, towarzysz walki Józefa Piłsudskiego, ur. 8 XII 1867, poległ jako sierżant 5 pp I Brygady Legionów Polskich pod Sitowiczami 18 IX 1916.

Ulica w Powursku nazwana została imieniem Legionisty na pamiątkę przewożenia przez tę miejscowość ciała Sulkiewicza z frontu nad Stochodem do stacji kolejowej w Polskiej Górze.

Obszerny, drewniany dom pokryty został blachą ściągniętą, już po wojnie, z austriackich bunkrów. To solidna blacha. Do dzisiaj służy, nie przecieka.

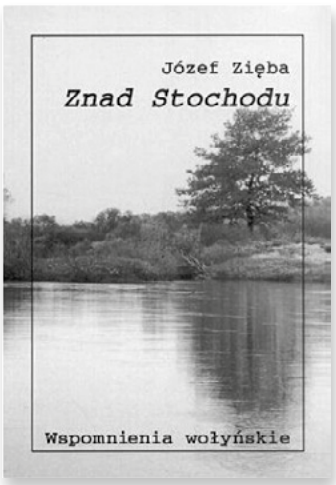

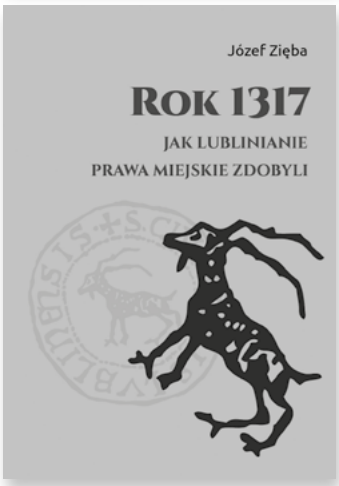

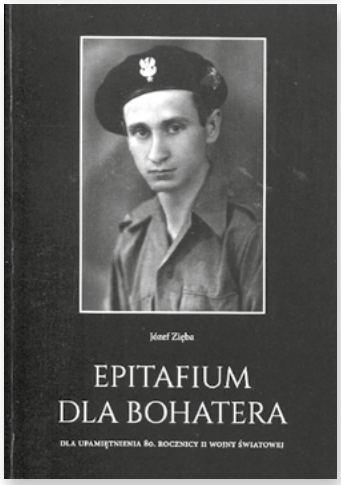

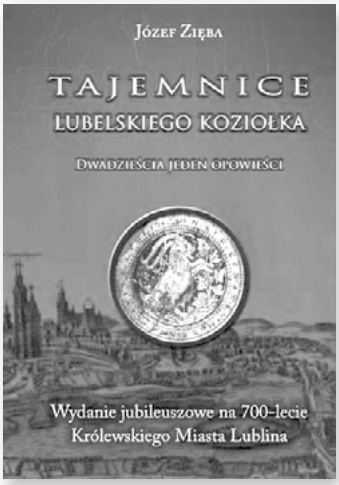

Nie przetrwał dwór pana Moczulskiego w Hulewiczach. Nawet trudno odnaleźć miejsce, gdzie budynek wzniesiono.

Przetrwał budynek starej szkoły w Kostiuchnówce. Nadal służy uczniom. Mieści się w nim szkoła muzyczna. Obok, wybudowano nowy, piętrowy , od roku 2011 funkcjonuje w nim Centrum Dialogu Kostiuchnówka. Dyrektorem placówki jest harcmistrz Jarosław Górecki.

Przetrwała szkoła, w której naukę w roku 1939 rozpoczął Józef Zięba. Naukę rozpoczął w języku polskim, edukację kontynuował w języku ukraińskim, a następnie w rosyjskim. Odnowiony budynek znajduje się na obszernym placu, wiodą doń dwie alejki wysadzane kasztanami. Józef Zięba pierwszy raz odwiedził swą dawną szkołę w roku 2004, zostawił swoje książki, przeczytano je z zainteresowaniem, eksponowane są w szkolnym muzeum na honorowym miejscu, zaś ich autor witany jest tutaj przez grono nauczycielskie jak wypróbowany przyjaciel.

*

Słynna reduta Piłsudskiego to umocnienia legionistów zbudowane na piaszczystej wydmie w rozlewiskach niewielkiej rzeczułki Garbach. Na reducie własnego imienia pojawił się sam Józef Piłsudski. Jak odnotowano w wielu pamiętnikach „fakt jego przybycia na pierwszą linię znacząco podniósł morale żołnierzy". Obrona Reduty, choć zakończona wycofaniem się z pozycji, odegrała jedną z kluczowych ról w bitwie pod Kostiuchnówką.

*

Wczesne dzieciństwo Józefa Łobodowskiego upłynęło w Lublinie. W 1914 roku, po wybuchu I wojny światowej, rodzina Łobodowskich (ojciec Władysław służył w stopniu oficera w carskiej armii) została ewakuowana w głąb Rosji. Do 1917 roku mieszkali w Moskwie, a następnie przenieśli się na północny Kaukaz, osiedlając w Jejsku. Tu Józef rozpoczął naukę w rosyjskim gimnazjum. Niedługo potem, w czasie rewolucji, umarł ojciec przyszłego poety, a w transporcie jadącym do kraju – starsza siostra, Janina. W 1922 roku Stefania Łobodowska wraz z dziećmi, Wandą i Józefem, powróciła do Lublina, gdzie Łobodowski podjął edukację w Gimnazjum im. Jana Hetmana Zamoyskiego.

*

W roku 1932 Łobodowski napisał wiersz zatytułowany „piłsudski". Czesław Miłosz wspominał: „wiersz dobrze ilustruje niejasność właściwą całej tamtej epoce. Pochodzi ze zbioru w przeddzień wydanego w 1932 roku w ograniczonej ilości 100 egzemplarzy wyłącznie dla znajomych i przyjaciół". I dodawał: „Wspomina on w wierszu o wydarzeniu, które zaiste zapadło w otchłań niepamięci. W owym czasie głośna była sprawa wyzysku w Zakładach Włókienniczych Żyrardów i nawet używano jej jako przykładu eksploatacji polskich robotników przez obcy – w danym przypadku francuski – kapitał. Robotnik Blachowski zastrzelił jednego z dyrektorów francuskiej spółki, Gastona Koehlera.

Józef Piłsudski pod Kostiuchnówką, rok 1916

Józef Łobodowski

piłsudski

oto są ręce młoty w zecerni jak w kuźni
krew się lepi nie farba na czarnych literach
towarzyszu piłsudski
w trzydzieści lat później
juljan blachowski zabije gastona koehlera
wiem litwa dzieciństwa jest wonią mirry i nardu
ojczyzna kwitnie w pałacu białego cieniach
ale gdzie podziać się z sercem gdy czarny wstanie żyrardów
i barykadą kamienną runie na progu sumienia
pomorze wbite włócznią w spienione ciało bałtyku
śląsk buchający ogniem borysław naftą chlusta
łatwo uskrzydlić się dumą piersi naderwać od krzyków
i czyjeś święte imię po stokroć ślinić na ustach
łatwo zczerwienić skronie od tętniącego żaru
gdy miastem marsz uderzy w ułańskie proporce
a ciężej przebić się młodym przez słowa polska i naród
i głowy na barach osadzić jak kosy sztorcem
sznurki krzaczastych brwi niech szarym związą się lontem
iskrą ze źrenic do dynamitu mózgu
trzydzieści lat temu jak teraz groził artykuł 105
serce człowieka szło na spotkanie liktorskim rózgom
za belwederu oknami wicher nie ucichł
spadek duchów umarłych siwą głowę obarcza
towarzyszu piłsudski
w przeddzień polskiej rewolucji
krwią wasze imię wypisujemy na tarczach

Utwór *piłsudski* (pisownia zgodna z oryginałem) zaczerpnięty został z *Antologii poezji społecznej 1924–1933*, Wilno 1933

Szkoła w Powursku. (od lewej) Z. W. Fronczek, L. Fiłozof, J. Zięba, A. Mikiciuk, prof. F. Czyżewski

Przed szkołą w Powursku

Szkolna izba muzealna w Powursku. Na pierwszym planie J. Zięba

Józef Zięba z grupą ukraińskich nauczycielek. Z prawej L. Fiłozof

Za los robotnic w zakładach żyrardowskich Piłsudski nie mógł być odpowiedzialny, a jednak w wierszu jest to rzeczywistość, którą jakby powołał do życia, wywalczając niepodległość kraju. Nie wiadomo, czego poeta oczekuje od Piłsudskiego? Żeby zrobił jeszcze jeden wysiłek i przeprowadził radykalne reformy? Czy też żeby zachęcił kohorty młodych swoich zwolenników do radykalizacji? I o jaką rdzennie polską rewolucję tutaj chodzi? Czyżby to było echo tych wewnętrznych zmagań, które dręczyły Cezarego Barykę z napisanego parę lat wcześniej Przedwiośnia"? („Tygodnik Powszechny" z 14 grudnia 2003 roku).

*

I jeszcze dwa zdania Józefa Zięby: „Pod koniec czerwca 1932 r. wydał kolejny swój tom wierszy W przeddzień, na który już chyba z przyzwyczajenia przeczulony starosta grodzki za utwór „piłsudski" nałożył 2 lipca areszt, uchylony dziewięć dni później przez Sąd Okręgowy w Lublinie. Łobodowski triumfował. (Tygodnik lubelski „Relacje" nr 6/89)

*

Jesienią 1933 roku Łobodowski został powołany do służby wojskowej w Równem. Za nieudaną próbę samobójstwa trafił do aresztu. W tym czasie w Warszawie odbywało się w Warszawie ogólnopolskie spotkanie młodych poetów awangardowych, na którym odczytano jego wiersz „piłsudski". Utwór wywarł jednak tak duże wrażenie na zebranych, iż poeci, na czele z Kazimierą Iłłakowiczówną (osobistą sekretarką marszałka Józefa Piłsudskiego), dołożyli starań, aby Łobodowski został uwolniony z aresztu i mógł opuścić szeregi armii. Irena Szypowska wspominała: „W końcu marca Łobodowski wyszedł na wolność. Wielkanoc spędził już w Lublinie. Jego żona mówiła mi, ze wiersz spodobał się Marszałkowi tak, ze kazał przekazać autorowi tysiąc złotych, za które ten ubrał się elegancko od stóp do głów, czy zachwycił lubelskie panny razem z kawalerami zaproszone do lokalu. W szampańskim nastroju odbywało się spotkanie całej paczki. Byli: Czechowicz, Domiński, Madej, Wójcik. Wałkowali sprawę przy wódeczce z dobrą zakąską".

*

Wątek ukraiński pojawił się w biografii poety w czasie studiów. Szczególnie mocno wybrzmiał w momencie, w którym pisarz zerwał z sympatiami komunistycznymi. Na przełomie 1934 i 1935 roku Łobodowski otrzymał wiadomość o wielkim głodzie na Ukrainie. W roku 1935 – jak opowiadał w jednym z wywiadów – przedostał się przez granicę, aby wszystko obejrzeć na własne oczy. Wyprawę opisał po latach w powieści *W stanicy*. To jeden z tomów trylogii o dziejach Józefa Zakrzewskiego. Cykl uzupełniają dzieła *Droga powrotna* i *Komysze*.

*

W roku 1935 (dokładnie 12 maja) umiera Józef Piłsudski, trwa żałoba narodowa, także w Powursku. Rok później na Wołyniu, na Polskiej Górze, trwają obchody 20. rocznicy bitwy pod Kostiuchnówką. Przyjadą bohaterzy tamtej bitwy, także licznie pojawią się przedstawiciele władzy. Wybrukowano 10-kilometrowy odcinek drogi od stacji kolejowej do Polskiej Góry. Do transportu uczestników uroczystości wykorzystano samochody i dziesiątki furmanek, uruchomiono 25 kuchni polowych i wiele bufetów, wywiercono dwie studnie z wodą pitną, zorganizowano kiermasz wyrobów ludowych, otwarto tymczasowy urząd pocztowy. Polskie radio transmitowało przebieg uroczystości, na miejscu pracowały dziesiątki dziennikarzy i fotoreporterów z całej Polski. Także gazety wołyńskie nie skąpiły miejsca na opisy i relacje z uroczystych wydarzeń.

*

Pod Polską Górą pojawił się ojciec Autora z wyrobami masarskimi, namówiony do handlowej wyprawy przez operatywnego producenta lodów. Było to w roku 1937, a może 38. Niestety, wyprawa skończyła się klęską finansową. Po prostu niespodziewana ulewa zakłóciła przebieg uroczystości.

*

Działalność publicystyczna Łobodowskiego nie mijała bez echa. Zainteresował się nią ówczesny wojewoda wołyński Henryk Józewski, który stawiał sobie za cel złagodzenie narodowościowych konfliktów na Wołyniu. Poeta szermujący hasłem wybaczania wzajemnych win, tytułujący się Atamanem Łobodą, afiszujący się z miłością do Ukrainy, wydawał się idealnym partnerem w realizacji wytkniętego przez wojewodę celu. W 1937 Łobodowski otrzymał zaproszenie do redagowania tygodnika „Wołyń". Bez ociągania pojawił się w Łucku, zasiadł za redakcyjnym biurkiem i w swych artykułach, którymi pracowicie wypełniał łamy tygodnika, próbował budzić u wołyńskich Ukraińców poczucie przynależności do państwa polskiego. Czynił to z pasją, z niezachwianą wiarą we własną misję, być może sił dodawało przekonanie, że los wyznaczył mu – ostatniemu romantykowi – rolę kontynuatora „szkoły ukraińskiej polskiego romantyzmu" i pozwala wnieść do pięknej i szlachetnej tradycji nową, aktualną problematykę społeczną i polityczną. Niestety, wojewoda Józewski został niebawem odwołany ze swego stanowiska, Łobodowski opuścił redakcyjny stołek, ale zainteresowań Ukrainą, jej twórcami nie porzucił. Na emigracji, na którą został skazany, zyska przydomek przyjaciela Ukrainy.

*

Łobodowski wydawał swe książki w niewielkich nakładach liczących po kilkaset sztuk. Zdarzyło sie, że pewien polityczny tekst poety wydrukowano w milionie egzemplarzy. Los (tragiczny i kpiarski) zrządził, że nie został rozkolportowany. We wrześniu 1939 roku sytuacja na Wołyniu stawała się tragiczna, pozostające na emigracji władze Polski próbowały łagodzić polsko-ukraińskie konflikty. Zwrócono się do pisarza – przebywającego wówczas we Francji – o napisanie dwóch ulotek, rosyjskiej do żołnierzy armii czerwonej i ukraińskiej do ludności cywilnej na kresach południowych-wschodnich w celu życzliwszego nastawienia jej do Polaków. Ulotki miały być zrzucone →

Legioniści przed pomnikiem swych towarzyszy broni, Polska Góra, rok 1928

Na Polskiej Górze pod pomnikiem Legionistów dr Józef Zięba i dr Jan Sęk

z samolotów. Pisarz, zgodnie z zamówieniem, ulotki napisał i przełożył. Z niewiadomych przyczyn plan ten nie został zrealizowany. Tekst pozostaje nieznany, warto się z nim zapoznać, gdyż jest to zupełnie nieznany epizod w działalności pisarza na rzecz poprawy relacji pomiędzy dwoma narodami.

„Ukraińcy!

Na ziemię Halicką, na Wołyń i Polesie przyszli najcięższi wrogowie ukraińskiego i polskiego narodów. Kaci bolszewiccy rzucili się na naszą ziemię, aby wyniszczyć ją krwią i żelazem, napełnić Sołówki najlepszymi synami narodów, spustoszyć wszystko do cna i zostawić zgliszcza zlane własnymi łzami.

Jak hiena żerująca na pobojowisku, bolszewicka Moskwa zajmuje obce ziemie i ośmiela się jeszcze kłamać, że podaje rękę pomocy swoim braciom Ukraińcom! – pies im bratem, nie Ukrainiec!

Wbrew woli i życzeniom zarówno Ukraińców jak i Polaków, czerwona horda zachęcona przez niemiecką władzę Hitlera, przyszło po złodziejsku, nikczemnie i wzięła w opiekę wasze życie i majątek, żeby wyniszczyć stuletnie kulturalne i narodowe zdobycze.

Pamiętając o bolszewikach, nie zapominajcie o tem, ze Niemcy przez tyle lat paraliżowały czujność i wole ukraińskiego narodu, udając obrońcę i przyjaciela, podbijając cenę ukraińskich ziem, po to, by je najkorzystniej sprzedać.

Hitler oddał Ukraińców na pożarcie moskiewskiemu molochowi, który wziął w swe ręce wszystkie organizacje ekonomiczne i kulturalne, wszystkie instytucje naukowe i grozi zniszczeniem całości duchowego dorobku narodu.

Taki sam straszny los szykuje czerwona Moskwa polskiemu społeczeństwu Galicji i Wołynia. Gdy więc i Polacy i Ukraińcy jęczą w moskiewskim więzieniu, gdy nasz wspólny dorobek kulturalny stał się zdobyczą czerwonych katów, musimy dziś pojednać się i skierować wszystkie duchowe i materialne siły ku walce z najstraszniejszym wrogiem – Moskwą.

Wierzymy głęboko: wszystko to, co w przeszłości kłóciło polski i ukraiński narody, zostało przezwyciężone w sąsiedzkim współżyciu i wkrótce już nastanie czas dla tej Bożej sprawiedliwości, która rozwiąże i rozstrzygnie nasze sprawy. Wówczas spełni się testament Tarasa Szewczenki, który pisał: „niech dzieci wiedzą, jak ich ojcowie błądzili, niech się bratają ze swymi wrogami – i wówczas przestaniemy popełniać wspólnie błędy, kłócąc się o sąsiedzką miedzę.

Niech żyje braterska zgoda polsko-ukraińska.

Niech żyje wspólna walka z czerwoną najeźdźcą!

Niech żyje wyzwolenie polskiego i ukraińskiego narodów z moskiewskiego więzienia!"

*

O świcie (godzina 3.00 nad ranem) 11 lipca 1943 oddziały UPA dokonały skoordynowanego ataku na 99 polskich miejscowości, głównie w powiatach horochowskim i włodzimierskim pod hasłem „Śmierć Lacham". Po otoczeniu wsi, by uniemożliwić mieszkańcom ucieczkę, dochodziło do rzezi i zniszczeń. Ludność polska ginęła od kul, siekier, wideł, kos, pił, noży, młotków i innych narzędzi zbrodni. Polskie wsie po wymordowaniu ludności były palone, by

uniemożliwić ponowne osiedlenie. Była to akcja dobrze przygotowana i zaplanowana.

– Na Hutę Stepańską napadli! Na Hutę Stepańską napadli – powtarzali w Powursku przywiezioną przez kolejarzy wiadomość. Do morderstw polskiej ludności doszło w niedalekich Dubnikach. Ciała pomordowanych Polacy przywieźli do Powurska i ułożyli na słomie przy stodółce księdza i przykryli derkami Przychodzili ludzie, podnosili derki i odchodzili przerażeni.

Józef Zięba pisze: „Ja też chciałem to wszystko zobaczyć. Poszedłem tam, kiedy nikogo nie było. Słoma oświetlona promieniami słońca miała jakąś dziwną złotą jaskrawość. Ostry cień rzucała na jej skraj stojąca obok obórka. Poszedłem bliżej. Już to wszystko wiedziałem, bo brat mi opowiedział. Rozprute bagnetami brzuchy, rozdarte dziecięce nóżki. Chciałem sam to wszystko zobaczyć. Pochyliłem się, próbowałem wyciągnąć rękę do derki, ale powstrzymała mnie jakaś dziwna siła. Stałem jak sparaliżowany. Widziałem tylko oślepiający złoty blask słomy i ten ostry cień. Tylko ten blask i cień zostały w mojej pamięci".

*

Stochód (ukr. Stochid) to rzeka na północno-zachodniej Ukrainie, prawy dopływ Prypeci. Wypływa z Wyżyny Wołyńskiej, jej długość wynosi 188 km, a powierzchnia dorzecza 3125 km². Nazwa rzeki pochodzi od wielu starorzeczy i kanałów (sto chid – sto dróg). Jedyną większą miejscowością nad Stochodem jest Lubieszów. Od czerwca 1916 do sierpnia 1917 roku na rzece opierała się linia frontu wschodniego I wojny światowej.

Wspomnienia Znad Stochodu przeczytałem w ciągu dnia. Książka była dla mnie zaskoczeniem. O pięknie i brzydocie, o historiach subtelnych i drastycznych, o rzeczach niezwykłych i codziennych, o odwadze i tchórzostwie. Sięgnąłem po inne publikacje związane z walkami nad Stochodem. Przeczytałem Krasickiego Dziennik z kampanii rosyjskiej 1914 –1916, Lenczowskiego Pamiętnik kapelana Legionów, Lipińskiego Szlakiem I Brygady. Dziennik żołnierski, Mirka Opowieści legionisty. Wspomnienia – nie tylko frontowe, spisane przez uczestnika walk w Legionach Piłsudskiego, Składkowskiego Moja służba w Brygadzie. Pamiętnik polowy. Odnalazłem reportaż Dąbrowskiego z frontu nad Stochodem publikowany w 5 numerze „Tygodnika Ilustrowanego" z roku 1916. Wiedziałem, bo miałem taka potrzebę, że kiedyś i ja pojawię się nad grobami Legionów. Wiele lat przyszło mi czekać na moją wyprawę po szlakach Legionów.

*

Po szlaku Legionów, po chłopięcych ścieżkach Józefa Zięby wędrowaliśmy 26–28 września z grupą pisarzy, dziennikarzy, naukowców przybyłych do Łucka na międzynarodową sesję „Literacka spuścizna Józefa Łobodowskiego

Dom w Powursku wzniesiony przez Władysława Ziębę, ojca Józefa

Józef Zięba na powurskiej ulicy

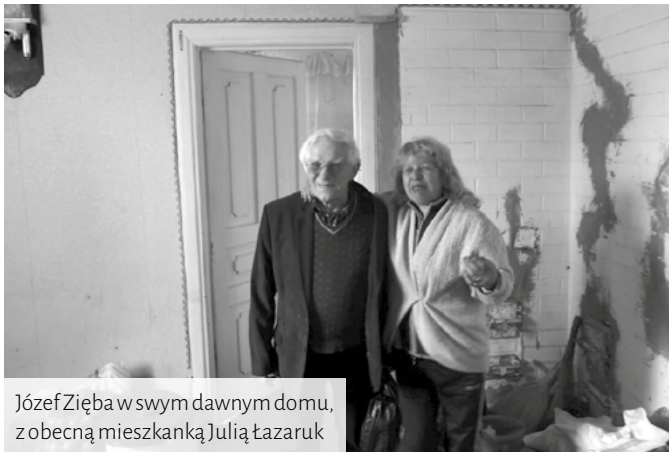

Józef Zięba w swym dawnym domu, z obecną mieszkanką Julią Łazaruk

Powursk...

Cmentarz Legionistów poległych pod Kostiuchnówką

Cmentarz Legionistów poległych pod Kostiuchnówką

P. Lachnowicz, W. Górecki, J. Sęk, A. Dzięcioł, Z. W. Fronczek, K. Stankiewicz, J. Zięba, A. Mikiciuk, A. Dudek-Szumigaj, R. Jaworska

Cmentarz Legionistów poległych pod Kostiuchnówką

w kulturowym kontekście współczesności". W roli przewodnika wystąpiła Łarysa Fiłozof, dobra znajoma Józefa Zięby, mieszkanka Powurska.

Z Łucka do Kostiuchnówki nie ma stu kilometrów, ale jeśli znajdzie się kierowca, który busem pokona tę trasę poniżej pięciu godzin, godzien jest tytułu mistrza kierownicy. Pięćdziesiąt kilometrów polnymi duktami, bez drogowskazów, przez rozwalające się mostki, rozmokłe, wypełnione podeszczową wodą doły w drogach. Parę dni przed nami nad grobami Legionistów – jak wyczytałem w polskiej prasie – pochylił się marszałek Senatu Stanisław Karczewski. Jak dotarł do Kostiuchnówki? Może trasą przygotowaną dla uczestników spotkania w roku 1936?

*

W roku 1993 odnową kopca na Polskiej Górze zajęło się Stowarzyszenie „Pomost" ze Zgierza oraz Społeczny Komitet Pamięci Józefa Piłsudskiego z Łodzi. Anatol Sulik i Adam Zamojski opracowali Przewodnik historyczny po wołyńskim pobojowisku Józefa Piłsudskiego pod Kostiuchnówką (1915–1916). Autorzy opracowali 20 odcinków liczących od 2 do 10 kilometrów, zwracam uwagę na odcinek 2 ze słupami pamięci w „Nowej Rarańczy" i „Nowym Jastkowie". Trasa liczy około 5 kilometrów i prowadzi leśnymi duktami na niewielkie wzniesienie, na którym stoi słup pamięci „Nowy Jastków" – miejsce postoju dowództwa 6 p.p. oraz dwóch batalionów tego pułku, na słupie napis:

Nowy
Jastków
Stąd dowodził
Osobiście
Komendant
Józef
Piłsudski
zwycięską
walką
I Brygady legionów
Z przeważającymi
Siłami wojsk
Rosyjskich
5 lipiec 1916 r.

Nazwa miejsca nawiązuję do zwycięskiej bitwy pod Jastkowem na Lubelszczyźnie latem 1915 roku.

*

Losy cmentarzy Legionistów na Wołyniu były różne. Po odzyskaniu niepodległości w roku 1918 władze polskie roztoczyły opiekę nad mogiłami poległych Legionistów. Na każdej mogile pojawił się krzyż oraz tabliczka z imieniem, nazwiskiem i stopniem wojskowym poległego. Dziesięć lat później na wojennych cmentarzach Legionistów w okolicach Kostiuchnówki ufundowano bazaltowe

kolumny pamięci. Były imponujących rozmiarów: 3 metry wysokości, ważyły po kilka ton, każda zwieńczona legionowym orłem. Inskrypcja na kolumnie z Polskiej Góry brzmiała:

„Rycerzom Niepodległości
Legionistom
Józefa Piłsudskiego
Którzy największą ofiarę
Życiem własnym
Dali na tym miejscu świadectwo swej wiary
W Zmartwychwstanie Polski

W latach pięćdziesiątych w Kostiuchnówce budowano kołchoz, pomnik ukraińskiego komunizmu, kolumny z polskich cmentarzy wykorzystywano jako materiał budowlany.

W 2010 roku władze polskie zakupiły w Kostiuchnówce budynek dawnej Szkoły Polskiej ufundowany w roku 1936 przez Legionistów Józefa Piłsudskiego. Budynek poddano renowacji z myślą o przywróceniu tutaj ośrodka dla odwiedzających miejsca legionowych bitew. W roku 2011 odbyło się oficjalne otwarcie wyremontowanego obiektu Centrum Dialogu Kostiuchnówka. Urzęduje tam Jarosław Górecki – instruktor harcerski, harcmistrz, opiekun i wychowawca młodzieży, dyrektor ZHP Chorągwi Łódzkiej Centrum Dialogu Kostiuchnówka.

W Centrum funkcjonuje Sala Tradycji, której partnerem jest Muzeum Józefa Piłsudskiego w Sulejówku, Muzeum Niepodległości w Warszawie i Muzeum Tradycji Niepodległościowych w Łodzi.

Prace nad uporządkowaniem polskich cmentarzy zaczęły się – jak opowiada harcmistrz Jarosław Górecki – w roku 1997. Cmentarze porządkowała młodzież w czasie wakacji. W roku 1998 akcją zainteresowała się Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa na czele z ministrem Andrzejem Przewoźnikiem.

W Kostiuchnówce powrócono do jeszcze jednej tradycji. Przed wojną z krakowskich Oleandrów do Kostiuchnówki biegła harcerska sztafeta W Kostiuchnówce zapalała ogień pamięci i wracała z nim do Krakowa, gdzie powracali na Święto Niepodległości Od roku 2000 ogień przewożą harcerze sztafetą rowerową, jednak nie do Krakowa lecz do Warszawy.

Jarosław Górecki mówi: ta ziemia cały czas oddaje nam pamiątki po Legionach. Musimy więc czuwać, aby żadna z nich nie uległa zapomnieniu. I jeszcze jedno zdanie warte odnotowania: „nasze centrum jest mekką polskiej niepodległości na Wschodzie".

Cieszę się, że do tej mekki dotarłem z przyjaciółmi.

Zbigniew Włodzimierz Fronczek
fot. Wojciech Pestka

Cmentarz Legionistów poległych pod Kołkami

W Centrum Dialogu w Kostiuchnówce: Józef Zięba i Zbigniew W. Fronczek

Mogiła legionisty

Oddziały I Brygady legionów Polskich wkraczają do Czeremoszyna po bitwie pod Kostiuchnówka.
Z prawej na ciemnych koniach Komendant Józef Piłsudski i płk Kazimierz Sosnkowski, 10.07.1916

Oddziały I Brygady legionów w czasie przemarszu przez Maniowice w drodze na pozycje pod Kostiuchnówką, 28.04.1916 r.

Tabory I Brygady legionów Polskich w Nowej Rarańczy zajmują się naprawą i konserwacją wozów – dwukółek oraz suszeniem plandek. W głębi jeńcy rosyjscy

Legioniści w okopach na pozycjach na froncie nad Syrem, pozycje pod Kostiuchnówką.

Okopy II Brygady Legionów Polskich pod Kostiuchnówką, wiosna 1916

ZBIGNIEW
FURGAŁ

Legiony na Wołyniu

Skąd na Wołyniu wzięły się Legiony? I Brygada Legionów i 4 Pułk Piechoty z 3 Brygady już na przełomie sierpnia i września 1915 roku przekroczyły Bug pod Włodawą i przez Luboml dotarły do Kowla. Jesienią z Bukowiny dotarły także oddziały 2 Brygady Legionów. Przez ponad rok wszystkie trzy brygady polskich Legionów, stanowiących formacje pomocnicze armii austriackiej i niemieckiej, prowadziły działania zbrojne na Wołyniu. Pod Kostiuchnówką (Kościuchnówką, Kostiuchniwką), wsią leżącą na północny-wschód od Łucka, rozegrały się w tej wojnie dwie bitwy. We wrześniu i listopadzie 1915 r. walczyła tu II Brygada, zwana żelazną lub karpacką, dowodzoną ówcześnie przez austriackiego oficera, płk. Ferdynanda Kuttnera. Polacy zajęli wieś i zdobyli panujące nad okolicą wzgórze cegielniane wypierając Rosjan z mocno ufortyfikowanej placówki. Wtedy to, w uznaniu krwawych zasług legionistów, niemieccy sojusznicy, nazwali górę pod Kostiuchnówką „Polską Górą" i nazwa ta (w geografii) funkcjonuje do dzisiaj. W walkach tych wzięli udział żołnierze Legionu Śląskiego, ochotnicy z polskiego Śląska Cieszyńskiego, których włączono w skład Brygady. Wśród poległych był por. Jan Łysek z Jaworzynki, poeta i dramatopisarz, organizator Legionu i dowódca śląskiej kompanii.

Na tyłach pozycji frontowych powstawały osiedla „administracyjne", gdzie lokowało się dowództwo, odwody, szpitale polowe. Komenda Legionów Polskich lokowała się w osiedlu zwanym „Legionowem", II Brygada w „Nowej Rarańczy", III Brygada w „Nowych Kuklach", odwody zaś w „Nowym Jastkowie".

Druga bitwa z Rosjanami pod Kostiuchnówką rozegrała się w lipcu 1916 roku, w czasie tak zwanej ofensywy Brusiłowa. Wielka ofensywa rosyjska miała przełamać front austriacki na Wołyniu. W czerwcu Rosjanie pobili Austriaków pod Łuckiem, a w tej sytuacji zażarte walki pod Kostiuchnówką rozgrywały się na najbardziej wysuniętej na wschód placówce Austriaków. Wygranie bitwy przez Rosjan na tym odcinku doprowadziłoby do przełamania frontu wschodniego. Polacy walczyli tu wspólnie z oddziałami węgierskimi. Po stronie polskiej w bitwie wzięły udział oddziały I Brygady dowodzonej przez bryg. Józefa Piłsudskiego oraz żołnierze III Brygady dowodzonej przez gen. mjr Wiktora Grzesickiego. Ponadto w walkach wzięli udział, jako odwód, żołnierze II Brygady, której dowódcą po bitwie został płk. Józef Haller, przyszły pierwszy wódz naczelny Wojska Polskiego. Legioniści musieli się wycofać, aczkolwiek front nie został przerwany. W bitwie poległo, zaginęło lub zostało rannych około dwóch tysięcy polskich żołnierzy, najwięcej w należącym do I Brygady 5 Pułku Piechoty, około 500 ludzi.

Zmagania pod Kostiuchnówką uważa się za najważniejszą ze wszystkich bitew stoczonych przez oddziały Legionowe na frontach I wojny. Po raz pierwszy stanęły obok siebie wszystkie trzy Brygady Legionów, tak różne etosem politycznym kształtowanym przez dowódców. Walczyli o jedną, wspólną Polskę, nie myśleli o poglądach, dominowała myśl o pokonania, rozbiciu wroga.

Mężna, nieugięta postawa Legionistów na froncie wołyńskim miała wielki wpływ na decyzje podejmowane w zaciszu gabinetów, niemieccy politycy wysnuli sąd – co można wyczytać w raportach tamtej epoki – że w sytuacjach, kiedy tak łatwo zawodziły oddziały sprzymierzonych armii austrowęgierskich, trafnym posunięciem było podjęcie starań o pozyskanie dobrego polskiego żołnierza i nowego sojusznika. Doprowadziło to do powstania manifestu dwóch cesarzy z 5 listopada 1916 roku oznajmiającego utworzenie „z ziem wydartych panowaniu rosyjskiemu" samodzielnego polskiego Królestwa. 5 listopada 1916 w wyniku konferencji w Pszczynie władze niemieckie i austro-węgierskie wydały proklamację, z podpisami swych generalnych gubernatorów von Beselera i Kuka, zawierającą obietnicę powstania Królestwa Polskiego, pozostającego w niesprecyzowanej „łączności z obu sprzymierzonymi mocarstwami". W akcie tym nie określono granic przyszłej monarchii, a jej status wyrażało słowo „samodzielne" zamiast „niepodległe", co nie satysfakcjonowało m.in. polskich działaczy narodowych na Śląsku, którzy uznali ogłoszenie tego aktu za działanie pozorne. Dokument ten zawierał natomiast sformułowania dotyczące utworzenia armii polskiej.

Pierwsze dni sypania kopca na Polskiej Górze, lipiec 1928 r.

Po bitwie pod Kościuchnówką, w której I Brygada Legionów Polskich walcząca po stronie Austro-Węgier zapobiegła przerwaniu frontu przez wojska rosyjskie, generał Erich Ludendorff, generalny kwatermistrz Armii Cesarstwa Niemieckiego, napisał list do władz w Berlinie, postulując utworzenie zależnego od Niemiec państwa polskiego i zbudowanie polskiej armii. Jego zdaniem mogło to dać Niemcom zwycięstwo na froncie wschodnim. Wydanie aktu wiązało się z faktem, że przedłużająca się I wojna światowa zmusiła państwa centralne do próby wykorzystania na swoją rzecz zasobów mobilizacyjnych Królestwa Kongresowego.

Realne skutki tej decyzji okazały się jednak dla zaborców zupełnie inne. Akt 5 listopada z 1916 roku listopada nadał wprawdzie sprawie polskiej międzynarodowy charakter, ale sytuacja zaczęła się wymykać cesarskim politykom spod kontroli, dwa lata później doszło do proklamowania przez polaków upragnionej Niepodległości.

Dziesięć lat po odzyskaniu Niepodległości społeczność Wołynia w wyrazie hołdu dla bohaterskich żołnierzy Legionów podjęła decyzję o usypaniu symbolicznego kopca na Polskiej Górze pod Kostiuchnówką. W tym czasie inżynier-architekt Stanisław Sikorski oraz technik budowlany Stefan Lubiński zaprojektowali pomnik. Sypanie kopców na pamiątkę niezwykłych wydarzeń było starą, piękną, polską tradycją.

Prace przy sypaniu kopca ruszyły w lipcu 1928 roku, ofiarnie pracowała okoliczna ludność na czele z wójtem i sekretarzem gminy. Ziemię na wzgórze wnoszono w wiadrach i workach, wwożono konnymi wozami. Latem 1939 roku ogólna objętość gruntu wyniesionego na Polską Górę wyniosła ok. 30 tys. metrów sześciennych. Taka ilość pozwoliła na usypanie wzniesienia o wysokości 14 metrów i 70 metrów długości u podstawy. Zaplanowana wysokość to 25 metrów. Chętnych do pracy nie brakowało, jak odnotowano w prasie tamtego okresu „prace były szczodrze opłacane przez polskie władze".

W lipcu 1936 roku na Polskiej Górze odbyły się uroczystości 20.lecia bitwy, największe obchody w całej historii II RP, wzięło w nich udział ponad 20 tysięcy ludzi. ■

Kopiec na Polskiej Górze, stan obecny (wrzesień 2019 r.)

Bogdan
Knop

O KROPCE

W 2013 roku, za sprawą Wojciecha Pestki, gościliśmy w Częstochowie (jeszcze jako Literackie Towarzystwo Wzajemnej Adoracji Li-TWA) pisarza z Ukrainy, o którym mało kto spośród nas słyszał. Ten pisarz nazywał się Wasyl Słapczuk, a w Polsce właśnie ukazał się pierwszy przekład z jego twórczości – powieść *Kobieta ze śniegu* (recenzja powieści autorstwa Aleksandry Keller ukazała się w numerze 2/2013 „Twórczości"). W wypełnionej sali Ośrodka Promocji Kultury „Gaude Mater" zaprezentował nam się nie tylko pisarz, ale i człowiek niezwykły – ranny na wojnie w Afganistanie i trwale od tamtego czasu niepełnosprawny, na wózku inwalidzkim, objawił nam się pełen empatii i ciepła. Mówił o wojnie i jej piekle, o Ukrainie, o swojej twórczości. Twórczości różnorodnej jak u rzadko którego autora: powieści, opowiadania, eseistyka, poezja, utwory dla dzieci. Na Ukrainie znany i nagradzany, w Polsce wtedy zupełnie nierozpoznawalny. Miała dopiero się ukazać w wydawnictwie Wysoki Zamek najważniejsza z jego powieści – *Księga zapomnienia* (w przekładzie Wojciecha Pestki), a nam nie przyszło jeszcze do głowy, że kiedyś wydamy jakąś jego książkę. A przecież minęło kilka lat i wydaliśmy! Znów z inspiracji Wojciecha Pestki.

Ale wróćmy na chwilę do pobytu Wasyla Słapczuka w Częstochowie. Oprócz wieczoru autorskiego (prowadził go Wojciech Pestka) odbyliśmy kilka spotkań, w tym jedno niezwykłe – wizytę w Bibliotece Jasnogórskiej. Jest to miejsce niedostępne do zwiedzania bez uzyskania specjalnej zgody i ja – mieszkaniec Częstochowy od urodzenia – nigdy zbiorów Biblioteki Jasnogórskiej zobaczyć nie miałem możności. Oprowadzał nas jeden z ojców, który mówił również po rosyjsku, co wcale nie było konieczne. Opisywanie zbiorów nie jest przedmiotem tej relacji, zatem dodam tylko, że goście (Wasyl Słapczuk, jego żona i „batiuszka" – ksiądz prawosławny będący też kierowcą) byli wzruszeni i zadziwieni tym, co zobaczyli.

Wydanie zbioru wierszy Wasyla Słapczuka w przekładzie Bohdana Zadury nabierało realnych kształtów stopniowo, bez pośpiechu. Zaczęło się od niezobowiązujących moich rozmów z Wojciechem Pestką, potem prawie rok niewiele się działo, aż gdzieś wiosną zeszłego roku dostałem mailem przekłady dwóch tomików wierszy z prośbą

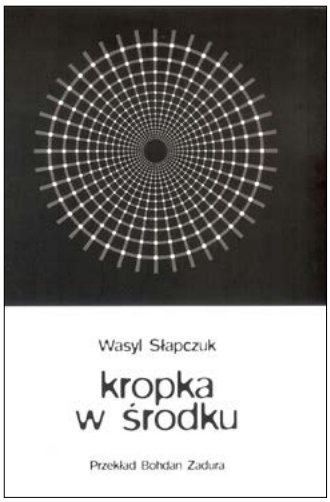

Wasyl Slapczuk *Krapka zseredyny: peremowy, poezji, prostotaki* (Lwiw; Prestyż-Inform, 2000, 120 s.)

Wasyl Słapczuk *Kropka w* środku (przeł. z ukr. Bohdan Zadura, Częstochowa; Towarzystwo Galeria Literacka, 2018, 139 s.)

Wasyl Słapczuk (ur. 23 grudnia 1961, Nowyj Zboryszіw, Ukraina) poeta, prozaik, członek Narodowego Związku Pisarzy Ukrainy, dr nauk filologicznych, jeden z najbardziej znaczących współczesnych ukraińskich pisarzy „straconego pokolenia", które spłacało swój „internacjonalistyczny obowiązek", oddając życie i przelewając krew za imperialne ambicje polityków komunistycznej Rosji [ZSRR].

Za osiągnięcia literackie uhonorowany w 2004 r. najwyższym z ukraińskich literackich laurów – Państwową Nagrodą im. Tarasa Szewczenki.

W Polsce ukazał się tomik wierszy Wasyla Słapczuka *Kropka w środku* (Częstochowa 2018) oraz powieści: *Kobieta ze śniegu* (Lublin 2012) i *Księga zapomnienia* (Kraków 2013) – nagrodzona Międzynarodową Nagrodą Literacką im. J. Łobodowskiego (2015), nominowana do półfinału Literackiej Nagrody Europy Środkowej „Angelus" (2015).

Ten sam kurz drogi to kolejna powieść Wasyla Słapczuka, która ukaże się nakładem Wydawnictwa „Wysoki Zamek".

Od lewej: Bogdan Knop, Bohdan Zadura, Barbara Strzelbicka, foto Muzeum Częstochowskie

o dokonanie wyboru. Wybrałem ten o roboczym tytule *Kropka w środku*, projekt okładki był gotowy latem, zaś późną jesienią 2018 roku w Krakowie spotkałem się z Bohdanem Zadurą, by omówić ostatnie szczegóły. Roboczy tytuł pozostał, druk ukończyliśmy na początku grudnia, a 23 stycznia bieżącego roku w Sali Reprezentacyjnej Częstochowskiego Ratusza odbyła się, w ramach tradycyjnego Wieczoru z Galerią, promocja wydanej książki z udziałem Bohdana Zadury – jej tłumacza. Prowadził wieczór piszący te słowa, a wiersze czytał aktor częstochowskiego teatru – Antoni Rot. Zresztą, gdy aktora już nie stało, za czytanie zabrał się sam Bohdan Zadura i trzeba powiedzieć, że robił to znakomicie. Czytał zarówno wiersze wydane, jak i dotychczas niepublikowane.

Bohdana Zadury przestawiać specjalnie nie trzeba, jest powszechnie znany jako wybitny poeta, prozaik, tłumacz, eseista i wieloletni redaktor naczelny miesięcznika „Twórczość", ale należy dodać, że okazał się świetnym gawędziarzem – opowiadał o pracy nad przekładem wierszy, o pobytach na Ukrainie, spotkaniu z Wasylem Słapczukiem i wreszcie o sztuce przekładu. A przede wszystkim o szczególnym rodzaju związku, który połączył tłumacza z wierszami ukraińskiego poety. Jak pisze w posłowiu, do 2018 r. twórczości Wasyla Słapczuka Zadura nie znał i dopiero pobyt w Łucku na wiosnę tegoż roku przyniósł odmianę. Po przeczytaniu podarowanych mu przez autora *Wierszy wybranych* stało się coś niezwykłego: „Ta licząca niemal 600 stron książka pokazała mi skalę talentu tego poety. Dawno nie używałem długopisu, ale nie mając laptopa, zacząłem ręcznie na jakichś karteluszkach, jeszcze w Łucku, tłumaczyć te wiersze" (Wasyl Słapczuk, *Kropka w środku*, przekład i posłowie Bohdan Zadura, Wydawca: Towarzystwo Galeria Literacka, Częstochowa 2018, s. 135).

Na koniec spotkania było kilka pytań z sali, drobny poczęstunek i wreszcie kameralne spotkanie z Bohdanem Zadurą w restauracji „Ratuszowa". Potem u mnie w domu, do późnej nocy, we dwójkę z poetą rozmawialiśmy o sprawach tego świata, byliśmy jak podmiot liryczny jednego z wierszy Wasyla Słapczuka:

Nie można zgłębić
ogromu wszechświata. –
Chłopiec wygładził dym,
patykiem
miejsce zaznaczył:
– Wszechświat
to kropka w środku.

Byliśmy jak dzieci, a może – gdybyśmy byli jak dzieci, to wówczas wiedzielibyśmy więcej. ■

Barbara
Strzelbicka

POETYCKI DIALOG

O tomie Wasyla Słapczuka *KROPKA W ŚRODKU*

Bohaterką książki – jeśli można użyć takiego sformułowania w odniesieniu do poezji – jest kropka, a to za przyczyną Bohdana Zadury, który ukraiński tytuł tomu Wasyla Słapczuka Крапка зсередини spolszczył nie jako „Punkt skupienia", lecz jako *Kropka w środku* – niezgodnie z sugestią zawartą w Wikipedii – po to, by uzyskać większą „energię poetycką". Dzięki temu można było wprowadzić znaki graficzne: rozpoczynając każdy wiersz wielokropkiem (trzema kropkami?), bawiąc się kropką pojawiającą się w różnych miejscach stron zaczynających i kończących poszczególne części zbioru. Pretekstu do takiego igrania kropką nie dostarczyłby punkt, choć słowo pochodzi od łac. *punctum*, oznaczającego właśnie kropkę. Jednak we współczesnej polszczyźnie związek ten nie jest już oczywisty, bo punkt ma wiele innych znaczeń. „Punkt skupienia" odsyła wręcz do matematyki i ma precyzyjną definicję, niewiele wspólnego mającą z kropką.

Wiersze zawarte w tomie Wasyla Słapczuka są mocno osadzone w kulturze. Przyjrzyjmy się kilku kulturowym wątkom, obecnym w książce.

Motto stanowi anegdota, której autorstwo zostało przypisane Hasanowi al-Basri, wczesno muzułmańskiemu mówcy, teologowi i ascecie, żyjącemu w latach 642 –728:

Zapytałem dziecko ze świeczką:
„Skąd to światło?"
Dziecko zdmuchnęło świeczkę i odpowiedziało:
„Powiedz mi, gdzie znikło światło,
a ja ci powiem, skąd się pojawiło".

Przetrwało niewiele oryginalnych pism tego sunnickiego myśliciela, a przysłowia i maksymy zostały przekazane za pośrednictwem jego licznych uczniów drogą tradycji ustnej. Forma zacytowanego tekstu odsyła do anegdoty – znanej literaturze jako krótki utwór narracyjny, opowiadający o zabawnym zdarzeniu i zawierający cechy dydaktyczne. Najważniejszą cechą anegdoty jest jej wyraziste zakończenie i zaskakująca puenta.

Takie właśnie są lapidarne i błyskotliwe anegdoty o Nasruddinie, opowiadane na Bliskim Wschodzie, w Afryce Północnej, Środkowej Azji i na Bałkanach. Należą do tradycji ustnej, ale też słowo anegdota pochodzi od gr. *anekdota* i oznacza „nieopublikowane", co jednak nie wyklucza tworzenia anegdot literackich. Nie wiadomo, kim był Mułła Nasruddin – mógł być żyjącym w XIII wieku Turkiem, Arabem, Irańczykiem, mógł być po trosze każdym, ale także mógł być postacią całkowicie fikcyjną. Najstarsze zapisane anegdoty o Nasruddinie powstały w XVI-wiecznej Turcji, mają najczęściej strukturę krótkiej rozmowy, składającej się z pytania i z ciętej riposty. Ich język jest prosty, dosadny, pozbawiony patosu i wysokich tonów. Zwróćmy uwagę, iż wszystkie te cechy posiada anegdota użyta jako motto tomu *Kropka w środku*, a potem także odnajdziemy je w wierszach składających się na tom.

Dla zilustrowania powinowactwa przyjrzyjmy się jednej z anegdot perskich, zatytułowanej *Ojciec i syn*:

Syn Nasruddina stał na brzegu rzeki i jadł chleb. Nagle kawałek chleba wpadł mu do wody. Spojrzał w rzekę i zobaczył w niej swoje odbicie – jedzącego chleb chłopca. Pobiegł do ojca i rzekł:
– Jakiś chłopak w rzece je mój chleb.
Nasruddin odparł:
– Poczekaj tu. Pójdę do niego i odbiorę mu twój chleb.
Po czym poszedł nad rzekę, spojrzał w wodę i widząc swoje brodate odbicie rzekł:
– Stary, a taki głupi! Nie wstyd ci zabierać dziecku jedzenie?[1]

Motto, łączące postać mędrca z anegdotą, dobrze charakteryzuje zawartość poetyckiego tomu. Bo sam Nasruddin *mędrcem w tym sensie, w jakim był nim* Hasan al-Basri – nie był. Bohater anegdot ima się różnych zajęć, bywa naiwny, przebiegły, mądry i głupi, samolubny i sprytny, ale jego najważniejszą cechą jest cięty język.

Wiersze zostały ujęte w cztery części, których tytuły określają je jako rozmowy na określone tematy, choć trudno byłoby jednoznacznie opisać ich zawartość, ponieważ

[1] Anegdota w tłumaczeniu Alberta Kwiatkowskiego pochodzi z: *Molla Nasroddin*, zebrał Mohammad Ramazani, Teheran 1316; *Qesseha-je Nasroddin*, Sejjed Ebrahim Nabawi, Teheran 1378. www.literaturaperska.com [dostęp: 3.05.209].

są metaforami: *Rozmowy: Zamężna trawa*, *Rozmowy: Węgielek w dłoni, Rozmowy: Globus prawdy, Rozmowy: Fujarka dla chłopca*. Rozmowy zatem stanowią dla tomu rodzaj rozpisanego na rozdziały podtytułu książki. Co daje taki zabieg? Wydaje się, że pozostawia dla *Kropki w środku* obszar nieobjęty rozmowami, obszar dla Szekspirowskiego milczenia: karty tytułowe, ich niezapisane słowami części, na których może się pojawić kropka, ustanawiająca środek. Obszary dla refleksji, wywołanej poetyckim słowem.

Użycie formy rozmowy nie jest bynajmniej sprytnym zabiegiem i ma znacznie głębszy sens. Historia obecności dialogu w refleksji filozoficznej sięga starożytnej Grecji. Wystarczy wspomnieć rozmowy prowadzone przez Sokratesa dwiema metodami: elenktyczną, polegającą na zbijaniu wiedzy interlokutora, by uświadomić mu pozorność jego wiedzy oraz metodą majeutyczną, wydobywającą z rozmówcy jego nieuświadomioną wiedzę. Celem było wspólne dotarcie do prawdy. Rozmowy nie zostały zapisane, znamy je z dialogów Platońskich i abstrahując od pytania, czy są to dialogi autentycznie Sokratejskie, należy przyznać, iż są dowodem na znaczenie rozmowy w filozofii.

Nowy sens został nadany dialogowi w XX wieku. Filozofia dialogu, zwana także filozofią spotkania, centrum zainteresowania czyni człowieka oraz jego relację z Innym. W ten sposób dialog przestaje być tylko narzędziem na usługach filozofii, ale staje się filozoficzną kategorią.

Kim są strony dialogu w wierszach Wasyla Słapczuka? To dojrzały mężczyzna *i chłopiec, przejawiający cechy mędrca, ale także psotnego, pełnego wdzięku młodego człowieka, zadającego dociekliwe pytania, których nie zadają dorośli. Z kart książki nie* dowiemy się, kim jest ów chłopiec: czy jest odrębną postacią, czy też stanowi niedorosły aspekt dorosłego bohatera – wtedy byłaby to rozmowa człowieka ze sobą, dialog wewnętrzny. To także dialog mistrza i ucznia, choć trudno ustalić, kto jest mistrzem, a kto uczniem.

Kompozycja wierszy przywołuje także skojarzenia z muzyką, zostały bowiem skonstruowane na zasadzie kontrapunktu (wł. *contrappunto* – technika kompozytorska polegająca na jednoczesnym prowadzeniu kilku samodzielnych głosów), gdy każdy z bohaterów snuje własną opowieść, ale czasami ich linie „melodyczne" spotykają się. Całość tomu przypomina fugę (wł. *fuga* – ucieczka), formę muzyczną opartą na założeniach kontrapunktu: rozmowy mężczyzny z chłopcem to ciągła ucieczka tego drugiego, lecz nie po to, by uciec, ale by skłonić mężczyznę do pogoni i przez to do opuszczenia myślowych schematów. Fundament utworu stanowi g*łos mężczyzny*, który porównać można do *basso continuo* (wł. *basso continuo* – bas generalny, ciągły), głos chłopca zaś to improwizacyjne dopełnienie basu.

Różnica postaw między uczestnikami dialogu zarysowuje się w wierszu, z którego został zaczerpnięty tytuł tomu. Inicjuje go teza dorosłego o niemożności poznania wszechświata, którą to tezę chłopiec zbija magiczną czynnością wygładzenia dymu i uczynienia z niego tła dla stwierdzenia: „– Wszechświat / to kropka w środku" (s. 46).

O ile kwestie dorosłego są dość przewidywalne, to znacznie trudniej przewidzieć wypowiedzi chłopca, którym właściwy jest element zaskoczenia, improwizacji. Chłopiec często kwestionuje przekonania dorosłego wynikające z doświadczenia, jak na przykład to, że „Każdy sam wybiera / swoją życiową drogę –" i ripostuje: „– Droga to powidok" (s. 44) albo: „– Bez wiary człowiek nie może" (s. 42), które to twierdzenie chłopiec odpiera: „– Uklęknął człowiek / przed oknem, / jak przed ikoną. / Kto pierwszy zajrzy, / do tego się pomodli". Owymi maksymami mężczyzna próbuje chłopca wychowywać, co okazuje się sposobem nie tylko nieskutecznym, ale też prowokuje chłopca do wypowiedzi, burzących w dorosłym pewność co do ich słuszności.

W konfrontacji z chłopcem dorosły często przyznaje się do niewiedzy: „Nie zgłębię, czy zaprzecza, / czy się zgadza". (s. 53) albo: „Nie wiem, / czy mam się uśmiechnąć" (s. 56). Nie zawsze o tym chłopcu komunikuje: „Ja też milczę. / Z taką miną, / jakbym wszystko rozumiał" (s. 125).

Chłopiec okazuje się godnym partnerem w dialogu z dorosłym i gdy ten skarży się: „– Na żadne / ze swoich pytań / nie znajduję odpowiedzi –", mówi: „– A ja na swoje odpowiedzi / nie znajduję pytań" i jest to wyznanie godne filozofa, przedkładającego stawianie pytań nad uzyskiwanie odpowiedzi. Chłopiec jest także poetą, posiadającym umiejętność tworzenia metafor – jak w wierszu tytułowym dla pierwszej części tomu o zamężnej trawie (s. 21), która została skoszona, odcięta od korzeni i pozostało po niej kłujące stopy ściernisko.

Świat dorosłych, widziany oczami chłopca, bywa wręcz przerażający, o czym ludzie, podszyci strachem, nie chcą wiedzieć: „– Śpijcie, ludzie, śpijcie. / Po co macie wiedzieć, / jak strach pachnie?" (s. 113). Nocą, kiedy kobiety zajmują się przygotowaniami do snu, dzieją się także rzeczy straszne:

– o tej porze
baba w czarnym
kwiatom gardła
przewiązuje,
żeby nie było widać
śladów po brzytwie.

Niszczeje środowisko naturalne, a „– Ziemia oczy / na ludzi zamyka, / patrzy z bólem" (s. 50). →

Ale są też wiersze, w których chłopiec jest po prostu zwyczajnym chłopcem, skłonnym do psot urwisem, który wielkanocne zawdy kwituje następująco: „– Czyja kraszanka mocniejsza – / ten nie jadł" (s. 26), przedstawiający obraz, jaki tylko dziecięca wyobraźnia może stworzyć: „A zegarek / ma pełen brzuch świerszczy" (s. 118) albo dość przewrotnie wyjaśniający, dlaczego chciał, aby kogut go wcześnie obudził: „żebym popatrzył, / jak kwiaty głowy myją" (s. 90).

Wiersz o węgielku w dłoni (s. 69), tytułowy dla drugiego rozdziału, dotyczy wagi słów w międzyludzkich relacjach i tego, że wielką krzywdę może wyrządzić ludzki język, co jest odpowiedzią na twierdzenie dorosłego, że „– Ogień potrzebuje ofiary". Refleksje chłopca czasem służą sprowadzeniu na ziemię zasad głoszonych przez autorytety, uosobione przez podmiot liryczny. Egzemplifikacją takiej postawy jest wiersz jest wiersz, w którym chłopiec pyta: „– Dokąd mają wracać / synowie marnotrawni, / jak rodzice / majątek przepili?" Niektóre pytania chłopca, w tym także to, pozostają bez odpowiedzi. Zadaniem konfrontacji nie jest podważenie *słuszności zasad, ale pod*kreślenie, jak trudno ich przestrzegać w rzeczywistości dalekiej od ideału.

Tematem wielu wierszy, zwłaszcza zawartych w części trzeciej, jest światło, co zostało zasygnalizowane w tekście służącym za motto tomu. W jednym z tekstów chłopiec przedstawia swoją odpowiedź na pytanie, dlaczego ciemność jest straszna: „W ciemności słychać, / co ludzie myślą, / dlatego jest strasznie" (s. 78).

Pewność siebie niedorostka czasem irytuje dorosłego: „– Można pomyśleć, / że znasz prawdę" – mówi, na co przemądrzały chłopiec odpowiada: „– Słowo – to globus prawdy. / Milczenie to mapa" (s. 87).

Pytanie o sens cierpienia powraca w wierszu zaczynającym się stwierdzeniem: „– Człowiek rodzi się / dla cierpienia –" (s. 96). Żeby się do niego ustosunkować, chłopiec najpierw się zamyśla, potem zaś przedstawia stanowisko iście filozoficzne, ujęte w metaforę:

– *Ból nie jest drogą,*
a tylko jej poboczem.
Drogę każdy ma swoją,
i nie człowiek idzie drogą,
a droga idzie przez niego.

Tom kończy się, gdy chłopiec dorasta. Symptomem dorosłości jest potrzeba posiadania fujarki, która sprawi, że słuchający chłopca – już mężczyzny – będą milczeć. O wystruganie fujarki zostaje poproszony dorosły mężczyzna – chłopiec wierzy, że ten potrafi zapewnić sobie milczenie słuchaczy.

Bohdan Zadura pisze w posłowiu, że wiersze spolszczył; a zatem nie przełożył ani nie przetłumaczył. Metafory są bowiem nieprzekładalne – przełożone dosłownie tracą swój sens, należy zatem uchwycić ich istotę i stworzyć własną w języku przekładu. W tym sensie poezja jest nieprzekładalna, dlatego też tłumacz, podejmujący się przełożenia poezji, także musi być poetą. To, że poeta tej rangi, jak Bohdan Zadura, dokonał spolszczenia wierszy mało znanego w Polsce poety, świadczy także o wartości tej poezji. Znajomość między twórcami, o czym czytamy w posłowiu, zaczęła się dość prozaicznie, przeszła etap zaciekawienia i pierwszych prób przekładów, po to, by doprowadzić polskiego poetę do zachwytu wierszami poety ukraińskiego. Fascynacja sprawiła, że praca nad przekładem nie sprawiała trudności *i dała efekt w postaci wyboru spośród wierszy* zawartych na blisko sześciuset stronach oryginału.

W tłumaczeniach zostało ocalonych wiele charakterystycznych dla oryginału cech. Melodia frazy jest ewidentnie kadencyjna, właściwa zdaniom oznajmującym, charakterystycznych dla narracji, a intonacja wierszowa jest podporządkowana intonacji zdania, co słychać między innymi w następujących fragmentach: „Wiejski głupek / ludziom na słońce pokazuje (s. 61), „Chłopiec na wznak / na trawie leży" (s. 65), „Chłopiec nurtowi się przygląda" (s. 66) czy „Chłopiec do mnie / do miasta w gości / przyjechał" (s. 101). Tak skonstruowany wiersz jest śpiewny i przywodzi oczywiste skojarzenie z zaśpiewem wschodnim, a jego wymowną *ilustracją* jest następująca puenta, wypowiedziana przez chłopca: „Jak toczyła duszę / samotność / tak toczy" (s. 119).

Innym przykładem zachowania cech oryginału są zdania, będące dosłownymi tłumaczeniami z języka ukraińskiego: „Nie pisze mi się" (s. 47) albo „Chłopcu się nie śpi" (s. 90). Z punktu widzenia polskiej składni są to zdania bezpodmiotowe, których używa się do opowiadania o zjawiskach przyrodniczych (np. Zanosi się na deszcz.) oraz o stanach fizycznych i psychicznych ludzi (Zrobiło mi się przykro). Takie konstrukcje, jak te pochodzące z wierszy Wasyla Słapczuka, ocalone w tłumaczeniu Bohdana Zadury, choć gramatycznie poprawne, używane są w języku polskim nader rzadko.

Podobną funkcję pełnią niektóre słowa. Jeden z przykładów pojawia się we fragmencie: „– Co ty całymi dniami / robisz w burzanach?" (s. 10). Burzany to słowo pochodzące z języka ukraińskiego i oznacza chwast stepowy tworzący gęste zarośla. W języku polskim używane rzadko, ale jest obecne w literaturze (por.: Adam Mickiewicz *Stepy Akermańskie* czy Henryk Sienkiewicz *Ogniem i mieczem*). Inne *słowo to* „prawić": „– Każdy człowiek / to historia – / prawię chłopcu" (s. 45), we współczesnej polszczyźnie pozostało w takich związkach, jak: prawić kazania,

Wasyl Słapczuk i Wojciech Pestka w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Lublinie

morały, komplementy i oznacza: m*ówić coś z przejęciem, z emfazą*. Podczas długiej historii *słowa* jego znaczenie się zmieniało; jeszcze w języku staro-cerkiewno-słowiańskim znaczyło „sądzić", potem tyle, co mówić (rozprawiać). Słownik staropolski odnotowuje cztery znaczenia słowa: mówić, opowiadać, domagać się, skarżyć się. Bajka *Koniec* Ignacego Krasickiego zaczyna się wersem: „Zmordował się na koniec ten, co bajki prawił (…)". Wydaje się, że w wierszu Wasyla Słapczuka prawić najbliższe jest temu znaczeniu, a użycie tego przestarzałego słowa nadaje tekstowi wyjątkowy, nieco nostalgiczny, charakter.

Trudno jest precyzyjnie odczytać znaczenie słowa, od którego zaczyna się wiersz *** *Spas* (s. 58). Spas to Zbawiciel, święto Przemienienia Pańskiego, przypadające na dzień 6 sierpnia albo wieś o tej nazwie – noszą ją cztery miejscowości na Ukrainie. Dalszy ciąg tekstu nie rozstrzyga tej kwestii, bowiem mówi o czymś innym, o ciszy, w której słychać jedynie odgłos wydawany przez spadające w sadzie jabłka. Może to charakteryzować zarówno czas, bo 6 sierpnia mogą spadać wczesne jabłka, jak i miejsce – ukraińską wieś, noszącą nazwę na cześć Zbawiciela i tego szczególnego święta. Z całą pewnością jednak wiersz zawiera pochwałę ciszy i milczenia oraz zachętę do wsłuchania się w głos natury.

Wiersze Wasyla Słapczuka to czystej wody poezja, forma anegdoty jest tylko pretekstem, pozwalającym zachować lapidarność w ukazywaniu dwóch różnych punktów widzenia, refleksję wynikającą z ich zderzenia pozostawiając czytelnikowi. Czasem wypowiedzi, zwłaszcza chłopca, są tak enigmatyczne, że każdy znajdzie inną interpretację i będzie ich niemal tyle, ilu czytelników. Podobnie wieloznaczne i wyjątkowo nośne są metafory.

Tom jest niezwykle spójny, głównie za przyczyną jednolitej formy, zaczerpniętej z popularnej w kulturze Wschodu anegdoty. Spójność podkreśla także obecność wątków filozoficznych. Padają w tym tomie pytania, które zadają wielcy filozofowie: o czas, o prawdę, o Boga, mędrcem nazwany jest ten, kto, jak Sokrates, przyznaje się do niewiedzy, pojawia się Pascalowska trzcina i wiele razy zostaje podkreślona korzyść wynikająca ze stawiania pytań i z uświadomionej niewiedzy. Nie tylko to jednak łączy tę poezję z filozofią. Obydwaj rozmówcy prezentują filozoficzną postawę, krytyczną wobec świata i wobec samych siebie. Wiersze uczą (ale nie pouczają), że wiedza o świecie nie jest dana czy też zdobyta raz na zawsze, że trzeba ją nieustannie weryfikować. Wiedza, która rodzi się w dialogu.

Droga Wasyla Słapczuka do takiej wiedzy była bardzo trudna. Dość wspomnieć, że jako żołnierz został ciężko ranny na wojnie w Afganistanie, dostał liczne medale i odznaczenia, które z czytelną goryczą wymienia w posłowiu Bohdan Zadura, oraz odszkodowanie w wysokości… 80 rubli. Porusza się na wózku inwalidzkim, co jednak nie przeszkodziło mu w zdobyciu wykształcenia w zakresie filologii ukraińskiej i uzyskaniu stopnia doktora. Twierdzi, że wojna zrobiła z niego pisarza. Życie zrobiło z niego bohatera.

Promocja tomu miała miejsce 23 stycznia 2019 r. Gościem spotkania był Bohdan Zadura.

Barbara Strzelbicka

Wasyl Słapczuk, *Kropka w środku*, przekład i posłowie Bohdan Zadura, wydawca: Towarzystwo Galeria Literacka, Częstochowa 2018, s. 139.

Jewhen Baran

Naucz mnie trawy i śniegu

(przekład z ukraińskiego Wojciech Pestka)

Ten szósty poetycki zbiorek poezji Wasyla Słapczuka z Łucka wyszedł w ramach autorskiego projektu O. Gordona „Liczba". Motto zapożyczone od Hasana al-Basriego definiuje zamysł i organizacyjną strukturę zbioru: „Zapytałem dziecko ze świecą: „Skąd to światło?" Dziecko zdmuchnęło świeczkę i odpowiedziało: „Powiedz mi, gdzie światło zniknęło, a ja powiem ci, skąd się zjawiło". Podstawowa forma stosowana przez autora – dialog lirycznego Bohatera, w większości nienazwanego, albo oznaczonego zaimkiem osobowym „ja" i Chłopczyka (właściwie alter ego lirycznego Bohatera). Układ tomiku jest logicznie przemyślany, składa się z czterech podstawowych cykli : „Rozmowy: Zamężna trawa", „Rozmowy: Węgielek w dłoni", „Rozmowy: Globus prawdy", „Rozmowy: Fujarka dla chłopca".

Główny temat tomiku to motyw wewnętrznych poszukiwań i wątpliwości, obwiedzionych mgiełką osobistych kontemplacji i wyodrębniania „siebie jako doświadczenia" i „doświadczenia w sobie".

– Jedni szukają siebie,
inni szukają Boga.
Chłopiec zauważa:
– Nie można znaleźć siebie,
nie znalazłszy Boga.
Bóg bliższy jest człowiekowi
niż człowiek sam sobie.

W. Słapczuk w dobie dzisiejszych literackich pseudoposzukiwań wybiera szlak trudny, ale obiecujący – harmonijnego połączenia strumienia etycznego i estetycznego. Znów powrót do archetypu, znów na myśl przychodzi Hryhorij Skoworoda: „O obłudnicy! Nie według oblicza sądźcie a według serca. Hej! Słońce jest źródłem. A czyż nie może być człowiek Boży słońcem? Słońce bo nie z oblicza, a z mocy źródła jest źródłem. Tak i człowiek Boży, który toczy życiodajne strumienie i promieniami boskimi świeci jest słońcem nie z powodu słonecznego oblicza, ale z serca. Każdy jest tym, czyje serce nosi w sobie: serce wilka – prawdziwym wilkiem, choć z obliczem człowieka; serce bobra – jest bobrem, chociaż wygląd ma wilczy, serce wieprza – jest wieprzem, chociaż wygląda na bobra. Każdy jest tym, czyje ma w sobie serce" *(Narcyz,. Rozmowa na temat: poznaj siebie samego)*

Nie znam innego współczesnego poety, w którego twórczości tradycja Skoworody wybrzmiała by tak wyraźnie, chociaż u Słapczuka mamy pewne przesunięcia akcentów w jedną albo drugą stroną. Ale ta droga ma jedną osobliwość (nie o niebezpieczeństwie mowa) – w rezultacie ostatecznym prowadzi twórcę do innego wymiaru zrozumienia Człowieka przez Człowieka – do buddyjskiego Oświecenia. Wtedy znika potrzeba mówienia, do czego odnosi się autor („Mnie osobiście//bliższa jest filozofia milczenia"). I to już nie będzie stan tworzenia, a stan modlitwy, medytacji.

Słapczuk nie robi ostatecznego kroku dlatego, że się boi (strach przed pustką zostawił w przeszłości), a dlatego, że czasami sam wątpi w swoją gotowość do niego, o czym, korzystając z okazji, wspomina w wierszu:

– Człowiek potrzebuje
harmonii.
– Znalazłem harmonię – zwierza się chłopiec –
ale to harmonia sprzeczności.
Istnieje przecież wyższa harmonia –
harmonia jedności całego,
albo całości jedynego,
które jest samowystarczalne.

W poetyckim doświadczeniu Słapczuka mamy dawno zapomnianą ideę przezwyciężenia tego co ludzkie (dobro i zło) przez Człowieka i połączenia z duchowym, pierwotnym światem boskim. Nie wiem, czy wytrzyma wewnętrzne napięcie (koncepcja „naciągniętej strzały") autor, ale wyraziście określone są tu cechy rozpadu w różnych fazach osobistego przeistoczenia: Dziecko natury (doświadczenie barbarzyństwa) – Wojownik (doświadczenie gladiatorstwa) – Poeta (doświadczenie duchowości) – Natura (doświadczenie Boga). Nie chciałbym, żeby mój szkic był przyjmowany sceptycznie czy nihilistycznie, jednak fakt pozostaje faktem – ryzykujemy utratę oryginalnego poety-myśliciela, Wszechświat może wzbogacić się o czysty kryształ Duszy. Boję się coś kategorycznie stwierdzać i o czymś przekonywać. Nie wiem, co powiedzieć. Pozostaje milczeć i słuchać. Bo sam nie zauważyłem tego momentu, w którym dla Słapczuka granice poezji stały się ciasne. ■

Wasyl
Slapczuk

Ten sam kurz drogi

(przekład z ukraińskiego Wojciech Pestka)

KSIĘGA PIERWSZA

Rozdział pierwszy: SÓL W WODZIE

DZIEŃ DOBRY

We śnie nie widziałem niczego. Mój sen był jak podziemne jezioro, w którym – ni ryb, ni wodorostów. Kiedy nieśpieszny strumień snu z jaskiniowej ciemności wyniósł mnie ku światłu, przebudziłem się – i znalazłem się na ptasim koncercie. Moje przebudzenie było lekkie i przyjemne. Jak w dzieciństwie.

Rozchyliłem powieki.

U moich stóp na oparciu łóżka siedziała czteroletnia dziewczynka (okrągła twarz, kędziorki koloru słomy i guziczek noska) i, nie spuszczając ze mnie uważnych szarych oczu, ze skupieniem ssała kciuk. Nasze spojrzenia spotkały się. Dziewczynka w milczeniu zsunęła się z poręczy, zrobiwszy krok do krawędzi łóżka, najpierw siadła, później przekręciła się na brzuch i zaczęła spuszczać się na podłogę.

– Powoli, nie rozkwaś nosa – starszy chłopiec (ze trzy lata starszy od dziewczynki) stał obok krzesła, na którym złożyłem/powiesiłem swoje ubranie, i wyciągnąwszy ze szlufek spodni, przymierzał mój skórzany pas za piętnaście baksów.

„Pasowałoby mu tym rzemieniem po dupie – pomyślałem, nie tracąc nastroju zadowolenia – Jeszcze tylko patrzeć matki?!"

Matka tych dzieci – dość sympatyczna kobieta z natarczywymi oczyma. Spojrzenia rzuca niczym lasso. Gdybym zobaczył ich matkę na oparciu swojego łóżka, nie byłbym specjalnie zaskoczony. W tym królestwie matek byłem absolutnie bezbronny, tak w przenośnym, jak i dosłownym sensie. Wczoraj, kiedy szykowałem się do snu okazało się, że zamek w drzwiach mojego pokoju (pomieszczenia tu nazywano przytłaczającym słowem „sala") od środka się nie zamyka.

Na wszelki wypadek rzucam okiem na nocny stolik. Wydaje się, że jeszcze nikt nie przeprowadził rewizji: zegarek – na miejscu, liczę, że dokumenty wraz z portfelem nie zniknęły z szuflady.

– Dzień dobry! – witam nieproszonych gości. – Co tu robicie?

– Przyszliśmy porozmawiać – nie pesząc się odpowiada chłopiec.

WIEK PRZEJŚCIOWY

Skuliłem się w sobie. Wyglądało na to, że się pospieszyłem z zapowiedzią, że dobry dzień. Jak pokazuje moje życiowe doświadczenie: kiedy ktoś oznajmia, że chce z tobą porozmawiać, szykuj się na kłopoty.

W mojej młodości, kiedy na tańcach podchodził do ciebie chłopak ze słowami „chodźmy, porozmawiamy", to znaczyło, że chcą cię pobić. W podobnych „rozmowach" była swoista romantyka i szczególnie dobrze pasowały do pijanej głowy. To jednak jedynie kwiatuszki, które z daleka wąchasz, nostalgicznie uśmiechając się, a jagody… Wszystkie skandale z kobietami, jakie mi się zdarzyły, rozpoczynały się od słów „musimy porozmawiać". Od tych jagódek jeszcze zbiera mi się na wymioty i od środka na zewnątrz wywraca. Ścierpieć nie mogę rozmów, które kończą się mordobiciem albo tłuczeniem naczyń. To przecież reguła: każdy, kto miał do mnie jakieś pretensje zaczynał od słów, że chce ze mną porozmawiać.

Nie miałem żadnych wątpliwości: dzieci przyszły, aby zepsuć mój ranek. A zepsuty poranek – to zepsuty dzień. A ja, miedzy innymi, przybyłem tu, żeby podleczyć swoje nerwy.

„Może podarować małemu pasek i poprosić, żeby się wyniósł? – spanikowałem, ale od razu wziąłem się w garść.

– Porozmawiamy po śniadaniu. Dopóki nie zjem śniadania – jestem niemy jak ryba i głuchy jak pień.

Malec zachichotał:

– Cha–cha-cha! Jak pień… Cha-cha!.. Stary pień – powtarzał bez przerwy.

Chłopcu najwyraźniej spodobało się przedrzeźnianie mnie i wyglądało to tak, jakbym sam zaproponował mu tę grę.

– Nie powiedziałem „stary" – nie wytrzymałem, żeby nie zwrócić uwagi, z jakiegoś powodu właśnie to słowo mnie zabolało. Być może jestem w przejściowym okresie (od młodości do dojrzałości), pamiętam, kiedy po raz →

pierwszy piętnastoletni pacan nazwał mnie dziadkiem [wujkiem] –chciałem mu nakopać. Do swojej dorosłości dobrnąłem wewnętrznie niegotowy. Zaświadczały o niej jedynie zewnętrzne oznaki.

Dziewczynka wyjęła palec z buzi ,żeby zapytać:

– Nie lubisz dzieci?

Być może coś takiego dostrzegła w mojej twarzy. Dzieci są bardzo spostrzegawcze.

–Lubię –zaprzeczyłem – psy, koty, dzieci – wszystko lubię.

– A ja kotów nie lubię – powiedział chłopiec. – Linieją i drapią. Lubię psy, jak pójdę do szkoły, tata kupi mi psa.

– Psy gryzą – oznajmiła dziewczynka.

Spoglądam na drzwi. Może przyjdzie jakaś dobry dusza i wyzwoli mnie od tego najścia.

– Dzieci, pewnie mama już was szuka.

Dziewczynka przecząco pokręciła głową:

– Mama śpi.

„Też bym teraz spał" – poruszony tą żałosną myślą przymykam oczy.

– Mama wygoniła nas z pokoju, żebyśmy nie przeszkadzali jej w spaniu – odzywa się chłopiec. Wygląda na to, że ani trochę nie obraża się na swoją mamusię.

„Czemuż nie mogę uczynić tego, co uczyniła ich matka?!".

FAUNA I FLORA

W Ewangelii dzieci są stawiane dorosłym za przykład. „Do takich bowiem należy królestwo niebieskie…"[1]

Zdecydowanie odrzucam koc. Wstaję z łóżka i podchodzę do otwartego okna, wychylam się na ile to możliwe. Jeśli chodzi o tutejszą przyrodę, przyjaciel, który ulokował mnie w tym sanatorium, nie przesadził – urzekająca. Przepiękny park, stopniowo przechodzący w las. Po jednej stronie – jezioro (już widziałem je z oddali), po drugiej mówią – rzeczka, jeszcze nie zdążyłem zobaczyć. Mówiąc krótko, flora niezwykła. Zaś fauna…

Do sanatorium przybyłem wczoraj po obiedzie. Administrator okazał się zaskakująco przyjazną kobietą, która wyjaśniła, że teraz mają ogromny napływ pacjentów, z tego powodu wszystkie miejsca w centralnym obiekcie są zajęte, dlatego tymczasowo kwateruje mnie w *innym* budynku. I odesłała na to zadupie (stosunkowo dość odległe – piętnaście minut jazdy karetką),gdzie się poczułem tak, jak powinien się poczuć facet, który przypadkowo trafił na kobiecy oddział. Oprócz mnie był tu tylko jeden mężczyzna – starowina dziadunio. W oddziale ulokowali nie tyle kobiety, a matki z dziećmi, które całymi tabunami ganiały po okolicy.

„Może to raj?" – pomyślałem po tym, jak otrząsnąłem się z pierwszego szoku – jednak czemuś ten raj przypomina mi byle jak zamaskowane piekło".

Oddycham głęboko pełną piersią. Chcę zachować optymizm.

– Przepięknie! – mówię raźnym głosem.

– Nic dobrego – nie zgadza się ze mną malec.

Od jego słów – ciarki na skórze.

ROZMOWA

Małego nazywają Tolikiem.

– Mój tata jest gościem, wozi się BMW– chwali się Tolik – A ty masz samochód?

– Nie mam – przeciągam się z zadowoleniem, że aż stawy trzeszczą.

Chłopiec krzywi się z pogardą.

– Jesteś frajerem?

Takich słów nawet od małego i nierozumnego dziecka nieprzyjemnie słuchać. „Nie zapominaj, że jesteś dyplomowanym pedagogiem" – nakazuję sobie, aby nie zareagować niewspółmiernie (co prawda, uczyłem się na wykładowcę przysposobienia wojskowego, ale mimo wszystko to zawód bliższy szkoły niż wojska). Malec widać wyrósł nie na mleku, a na coca-coli. Ma szczęście, że obudziłem się w dobrym nastroju, bo dyplomu z sobą nie noszę, a wytargać ucha małemu rozrabiace moja ręka się nie zawaha.

– Nie – jestem normalnym facetem.

– I bez samochodu?! – nie wierzy Tolik.

Samochód często się psuł, wiec go spaliłem.

– A telefon komórkowy masz? – nie dawał za wygraną malec.

– Miałem, ale bardzo często dzwonił, więc też spaliłem, żeby nie odwracał mojej uwagi od myśli.

Korytarzem galopem przebiegł tabun dzieci.

– A o czym ty tak rozmyślasz?

– Teraz myślę, czy nie spalić tego oddziału – odpowiadam, naciągając spodnie i żartobliwie pytam: – Papierosa masz?

Chłopiec spodziewając się dobrej zabawy zawzięcie przytakuje.

– A ja mamie powiem – odzywa się dziewczynka.

Malec fuka na siostrę i ta znika za drzwiami.

KOŁO RATUNKOWE

Chodźmy, wykąpiemy się – proponuje Tolik.

– A ciebie matka samego puszcza nad jezioro?

– Z tobą puści.

Jestem bardzo wdzięczny za zaufanie, ale niezbyt pewien, czy gotów na taką odpowiedzialność. Mimo to nie byłoby kiepsko zanurzyć się zaraz w wodzie. W wodzie zawsze czułem się komfortowo. Jednak te czasy, kiedy

[1] Mt 19, 13-15

dwa razy na tydzień chodziłem na basen dawno minęły. A w jeziorze pływałem jeszcze dawniej. Jeśli już wstałem tak wcześnie, to dlaczego by nie pójść i nie popływać?

– A pływać potrafisz? – pytam Tolika.

– W jeziorze potrafię, w rzece bez koła na razie jeszcze nie? – wyjaśnia.

– Nurt w rzece ci przeszkadza?

– Nie, w rzece woda rzadsza, od razu idę na dno – mówi chłopiec – A w jeziorze gęsta, bo słona.

– Dobrze – podjąłem decyzję. – Biegnij po pozwolenie. Jeśli mama cię puści – pójdziemy się kąpać. Tylko swojego koła nie zapomnij.

Myślałem: malec z radością się rzuci co sił w nogach do matki po zezwolenie, ale nawet nie drgnął.

– Jeszcze wczoraj wieczorem dostałem zgodę – wyjaśnił ze spokojem – A koło – pod ścianą.

Zerknąłem w kierunku wskazanym przez chłopca i zobaczyłem oparte o futrynę czerwone nadmuchiwane koło, na którym białe litery układały się w napis „TITANIC".

„Chyba żart" – potarłem policzek.

– Skąd go masz? – Nie odwracam oczu od koła ratunkowego.

– Zawsze go miałem – Tolik udziela mi wyczerpującej odpowiedzi.

– Dobrze – powtórzyłem raz jeszcze. – Odpływamy – I na wszelki wypadek spluwam: – Tfu-tfu.

KLUCZ NA GWOŹDZIU

Trochę to dziwne, że drzwi pokoju są zamykane na kłódkę. Wszystko tu jakieś przedpotopowe: pomieszczenia, wszystko na to wskazuje, przystosowane są do sanatorium, ale wygląda to tak, jakby zbudowano go w czasie pierwszego radzieckiego planu pięcioletniego. Wsuwam ucho kłódki w metalowe kółka. Do klucza przymocowana jest metalowa blaszka z numerem pokoju.

– Klucz trzeba oddać siostrze na dyżurkę – podpowiada Tolik , widząc], że chowam klucz do kieszeni. – Powiesi go na gwoździu.

– Może pobyć i u mnie – nie zgadzam się – Sam mieszkam w pokoju.

– A porządek?! – nie daje za wygraną chłopiec.

– Nie jestem przeciwny porządkowi, ale porządek – to kiedy każdy mieszkaniec pokoju ma własny klucz – mówię ze złością. – A kiedy klucz wisi na gwoździku, z którego może go zdjąć każdy, kto zechce – to bałagan.

– Lubisz omijać prawo? – ironicznie (przynajmniej tak mi się wydawało) zapytał Tolik.

Podejrzliwie zerkam na malca: może przede mną stoi nie dziecko, a karzeł? Zbyt przecież mądry. Nie w sensie intelektu, a w znaczeniu życiowego pragmatyzmu. A w tym dzieci zawsze naśladują dorosłych. Być może Tolik zaadresował do mnie zasłyszaną gdzieś frazę.

Nie wiem, co mam mu odpowiedzieć, dlatego pytam:

– A ty, czyżbyś nie lubił?

– A mnie to wszystko wisi – mimochodem mówi Tolik.

Moje podejrzenia powracają. Z zamyśleniem patrzę na malca. Trzeba go jakoś sprawdzić. Muszą przecież być jakieś testy, które pomagają odróżnić małego chłopca od dorosłego karła.

KORYTARZ

Kiedy szedłem korytarzem od swojego pokoju do schodów (mój pokój znajduje się na trzecim piętrze, przedostatnia sala w lewym skrzydle) natknąłem się na dziesiątki kobiet (ledwie je rozróżniałem), niektóre z nich serdecznie witały się ze mną i zaczynały rozmowę (byłem zmuszony się zatrzymać) jak ze starym znajomym, inne zatrzymywały mnie otwarcie wyrażając chęć nawiązania znajomości. Kobiety przedstawiały się. Mówiłem, że jest mi bardzo przyjemnie i z kolei ja się przedstawiałem. Jednak, jak od razu stało się jasne, to była tylko zbędna formalność, jako że moje imię było im już znane. I wiedziały o mnie, jak się wydaje, nawet więcej, niż zapisano w mojej historii choroby. Dlatego nie byłem zaskoczony, mimo że mnie onieśmielała ta lawina wzmożonego zainteresowania (jakbym był jakąś znakomitością), oprócz tego, że straciłem oddech w potokach damskich fluidów, to jeszcze czułem się zażenowany, zważywszy, że większość kobiet była odziana zbytnio po domowemu: jakaś przeszła przez korytarz w samych majtkach i biustonoszu, inna przedefilowała w jakiejś przezroczystej koszuli, która wyraźnie pokazywała, że i majtki i biustonosz na „lady" są nieobecne. Wyręczał mnie Tolik, który nie ustawał w przypominaniu, że im dłużej będziemy tu sterczeć, tym mniej zostanie czasu na kąpiel i spóźnimy się na śniadanie.

WCZORAJSZE TAŃCE

Wstyd przyznać, ale nie byłem w stanie określić, z którymi kobietami już się poznałem, a z jakimi jeszcze nie. A jeśli pamiętałem czyjąś twarz, to nie mogłem sobie przypomnieć imienia. Zazwyczaj bardzo kiepsko zapamiętuję imiona podczas przedstawiania, jeśli od razu poznaję więcej niż dwie osoby, a wczoraj kobiece twarze i imiona zmieniały się jak w kalejdoskopie.

Wczoraj po kolacji w pośpiechu wróciłem do pokoju, chcąc zostać sam. Wśród tego plemienia amazonek czułem się bardzo nieswojo. Postanowiłem, że spędzę tu noc, a rano, jak tylko pojawi się zarządzający oddziałem, czy główny lekarz, czy bądź kto z kierownictwa zażądam, żeby mnie zakwaterowano w jakimś innym budynku, gdzie nie byłbym czarną owcą, bo inaczej urządzę im *taki* skandal! Pocieszywszy się ta myślą, powałęsałem się po pokoju, postałem przy oknie, poleżałem na łóżku, a ponieważ spokój do mnie nie przychodził pomyślałem o spacerze po parku. →

Wieczorna przechadzka, jak to mówią. Nie po to przecież taki świat tutaj zasuwałem, żeby teraz podobnie do karalucha kryć się w szczelinie. Schodziłem po schodach, kiedy rozległy się pierwsze akordy muzyki, od razu też dołączyła solistka, jakoś nagle, jak Filip z konopi, z zaskoczenia nawet zgubiłem krok. Odnosiłem wrażenie, że rozpoczęła się apokalipsa i , jak się wydawało, zbliżając się do wyjścia, przybliżałem się do jej epicentrum. Oczywiście, z powodu braku specjalnego miejsca do tańców, zabawy odbywały się na placu przed wejściem do sanatorium. Przestąpiwszy próg o mało nie utkwiłem nosem w szerokich plecach śpiewaczki, to była tęga, na oko trzydziestoletnia, dziewoja w długiej czerwonej sukni z cekinami i kopcem ufarbowanych na czarno włosów na głowie. Akompaniowała jej kobieta w damskim garniturze (z tego powodu na początku wziąłem ją za mężczyznę) na jakichś klawiszach, które udawały kilka innych muzycznych instrumentów, ale najgłośniej i najwyraźniej dźwięczała perkusja: bum, cyk-cyk, bum, cyk-cyk. Jednak wszystko to, ta daleka od spokojnej muzyka, bez reszty mieściła się wewnątrz głosu solistki. To było coś niesamowitego, nie mogłem pojąć, *co* wykonywała, tak bardzo mnie zaszokowało *jak* to robiła. W związku z jej śpiewem na myśl mi przyszły dwie analogie: pierwsza, zdaje się z Rudańskiego, historia z babą, która zalewała się łzami słuchając w cerkwi śpiewu diaka, jako ze jego śpiew przypominał jej krzyk jej kozy, kiedy rozrywały ja wilki; druga – z jakiejś dziecięcej książki (czytałem ja w dzieciństwie), w niej malec oceniający śpiew jakiejś solistki powiedział, że wrzeszczała jak jego kot, kiedy go wpychał do czajnika. O sanatoryjnej śpiewaczce można śmiało było powiedzieć – solo śpiewała tak, że koza, którą rozrywają wilki i kot, którego chłopiec wpychał do czajnika mogliby zaśpiewać w duecie.

Cofnąłem się, zobaczywszy przed sobą ruchome ludzkie kłębowisko; chociaż zabrzmiała dopiero pierwsza melodia, kobiety ze swoim potomstwem podskakiwały i pląsały na tyle aktywnie i masowo, jakbym trafił na kulminację sabatu czarownic. Nie zdążyłem oswoić się i rozejrzeć ,jak ominąć ten szalony wir, kiedy od masy odłączyła się postawna kobieta w średnim wieku i schwyciwszy mnie za rękę wciągnęła między tańczących. „Koniec, przepadłem!" – z przerażeniem pomyślałem, tak samo, jak kiedyś w wojsku podczas szkolenia, rzucając się pod czołg. Wyobrażam sobie, jak śmiesznie i pożałowania godnie wyglądałem ,wyrywając się z natarczywych rąk babsztyla. Jeszcze i teraz, kiedy to wspominam, chciałbym się zapaść pod ziemię.

KOBIETA W CZERNI

Przez całą drogę do jeziora jeszcze wymieniłem pozdrowienia z przynajmniej dwudziestoma kobietami (byłem zdziwiony: zbyt tłoczno, jak na poranną godzinę; Tolik wyjaśnił mi, że wszyscy chcą zdążyć popływać i poopalać się zanim zacznie się upał, najlepiej to robić od świtu do jedenastej albo po czwartej po południu, kiedy słońce chyli się ku zachodowi), pod koniec tak przywykłem, że z niektórymi witałem się pierwszy. Tylko jedna z kobiet nie odpowiedziała na moje „dzień dobry", nieobecna i niedostępna minęła mnie, poruszając do żywego wyrazem pogardy, który zastygł na jej pięknej, bladej twarzy. Nie zrozumiałem jednak: czy specjalnie zignorowała mnie, czy pogrążona w rozmyślaniach nie zauważyła mojej obecności. Kobieta wyglądała nieco dziwnie, mimo słonecznego i ciepłego poranka włożyła długa czarna spódnicę i taką samą czarna bluzkę, zapiętą pod szyję. Prawą ręka do piersi przyciskała książkę. Ledwie się powstrzymałem, żeby się nie obejrzeć i nie odprowadzić jej wzrokiem.

„Jakieś urojenie?!" – skręcamy z alei na ścieżkę i mimo wszystko obracam głowę w ślad za kobieta, ale już znikła.

– Znasz tę babkę? – pytam Tolika.

Malec krzywi się i niedbale wzrusza ramionami – nie zainteresowało go spotkanie.

– Bezdzietna – wyraża opinię (fraza wyraźnie z cudzych ust) i, jakby rehabilitując kobietę, dodaje: – Smacznie pachnie.

Pociągam nosem.

UROJENIE POWRACA

Serafita.

Ta kobieta podobna jest do Serafity.

Serafita też, nie zważając na pogodę, zawsze ubierała się na czarno. Taka sama długa czarna spódnica, a częściej – szerokie spodnie, które przypominały zwężoną spódnicę. Czarna bluzka – pod samą szyję, na niej – duży srebrny krzyż. Długie, rozpuszczone włosy koloru gryczanej słomy i owsa. Zawsze nieznacznie uniesiony podbródek, delikatne wygięcie szyi, smutny profil. Kiedy szła ulicą, ludzie oglądali się za nią. W gruncie rzeczy nie spuszczałem jej z oczu.

Serafita jak się pojawiła, tak i znikła. A jej duch długo mnie jeszcze nawiedzał. Jeszcze długo za nim podążałem.

I oto duch Serafity wrócił. Zmaterializowawszy się w kobietę – przypominająca kobietę-kopię, kopietę-dubel.

Jednak wszyscy wiedzą, że w tę sama wodę dwa razy się nie wejdzie. A woda stojąca do tego czasu pewnie by się zaśmierdziała.

Jeszcze raz się obejrzałem.

JEZIORO

Drogę przebiegła nam wiewiórka. Nie taka jaskrawo ruda i puszysta, jak je malują w książkach dla dzieci. a chuda, wyliniała, z obdartym ogonem. Szczury w pobliżu miejskich wysypisk wzbudzają więcej respektu. Chłopiec chwycił kij i rzucił w nieszczęsne zwierzątko.

– Dzika –wyjaśnił – A w pobliżu sanatorium są oswojone. Karmię je pestkami słonecznika – i kontynuując tematykę zwierzęcą nieoczekiwanie pyta – Widziałeś, jak ciupciają się jeże?

Nie widziałem. Za to mogę opowiedzieć, jak zapylane są kwiaty.

-Wtedy zupełnie nie kłują, są jak jedwab – z przejęciem uświadamia mnie Tolik – Można głaskać.

– Od natury jest czego się uczyć – odzywam się (trzeba powiedzieć dziecku coś mądrego) i sprowadzam rozmowę na bardziej bezpieczne tematy: – Po śniadaniu idziesz na zabiegi?

– Dzisiaj przecież niedziela – przypomina chłopiec. – Nie ma zabiegów.

– Zapomniałem. Zupełnie pogubiłem dni.

Tolik żali się, że nie ma z kim chodzić rano pływać.

– Mama nie spieszy się ze wstawaniem, śpi do samego obiadu. Z Rusą sami jemy śniadania. A za dnia kapać się to obciach.

– Jaka różnica? – pytam. – Czemu w ciągu dnia gorzej?

– Bo o poranku baby pływają na golasa – odpowiada Tolik. – A w ciągu dnia – bardzo rzadko.

– Mówisz serio?!

– Wstrzymuję krok, ale jest za późno – przyszliśmy; od razu natykamy się na trzy gołe kobiety. Ta, która wychodziła z wody, zobaczywszy nas głośno wrzasnęła i schowała się w krzakach. A ta, która leżała (najmłodsza) spojrzała na nas z lekka odrazą, jak na jakichś zboczeńców i przekręciwszy się na brzuch, pokazała nam biały trójkąt pośladków. I tylko najstarsza z kobiet, około czterdziestki, która stała z podniesionymi do góry rękami, niczym matka-ojczyzna, wystawiając brązowe od opalenizny ciało (z obwisłym brzuchem i płaskimi piersiami) na poranne słonce przywitała nas zachęcająco.

– Witajcie chłopcy! Przechodźcie, nie wstydźcie się.

A oto i – jezioro.

AKT-AKT

Nie wiem, jakie miejsce w tym czasie zajmowały nauki pedagogiczne, ale muszę wyznać, ze osobiście rozmijałem się z życiem beznadziejnie i nieodwołalnie: nie myślałem, ze dzisiejsi siedmioletni chłopcy tak bardzo żywo interesują się kobietami.

– Czemu tak ci się podobają gołe kobiety?

– Bo są piękne – bez wahania odpowiada Tolik.

– Co – wszystkie?! – nie dowierzam. – I ta gruba jak balia? I ta koścista, podobna do wysuszonej płoci?..

– Wszystkie – Tolik twardo upiera się przy swoim.

– A ubrane niełądne?

– Nie wiem – mówi malec i się zamyśla – Tylko te, które są dobre – uściśla.

Teraz moja kolej, aby się zastanowić.

– Akt–akt – mówię i wzdycham.

„Mimo wszystko to nie to piękno, które zbawi świat „ – Tego jestem więcej niż pewien.

GĘSTA WODA

Rozbieramy się. Wciąż jeszcze się waham czy nie powinniśmy stad odejść. Tolik wręcz przeciwnie – za żadne skarby. Kręcił głową dookoła, podczas gdy ja starałem się patrzeć jedynie sobie pod nogi. To właśnie tak popadłem w te tarapaty! Z tą kąpielą i z tym sanatorium… Szybciej należałoby do wody, żeby gołym kobietom nie drażnić oczu. Stąpam po drewnianym pomoście, siadam na jego skraju, spuszczam nogi do wody. Woda otacza je przyjemnym chłodem.

– Tu głęboko? – pytam Tolika.

Przytakuje niedbale.

Ostrożnie opuszczam się do wody, w pobliżu pomostu – mnie do pasa. Maczam i oblizuję palec – rzeczywiście słona.

– Skacz do mnie – wołam do Tolika – Będę ubezpieczał.

Tolik niewzruszenie siedzi na swoim kole ratunkowym.

– Nie – kreci głową – Tu posiedzę – wymiguje się – później.

Robię kilka kroków po dnie, woda podnosi się mi do piersi, kulę nogi i kładę się na wodę, przekręcając na plecy, płynę z twarzą do góry, oddaliwszy się nieco od brzegu, zamieram. Ledwie wyczuwalna fala kołysze moje zaskakująco lekkie ciało. I na duszy mi także lekko. Jak w dzisiejszym śnie. Niby w odległym dzieciństwie. W którym się rozpuszczam jak sól w wodzie.

Rozdział drugi: WIEŚ DZIECIŃSTWA

„SIM–JA” [2]

Moje dzieciństwo upłynęło wśród kobiet. To była wyjątkowa familijka („sim–ja”), ich – sześć i siódmy – ja. Mężczyzna. Byłem ich słońcem, one jak planety krążyły dokoła mnie.

Tak, było ich sześć. Trzy pokolenia.

Pierwsze – moja babcia, nazwana Katrią i jej młodsza siostra Tekla. Drugie – córki mojej babci – starsza Tamara, średnia Sofija (moja mama) i najmłodsza Ula. Trzecie – moja siostra Marijka.

Żyły jak te kotki: każda starała się chodzić swoimi drogami. Jeszcze trochę, a by się pogryzły, pokłóciły, warkocze jedna drugiej powyrywały, ale zjawiłem się ja. W tym sensie narodziłem się w czas.

– Nie mogłyśmy się ciebie doczekać – powiedziała, głaszcząc mnie, ciocia Ula.

A babcia Katria zapewniała:

[2] сім'я [transkrypcja – simja] – w języku ukraińskim rodzina

→

– Jakby urodziła się dziewczynka, wyrzuciłabym ją na śnieg. Wzięłabym grzech na swoją duszę…

Ale urodziłem się ja. I uchroniłem babcię od grzechu.

JAK SIĘ NARODZIŁEM

Sypało rzadko ogromnymi płatkami śniegu. Ciocia Ula stała przy oknie i na głos liczyła śnieżynki. Ula niedawno skończyła siedemnaście lat. Była niskiego wzrostu, zaokrąglona, z sympatycznymi dołeczkami w policzkach.

– Zamknij się – wrzasnęła na nią ciocia Tamara. – Działasz mi na nerwy.

„To dziwne – pomyślała Ula. – Do jakiego stopnia ludzie są różni. Liczę, żeby się uspokoić, a Tamarę to wyprowadza z równowagi". Jednakże Tamarę denerwowało nieomal wszystko, co robiła czy mówiła Ula. Można było nawet powiedzieć, że jej nie lubiła. Ula nie przejmowała się tym specjalnie, przypuszczała, że być może we wszystkich rodzinach starsze siostry (Tamara była starsza o dziewięć lat) czepiają się młodszych. Tym bardziej, że starsza siostra i z innymi nie odznaczała się serdecznością.

Tamara miotała się po pokoju, nie znajdując sobie miejsca, to przemierzała szerokim krokiem podłogę od progu sieni do szczelnie zamkniętych drzwi, które prowadziły do sąsiedniego pokoju (za każdym razem zbliżała się do nich tak energicznie i z takim zdecydowanym wyglądem, że wydawało się, zaraz chwyci za klamkę i przestąpi próg), to siadała na ławę, ale od razu podrywała się i podchodziła do wiadra z wodą, żeby się napić zaczerpnąwszy chochlą, podnosiła ja do ust i jakiś czas trzymała przed sobą, przysłuchując się temu, co działo się w sąsiednim pokoju, później i tak nie pijąc odkładała czerpak na miejsce i znów jej wysoka postać, niczym wahadło – tam i z powrotem, tam i z powrotem – odmierzała trwożny czas oczekiwania.

W pokoju obok krzyczała moja mama. Tam rodziłem się ja. Rodziłem przedwcześnie, na tyle przedwcześnie, że o tym, aby zdążyć na izbę położniczą w powiatowym ośrodku nie mogło być mowy, ledwie zdążyli wezwać felczera. Babcia Katria i babcia Tekla pomagały felczerowi, Tamary i Uli do rodzącej nie dopuściły, ponieważ, według babć, są rzeczy, o których nie wypada dziewczynie wiedzieć przed naznaczonym czasem.

– A czemu mama krzyczy? – zapytała Marijka.

Moja pięcioletnia siostrzyczka bawiła się na łóżku swoimi lalkami, jako jedyna z obecnych wyglądała na spokojną, zdawało się, że dziewczynka jest absolutnie obojętna na to, co działo się dookoła, w rzeczywistości jej dziecięca uwaga nie odrywając się od zabawy, wszystko uważnie rejestrowała.

– Czemu mama krzyczy?

Nikt nie odpowiedział Maryjce.

Ula odeszła od okna i przykucnąwszy przy kuchni otworzyła drzwiczki, żeby podrzucić do ognia drew. Nie przygotowały opału na tę zimę, przyszło oszczędzać, palić tylko, aby ugotować sobie albo bydłu jedzenie. Jednak w dniu moich narodzin drew nie żałowali. Witali mnie ciepłem.

– Mamę brzuszek boli? – znów zapytała Marijka.

I znów nikt się do niej nie odezwał.

– Ja tego dłużej nie zniosę – chwyciła się za głowę Tamara. – Ja zaraz zwariuję.

W tym momencie moja mama zamilkła, natomiast ja dałem głos, ratując ciocię Tamarę od szaleństwa.

– Chłopiec – oznajmił felczer, oddając mnie babci Katrii.

Babcia Katria, przekonawszy się o wiarygodności słów medyka, z powściągliwą radością filozofa stwierdziła:

– Nareszcie będziemy mieć gospodarza.

A babcia Tekla zapłakała ze wzruszenia i naznaczyła krzyżem.

MAŁA [MALEŃKA] OPOZYCJA

Leżałem w kołysce. Obie moje ciocie stwierdziły, że jestem nadzwyczaj piękny. Wszyscy wokół zgadzali się z tym stwierdzeniem, jedynie Marijka stała z boku i słuchała naburmuszona, z zazdrością entuzjastycznych okrzyków dorosłych. Podprowadzono ja do kołyski.

– To twój braciszek. Patrz, jaki ładniutki.

Marijka zerknęła na mnie z wrogością i skrzywiła się.

– Żeby zdechł – powiedziała głośno. – To przez niego mama krzyczała…

Tak niepodziewanie moja siostra wyraziła swoją dezaprobatę.

Twarze moich krewnych zmieniły się w jednej sekundzie. Zabobonność była częścią ich światopoglądu. Pierwsza zareagowała babcia Katria, uderzyła Marijkę grzbietem dłoni po wargach i zagroziła:

– Wyrwę język, jak będziesz tak mówiła.

Siostra wybuchła płaczem. Nikt się za nią nie ujął. Nawet Ula, która najwięcej się z nią bawiła, patrzyła na Marijkę z przyganą.

– Tak nie można Marijko. Mama urodziła ci braciszka, żebyś miała z kim się bawić… Powinnaś go kochać.

– Nie będę go kochać – oznajmiła Marijka – Jest brzydki.

Tego dnia moja siostra doznała straty z powodu swojej obiektywności.

NIECZYSTA SIŁA

– Zepsułeś mi życie – lubiła powtarzać moja siostra.

Nim ukończyłem dwa lata, przeżyłem trzy zamachy na swoje życie. Pierwszą próbę usunięcia mnie podjęła Maryjka prawie natychmiast po moich urodzinach. Na oczach babci Tekli przewróciła kołyskę, w której, nie podejrzewając niczego, spokojnie spałem. Na szczęście nic mi się nie stało. Siostra zapewniła, że nie zrobiła tego umyślnie. Uwierzono jej (w głowie się nie mieściło, że

pięcioletnie dziecko może być takim potworem), ale dla nauki dali jej w skórę i na przyszłość postanowili nie zostawiać nas samych. Po raz drugi Marijka spróbowała mnie „zamoczyć", dopiero co zacząłem stawać na nogach: przewróciła mnie do balii z praniem, która stała na podłodze i zaczęła przygniatać, żebym cały zanurzył się w wodzie. Uratowała mnie ciocia Tamara. Oczywiście, siostra przekonywała wszystkich, że sam wpadłem do balii, a ona mnie ratowała. Dopiero trzeci zamach potwierdził, że poprzednie dwa nie były przypadkowe. Tym razem Marijka wyprowadziła mnie w ruiny opuszczonego gospodarstwa i zepchnęła do studni. Sama spokojnie wróciła do domu. Miałem szczęście, że studnia płytka i do połowy wypełniona ziemią. Znaleziono mnie po upływie połowy dnia, po tym, jak babcia Katria z ciocią Tamarą wzięły Maryjkę w krzyżowy ogień pytań i przyznała, że chciała przywieść do zguby moją jeszcze niewinną duszyczkę. Nieomal jej się to udało, przeziębiłem się w tej studni i mało co nie umarłem z powodu choroby.

– W tym dziecku siedzi siła nieczysta – podsumowała babcia Katria.

Wszyscy zgodzili się, milcząc.

A po prawie dwudziestu latach Marijka półtora miesiąca pielęgnowała mnie w taszkienckim szpitalu po ciężkim zranieniu.

Pamiętam, jak przyszedłem do przytomności po sennych majakach i zobaczyłem siostrę, siedziała obok mnie na skraju łóżka. Patrzyła na mnie suchymi, zaczerwienionymi oczyma.

– Tak się bałam, że nie znajdę ciebie i się nie dowiesz, jak cię w dzieciństwie kochałam… Chciałam, żebyś był tylko mój.

Tylko ona miała prawo mnie zabić, nikt więcej.

CHATA

Mieszkaliśmy nie w wiosce, a w chutorze. W rzeczywistości do czasu moich urodzin z chutoru została jedynie nasza chata. Samotna chata pośród pól. Do lasu mieliśmy bliżej niż do wsi. Elektryczność do naszego domu doprowadzili dopiero, kiedy uczyłem się w szkole. Chatę tę zbudował mój pradziad Archip, ojciec babci Katrii i babci Tekli. Jak na tamte czasy była dość duża, chociaż składała się jedynie z dwu pomieszczeń. Dokładniej z kuchni (z piecem chlebowym i fajerkami), tu mieszkały babcie – babcia Katria spała na łóżku, a babcia Tekla na leżance obok pieca, i pokoju, gdzie stały trzy łóżka i skrzynia. Spałem z mamą, Marijka – z Ulą, nasze łóżka były drewniane, niewygodne i twarde, a Tamary – wąziutka kojka z błyszczącymi metalowymi poręczami i miękkimi sprężynami. Tamara kupiła to łóżko za swoją nauczycielską pensję, a do tego czasu musiała spać razem z Ulą. Uwielbiałem siadać na ciocinym łóżku i huśtać się, słuchając jak jęczą pode mną sprężyny, albo, kiedy nikogo nie było, włazić na pościel nogami i podskakiwać. Za te wybryki nieraz mi się dostało od cioci Tamary, surowo zabraniała mnie z Marijką bawić się na swoim łóżku, nawet odgrodziła je parawanem. Jednak większość czasu spędzaliśmy w przestronnej kuchni. Szczególnie zimą. W kuchni było cieplej. Piec, choć i był postawiony tak, żeby jednocześnie ogrzewać pokój, ale na całą nasz duży dom jego ciepła nie starczało.

DATY I ZDARZENIA

Przez długi czas myślałem, że moją rodzoną babcią jest babcia Tekla, spokojna i delikatna, podczas gdy babcia Katria przypominała surowego żołnierza: bałem się jej. Wszyscy domownicy się jej bali. Wydaje się, że babci Katrii dorównywała jedynie Marijka, siostra nie uznawała żadnych autorytetów, charakter miała tak samo niezależny jak i babcia, a w jakiś sposób nawet ją prześcigała. Babcia Katria nigdy nie unosiła się bez powodu, tylko wtedy, kiedy naruszone zostały pewne zasady, jej gniew zawsze był racjonalny. Marijka odznaczała się irracjonalnością, jej zachowań nie można było przewidzieć.

Mąż babci Katrii – Nestor, mój dziadek, zginął na froncie. Najczęściej o dziadku (swoim ojcu) wspominała ciocia Tamara. W kącie za zasłonką wisiał portret dziadka obramowany wyszywanym ręcznikiem.

Ciocia Tamara, odnosząca się z szacunkiem do zmarłych, niezbyt ceregieliła się z żywymi. Kiedyś podczas sprzeczki nazwała Ulę znajdą.

– Myślisz, że jak śpisz na żelaznym łóżku i odgrodziłaś się od nas, to już jesteś panią? – odparowała Ula.

– Może i nie panią, ale i nie bękartem…

W tym momencie do pokoju weszła babcia Katria. Ciocia Tamara natychmiast spokorniała. Babcia w milczeniu podeszła do niej i na odlew uderzyła w twarz. Później obrzuciła córki spojrzeniem i niegłośno, ale z naciskiem zapytała:

– Czyż nie ja was wszystkie wychowałam?!

Tamara płakała za swoją zasłonką, a Ula pobiegła płakać na ulicę. Dziadek zginął w 1944 roku. Ula urodziła się w czterdziestym szóstym.

Pewne daty i wydarzenia nie zawsze się zgrywały.

Poszedłem za Ulą, żeby ją uspokoić. Gorzko płacząc przytuliła mnie do piersi (gorące łzy kapały mi na ostrzyżoną głowę) i powiedziała:

– Ty i ja jesteśmy biedni, biedni!

MÓJ OJCIEC – KRÓLIK

Żyłem wśród kobiet, od czasu do czasu spotykałem mężczyzn, ale nie pociągało mnie ich towarzystwo. Nawet po tym, jak się dowiedziałem (informacja ta była dość mglista), że wszystkie inne dzieci oprócz matki mają też i ojca, i jedynie ja z Marijką – nie mam, nie czułem się →

pokrzywdzony, nam i bez ojca było dobrze. Nie wiedziałem, jaka jest korzyść z ojca i dlatego doszedłem do wniosku, że jest on nam niepotrzebny. Jednak kiedy usłyszałem radosne okrzyki Maryjki:

– Hura-a! Mój tata przyjechał! – też podchwyciłem: – Ura-a! Mój tata przyjechał!

I tu zdarzyła się rzecz niespodziewana. Marijka wprawiła mnie w osłupienie nowiną:

– Mój tata – nie twój. Ty nie masz taty.

Poczułem się obrażony.

– A czemu Marijka ma tatę, a ja nie mam? – zwróciłem się do babci Katrii – Gdzie mój tata?

– Swojej matki zapytaj – sucho odpowiedziała babcia.

Mama była lakoniczna:

– Twój ojciec umarł.

– I zakopali go w ziemi? – dopytywałem się.

– Zakopali.

– Jak królika?

Niedawno zdechł nam królik, wspomnienie ceremonii jego pogrzebu (Marijka odegrała całe przedstawienie) było jeszcze świeże w mojej pamięci.

– Jak królika – potwierdziła mama.

Od tego czasu, nawet kiedy podrosłem, kiedy ktoś mnie pytał o ojca, wyobrażałem sobie królika, którego z Marijką i babcia Katrią zakopaliśmy w starej gliniance.

ULA

Wyrastałem na odludziu. Nasz chutor był dla mnie wyspą, jedynie tu czułem się pewnie, gdzie indziej bez Marijki bałem się zrobić krok. Z jakiegoś powodu właśnie z Marijką czułem się najbardziej bezpieczny, chociaż akurat ona najbardziej mnie terroryzowała. Jednak z ówczesnych naszych stosunków nie została ani kropla urazy. Przedszkolne lata (dopóki zostawałem na łonie swojej rodziny) były najjaśniejszym okresem mojego dzieciństwa. Zaskakujące, ale we wspomnieniach tego okresu bardzo rzadko pojawia się mama. Nie potrafię przywołać swoich ówczesnych synowskich uczuć, które by były z nią powiązane, chociaż bardzo wyraźnie pamiętam, jaką bezgraniczną miłość wywoływała we mnie ciocia Ula.

Każdego wieczora błagałem;

– Chcę spać z Ulą.

Ula nigdy się nie sprzeciwiała, ale decydujące było słowo Maryjki. Zazwyczaj mówiła:

– Nam i bez ciebie ciasno.

Albo jeszcze dobitniej:

– Żebyś się znów na nas posikał?!

Coś takiego trafiło się tylko raz i bardzo dawno. Tak dawno, że gdyby nie Marijka, to do tej pory wszyscy by zapomnieli. Za ten jedyny raz było mi wstyd, bo że i w maminym łóżku przychodziło mi „raki łowić", z tego powodu moja obsikana reputacja nie cierpiała. Zresztą to także odeszło do przeszłości. Jednak Marijka nie stała się bardziej gościnna.

– Nie leź do nas – brudasie – tobie tylko razem ze świniami spać.

– Nie rządź się – kłóciłem się. – Nie twoje łóżko, a Uli.

– A właśnie moje – upierała się przy swoim Marijka.

– Twoja tylko połowa.

– Niedługo całe będzie moje.

– A Ula gdzie będzie spała?..

Tak się dowiedziałem, że ciocia Ula zamierza nas opuścić.

– Po weselu pójdzie do tego wujka, który czasem podwozi ją na motocyklu – wyjaśniła mi Marijka – Za mąż za niego idzie.

Wujek ten mi się nie podobał, ani razu nie pozwolił mi siąść na motor i potrzymać za kierownicę. Do tego miał czerwoną twarz, brodawkę obok nosa i czarny paznokieć na dużym palcu prawej ręki (później dowiedziałem się, że narzeczony Uli był więcej niż o dziesięć lat od niej starszy).

– A dlaczego ona idzie za mąż – nie mogłem zrozumieć.

– Bo go kocha.

– Kocha?!

Byłem zaszokowany. Jak Ula może kochać tego czerwonego wujka z jego brodawką i czarnym paznokciem! Nie mogłem uwierzyć. „Być może Uli spodobał się jego motocykl" – zadecydowałem. I mimo wszystko nie mieściło mi się w głowie, że Ula zamieni nas wszystkich na jakiegoś wujka, chociaż ten ma motocykl.

– Nie chcę, żeby Ula wychodziła za mąż – powiedziałem.

– A myślisz, że ja chcę?! – twarz Marijki stała się smutna – Ale jak nie wyjdzie, to zostanie starą panną, jak ciocia Tamara.

– Jak dorosnę, sam ożenię się z Ulą! – zawołałem – Jeszcze zobaczysz!.

Pamiętam ciocię Ulę z wiankiem na głowie i różnokolorowymi wstążkami na plecach. Z przyjaciółkami, śpiewając, oddala się w kierunku wsi – idą zapraszać na wesele.

W tym właśnie wianku Ulę złożyli w grobie.

Rostrzaskali się na motocyklu, kiedy wracali z „rajcentru"[3]. Pan młody został ranny, ale przeżył, a Ula zmarła w szpitalu.

To stało się jesienią. Tej jesieni poszedłem do szkoły.

SZKOŁA

Nienawidziłem szkoły. Nienawidziłem całego świata za granicami naszego chutoru, za progiem naszej chaty. Ciężko przeżyłem śmierć Uli, stałem się nerwowy i drażliwy. W szkole wywoływałem awantury i z dziećmi, i z nauczycielką. Toteż szybko stałem się sławny w całej szkole. Nazywano mnie Psycholem. Wpływ na mnie miała

[3] centrum rejonowego

tylko Marijka. A biedna ciocia Tamara bezsilnie łapała się za głowę. Kiedy coś było nie po mojej myśli, szedłem do niej do pokoju nauczycielskiego, żeby się pożalić. W domu krzyczała na mnie i wyrzucała mi, że okrywam ją hańbą przed gronem pedagogicznym, a w szkole broniła mnie, jak mogła. W rzeczy samej ciocia Tamara była moja pierwszą nauczycielką. To ona nauczyła mnie czytać i pisać. Ale jej nauczanie było domowe, a nie państwowe. Dla mnie była jedynie moją ciocią i nie zważając na te żądania i perswazję, mój język stawał kołkiem, kiedy miałem nazywać ją Tamarą Nestorowną.

Od tego, jak poszedłem do szkoły, zaczęły się wszystkie moje kłopoty.

Idylla mojego dzieciństwa pękła pod naporem okrutnego świata.

BABCIA TEKLA

Kwitły czereśnie. Nasz dom utonął w białej pianie kwiatów. Wróciliśmy z Marijką ze szkoły. Moje lekcje kończyły się wcześniej o godzinę albo dwie niż siostry, ale zawsze na nią czekałem. W pobliżu wąwozu dogoniliśmy babcię Teklę, raczej zobaczyliśmy. Ścieżka jak raz robiła zakręt i widzieliśmy babcię nie z tyłu, a z boku: szła powoli, trochę zgarbiwszy się pod tobołkiem utykając bardziej niż zwykle. Prawdopodobnie ze zmęczenia. Bo prócz tłumoka niosła w ręce torbę.

– Na wieś po chleb do sklepu na chodziła – powiedziała Marijka.

Sam się domyśliłem. Babcia Tekla, żeby było lżej, zawsze nosiła chleb w dużej kraciastej chuście. Rozścieliwszy chustkę, kładła na niej sześć bochenków (czasem i więcej) chleba, związywała na początek dwa końce, zarzucała tobół na plecy, pozostałe dwa – zawiązywała na piersiach (i z tym tobołem babcia Tekla zapisała się w mej pamięci na zawsze).

Od razu mnie z Marijką zapachniał świeży chleb, przypomniało się, jak apetycznie chrupie skórka… Poczuliśmy głód, miałem ochotę od razu wgryźć się zębami w bochenek.

– Może kupiła cukierki – wyartykułowałem przypuszczenie.

Moje przypuszczenie nie było bezpodstawne. Babcia Tekla zawsze przynosiła nam gościńce. Pieniądze na zakupy, które wydzielała babcia Katria, zazwyczaj starczały „na styk", ale jeśli zostawało kilka kopiejek reszty, to babcia Tekla brała ją w cukierkach

– Babciu! Babciu! – podnieśliśmy krzyk.

Babcia Tekla nie słyszała.

– Biegnijmy! – dałem komendę.

I na wyścigi pogoniliśmy za babcią.

Posłyszawszy nasze wrzaski, babcia Tekla obejrzała się, przystanęła.

– Babciu, daj ugryźć chleba – chociaż zostałem w tyle za Marijką, za to poprosiłem pierwszy.

– Ojże wy moje pisklęta! – babcia postawiła torbę i poczęła rozwiązywać węzeł na piersi – Zaraz, zaraz moje sierotki.

– Babciu, a kupiłaś nam cukierków? – znów wyprzedziłem Maryjkę.

Babcia Tekla łagodnie uśmiechnęła się po swojemu i wyciągnęła z torby papierową kulkę.

– Jest! – powiedziała zadowolona – Galaretki. Sto pięćdziesiąt gram. Wszystkie pieniądze wydałam – powiedziała konspiracyjnie i roześmiała się cicho. – Katria mnie wygoni z domu. Zeszliśmy ze ścieżki, usiedliśmy, zaczęliśmy z Marijką dzielić galaretki. Galaretki były żółtego, zielonego i czerwonego koloru. Najbardziej atrakcyjne były dla nas czerwone. Chociaż w smaku niczym nie różniły się od pozostałych. Dzieliła siostra, ja uważnie kontrolowałem. Ilość galaretek okazała się nieparzysta Ostatni, żółty cukierek leżał przed nami na papierze. Zaproponowałem, by go podzielić, ale Maryjka powiedziała:

– Będzie dla babci Tekli.

Liczyłem, że babcia odmówi. Rzeczywiście odmówiła, ale było widać, że tylko dla tego, bo tak wypadało. Cieszyła się (o czym już wspomnieliśmy) i krępowała się (wstyd jej było odbierać łakocie dzieciom). Zawsze milcząca i cicha, dzisiaj babcia była zaskakująco rozmowna i podekscytowana.

– Także dla siebie kupiłam gościniec – wyznała, uśmiechając się z poczuciem winy – Z jakiegoś powodu sklepowego piernika zapragnęłam. Widzę zawsze ludzie kupują, a dzisiaj – daj, myślę, też sobie skosztuję. A on taki jak kamień. Tylko troszkę odgryzłam – babcia wyciągnęła z kieszeni swojej marynarki chusteczkę i rozwinęła ją, pokazała nam ledwie nadgryzionego piernika – Nic to, wieczorem w mleku rozmoczę...

Pomyślałem, że teraz podzielimy z Maryjką galaretkę między siebie, ale siostra nalegała:

– Bierz, bierz babciu, galaretka miękka.

– Nam nie szkoda – wsparłem siostrę.

I babcia Tekla z wdzięcznością przyjęła od nas słodki podarunek.

– A nafta gdzie? Kazałam ci naftę kupić! – beształa babcię Teklę babcia Katria.

– Stłukła mi się butelka z naftą – z niezmienną łagodnością i trochę zawstydzonym uśmiechem wyjaśniła babcia Tekla.

To jeszcze bardziej zirytowało babcię Katrię:

– A pieniądze gdzie? Gdzie reszta?!

Babcia Katria zrobiła pauzę, żeby dowiedzieć się, gdzie reszta. A babcia Tekla jakby nie zauważyła irytacji swojej starszej siostry, odezwała się jak zwykle spokojnym głosem: →

– Wiesz Katriu, mój największy wróg powrócił.

Babcia Tekla była najlepszym człowiekiem na świecie, dlatego bardzo mnie zdziwiło, że ma wroga. Spróbowałem go sobie wyobrazić.

– Babciu, jest faszystą?

Na nic więcej mojej fantazji nie wystarczyło.

Wieczorem jedliśmy kolację przy stole, a babcia Tekla siedziała obok pieca, moczyła w mleku piernik i bez pośpiechu przeżuwała, cicho uśmiechając się do jakiś swoich myśli.

Do głowy mi nie przyszło, że widzę ją po raz ostatni.

Tej nocy babcia Tekla spaliła chatę Martyncewa. Chatę, do której wrócił Oleksa Martynec– zdrajca jej ukochanego Stepana. Oblała budynek naftą, którą kupiła dzień wcześniej (oszukała babcię Katrię) i podpaliła. Ludzie nie ucierpieli, ale budynek i chlew spłonął do cna.

Dopiero później dowiedziałem się (babcia Katria odpowiadała milczeniem, mama i ciocia same nie wiedziały, a obcy ludzie za wiele zmyślali), że narzeczonego babci Tekli, Stepan Mulara – żołnierza UPA enkawudyści zabili na jej oczach. Wtedy właśnie ją okaleczyli. Wydał Stepana jego przyjaciel Oleksa, który stał się od tej chwili dla babci Tekli największym wrogiem.

Babcię Teklę uznali za psychicznie chorą i odprawili do szpitala na przymusowe leczenie. Do domu nie wróciła.

Jak dobrze, myślę, że wtedy daliśmy jej galaretkę…

CIOCIA TAMARA

Babcię Teklę zabrali wiosną, a ciocia Tamara opuściła nas jesienią. Poszła dobrowolnie. W wieku trzydziestu pięciu lat. Otruła się, wypiła jod, czy może „zielonkę" – dokładnie nie pamiętam. Zrobiła to nie w domu, a w szkole, prawdopodobnie późno po lekcjach: następnego dnia znalazła ją sprzątaczka w jednej z klas. Mówili, że umierała w strasznych mękach. Z bólu drapała podłogę, pozrywała sobie wszystkie paznokcie na palcach rąk. Jak zrozumiałem z podsłuchanych rozmów, winowajcą tego, że ciocia Tamara podniosła na siebie ręce, był najprawdopodobniej żonaty mężczyzna, z którym wdała się romans. W związku z tym w plotkach pojawiło się w obiegu kilka nazwisk, w tym także nazwisko dyrektora szkoły. Ale to były tylko domysły i spekulacje, podstawą dla których stał się fakt, że ciocia Tamara była w trzecim miesiącu ciąży, co wykazała sekcja zwłok.

– Jej duma zaprowadziła ją do grobu – sucho powiedziała babcia Katria, jakby mowa nie była o jej własnej córce, a o jakimś obcym człowieku. – Nie chciała bękarta urodzić…

– Myślę, że się zakochała – powiedziała moja mama. – Bez miłości by nie zeszła się z mężczyzną. Była na to zbyt prawa…

Pamiętam, jak płakałem na pogrzebie. Jednak przypominam sobie, że bardzo dręczyło mnie wtedy pytanie: „Kto będzie teraz spał na żelaznym łóżku cioci Tamary?".

– Dusza cioci – odpowiedziała mi Maryjka.

Czasami zaglądałem za zasłonkę, ale na łóżko nie odważyłem się siąść, by nie przeszkadzać cierpiącej duszy cioci Tamary.

MARIJKA

– Zepsułeś mi życie – mówi Maryjka. – Dopóki się nie urodziłeś, wszyscy kochali tylko mnie.

Już przyzwyczaiłem się do tego, że psuję siostrze życie, na początku się tym przejmowałem, a później przywykłem. Przecież nie naumyślnie. Nie jestem przecież winny, że się urodziłem.

– Teraz mnie nikt nie kocha – kontynuuje narzekanie Marijka.

– A ja?! Ja cię kocham – zapewniam siostrę.

Patrzy na mnie zmrużonymi oczyma.

– A nie kłamiesz?

– Niech mnie piorun strzeli! – przysięgam.

– Ja też cię kocham – grozi siostra. – Tylko spróbuj mnie nie kochać!

A pół roku później się rozstaliśmy. Marijka wykazała się nadzwyczajnymi zdolnościami do matematyki i po zwycięstwie na ogólnoukraińskiej olimpiadzie zaproponowali jej naukę w kijowskiej matematycznej szkole z internatem. Mama wyraziła zgodę.

Z wyjazdem Marijki skończyło się moje dzieciństwo.

Rozdział trzeci: NIEZMIENNA ISTOTA

MĘSKA ROZMOWA

Wychodzę z wody.

– Wypadałoby, żebyś chociaż zamoczył spodenki – mówię do Tolika, który wciąż siedzi na swoim kole i syci oczy widokiem nagich kobiet. I w wodzie, i na brzegu było dość tłoczno, kobiet wciąż przybywało. Niektóre, zauważając mnie, odchodziły na kilkanaście metrów i tam się rozbierały, inne – zostawały w bikini, ale większość kąpiących zachowywała się tak, jakby ich nagość była czymś naturalnym i dla nich, i dla mnie. Bardzo możliwe, że tak powinno być, ale nie byłem do tego przyzwyczajony, chociaż starałem się nie okazywać swojego zawstydzenia.

– Pilnuję twojego ubrania – poważnie odpowiada chłopiec, nie przerywając swojego zajęcia.

Na moich ustach pojawia się ironiczny uśmiech. Z radością zostawiłbym tu swoje ubranie, aby tylko nie zostać sam.

– Najważniejsze, żeby ich nie ukradli, kiedy się w nie ubiorę.

Tolik nie reaguje na mój żart.

Szkoda, że nie wziąłem z sobą ani ręcznika, ani spodenek, żeby się przebrać. Będę musiał otrząsnąć się z wody jak pies i naciągnąć spodnie na mokre kąpielówki.

– Tobie baby podobają się bardziej z przodu czy z tyłu? – pyta chłopiec, nie podnosząc na mnie oczu.

Ni z tego ni z owego oglądam się: jeszcze tylko brakuje, żeby któraś z kobiet podsłuchała nasze męskie rozmowy. Biorę w dłonie spodnie, mnę je w zadumie. Z ukosa spoglądam na chłopca: „Rośnie jakiś seksualny maniak". Wydaje się, że znajduję godną, z punktu widzenia pedagoga, odpowiedź:

– Właściwie, to najpiękniejsza u kobiet – dusza.

Malec podnosi ku mnie twarz.

– A w którym jest miejscu?

ZEN KOBIETY

Nasz dialog mógłby posłużyć jako ilustracja twierdzenia zen, że odpowiedź daje zbyt mało, ponieważ jest ograniczona pytaniem, a pytanie – jest wszystkim, jako że jest wolne od odpowiedzi.

Tolik nie spuszcza ze mnie wymownego spojrzenia.

– Kobieca dusza jest podobna do zen – mówię. – Nie zgłębisz jej, nie przeżywszy olśnienia.

– A czym jest zen?

– Zenu nie można opowiedzieć słowami. Zen – to olśnienie, oświecenie. U tych, którzy to przeżyli, wewnętrzna ciemność została wyparta przez światło, które ukazuje prawdziwą istotę rzeczy.

Chłopiec patrzy na mnie jakbym był niedźwiedziem, który popisuje się na jednokołowym rowerze. Czuję, że czas odwołać się do autorytetów. Cytuję małemu wierszyk Yongija

Idę – i to jest zen
Siedzę – i to jest zen
Mówię i milczę.
Poruszam się czy pozostaję w spoczynku –
Istota jest niezmienna

Tolik słucha i pyta kategorycznie:

– A po cholerę?

– Co, po cholerę? – pytam.

W znaczeniu: jaki jest sens słowa „po cholerę"? Dobra zmyłka. Można ją kontynuować. A jaki jest sens słowa „sens"? I dalej: żeby zapytać: „A co to kołdra?" nie musicie wiedzieć, co to kołdra, ale w skrajnym przypadku powinniście wiedzieć, co to jest „co".

– Mój ojciec mówi, że jeśli chcesz, żeby cię zrozumiano, to lepiej jeden raz zakląć, niż jakąś uczonością ludziom mózgi zamieniać w gówno.

Potakuję ze zrozumieniem.

– Z twoim tatą trudno by było się spierać.

Wniosek jest oczywisty: kto chce być zrozumianym – musi przeklinać. Ponieważ nawet człowiekowi w stanie olśnienia nie zawsze udaje się w obliczu nieporozumień zachować spokój.

MIESZKANIEC CIAŁA

– Och! – wykrzykuje Tolik, patrząc na moje ciało pełne szram. – Czemu jesteś taki pokaleczony?

Moje plecy i cały lewy bok przypominają pokrytą kraterami powierzchnię księżyca.

– Przechodziłem drogę na czerwonym świetle.

– I co? Auto rozbite?

Przytakuję.

– Potężne kamazisko.

Tolik na chwilę skupia się, żeby wyobrazić sobie, jak to się stało.

– Ale zostałeś przy życiu?

Dokładnie tak, nie stwierdza, a zapytuje.

– Nie całkiem – odpowiadam.

Staram się być szczery. Z dzieckiem mogę sobie na to pozwolić.

Malec wstaje, zaciekawiony wyciąga w moim kierunku palec.

– Można dotknąć?

Nie protestuję. Nie zachęcam i nie protestuje. Każdy zainteresowany może włożyć palec w moje rany, aby znaleźć potwierdzenie swoich złudzeń. Jestem jedynie mieszkańcem tego ciała, a nie współautorem cudzych wyobrażeń.

Chłopiec wodzi palcem po mojej okaleczonej skórze.

– Boli cię?

– Nie.

– A wcześniej bolało?

– Ból przychodzi i odchodzi, a wątpliwości pozostają.

Tolik patrzy na mnie pytająco. Kontynuuję:

– Prawdziwy jest jedynie ból, wszystko inne wywołuje wątpliwość.

Malec zasępia się. W milczeniu wzdycha. Kończę:

– Tam gdzie ból – tam prawda.

– Boję się bólu – wyznaje chłopiec.

– Wszyscy się boją – mówię.

REPUTACJA PEDAGOGA

Naciągam na siebie t-shirt, zakładam spodnie.

– Jesteś jakiś podejrzany – mówi Tolik.

– Dlaczego niby? – dziwię się.

– Rozmawiasz jakby nie ze mną. Dorośli z dziećmi tak nie rozmawiają.

– Czyżby był jakiś inny, specjalny język?

– No cóż – potwierdza Tolik. – Dorośli rozmawiają ze mną jak z dzieckiem. Bo jeszcze jestem mały. Ty mówisz, jakbym już wszystko rozumiał.

– Naprawdę myślałem, że ty już wszystko rozumiesz – mówię całkiem szczerze i uśmiecham się. – Gdybym dbał

→

o moją reputację pedagoga, to musiałbym podać się do dymisji.

– No cóż, ty znów swoje – skarży się chłopiec.

OBECNOŚĆ WSZYSTKIEGO WE WSZYSTKIM

– Uczysz dzieci w szkole?

Ukończyłem studia pedagogiczne, ale ani jednego dnia nie przepracowałem w szkole. Kiedy w recepcji zapytali o charakter mojej pracy, przedstawiłem się jako pedagog, żeby nie nazwać siebie pisarzem. Z dwóch powodów. Nie chciałem zwracać na siebie uwagi. A jeszcze bardziej chciałem na jakiś czas zapomnieć o tym, że jestem pisarzem. Pisarz powinien pisać. Poczucie tego obowiązku na dobre psuje życie. Daniił Charms napisal w swoim dzienniku, że najszczęśliwszy czuł się, kiedy odebrano mu pióro i papier i zabroniono pisać cokolwiek. Nie czuł przerażenia, że nie pisze ze swojej winy. Jego sumienie było spokojne i sam był szczęśliwy. Szczęścia tego zaznał, kiedy siedział w więzieniu. Być może z powodów humanitarnych pisarzy warto by było wsadzać do więzienia, aby tam odpoczęli od świętego obowiązku służenia sztuce, narodowi albo swoim własnym chimerom.

Tolik myśli, że nie usłyszałem:

– Uczysz w szkole dzieci?

Przypomina mi się wypowiedź Blytha [Reginald]: „Uczymy milcząc i tylko milcząc, chociaż może się zdarzyć, że w trakcie rozmawiamy"

Blyth to Europejczyk, który osiągnął zen. Przeniknął do niego. Rozpuścił się w nim. Rozpuścił zen w sobie.

– Nie odpowiedziałeś mi – przypomina Tolik

Znów ten sam Blyth. Komentując jakiś koan zen, powiedział coś w rodzaju: „Stworzenie świata, jego rozwój, jego ostateczne zniszczenie, jego wieczność i nieskończoność – wszystko to jest obecne (jeśli tylko my to widzimy) w napełnieniu dzbanka wodą, w oczekiwaniu, w powtórzeniu pytania, w krokach zrobionych w kierunku pokoju".

– Idziemy do sanatorium – mówię.

PODRÓŻNIK

Opuszczamy plażę. Tolik znów zaczyna swoje:

– To jesteś nauczycielem czy nie?

– Nie.

– A kim?

– Podróżnikiem.

– Jak to? – nie rozumie chłopiec. – Kto to jest podróżnik?

– Ten, kto przechodzi obok.

– Obok czego? – malec biegnie do przodu i zagląda mi w twarz.

– Obok pytań i obok odpowiedzi – odpowiadam.

Tolik z zakłopotaniem a trochę z wyrzutem kręci głową.

– Mimo wszystko jesteś jakiś podejrzany.

PAMIĘĆ WODY

Przechodząc korytarzem, nieomal na wprost swojego pokoju zauważam drzwi z napisem „PRYSZNIC". Ściszam krok, nasłuchuję – szumu wody spod prysznica nie słychać. W korytarzu – pusto. Najwyraźniej kobiety już zakończyły swoje poranne kąpiele. Dobrze by było przed zmianą ubrania zmyć z siebie sól z jeziora. Zerkam na zegarek – zdążę.

Zabrawszy z pokoju wszystko, co konieczne, kieruję się pod prysznic. Od środka prysznic się nie zamyka, tego należało się spodziewać. Ale za późno się wycofywać. Pośpiesznie się rozbieram i staję pod ciepłymi strumieniami.

Ledwie zdążyłem odwrócić się do ściany.

– Dzień dobry – przywitała się kobieta. – Nie przeszkadzam?

Zapytanie bez intonacji, bez podtekstu. Naturalny wyraz uprzejmości dobrze wychowanego człowieka.

– Nie, nie, nic podobnego – mamroczę, nie oglądając się – Proszę bardzo. Jeśli pani nie przeszkadza moja obecność.

– W czasach studenckich dorabiałam pozując.

Milczę. Kobieta odkręciła wodę.

– Od tamtego czasu bardzo się zmieniłam – odezwała się nieznacznie podnosząc głos. – Nikt już mnie nie pamięta takiej, jaką byłam wówczas. Nikt – powtórzyła kobieta –Chyba, że woda. Gdzieś czytałam, że woda ma pamięć.

Zmywam z głowy szampon. Zakręcam wodę.

– Nawet jeśli o nas zapomną wszyscy na świecie, zapamięta nas woda – mówi kobieta.

„Czy tego już nie dość?" – pytam sam siebie.

Wychodzę, nawet nie spojrzawszy w stronę kobiety.

Wątpię, czy poznam ją po głosie. Nawet gdybym zobaczył ją nagą, to mało prawdopodobne, czy potrafiłbym poznać ubraną.

ŚNIADANIE

W jadalni, zanim dostałem się do swojego stołu, kobiety dookoła uprzejmie pozdrawiały mnie życzeniem „smacznego". Ledwie nadążyłem odpowiadać swoim bezradnym „dziękuje". Nigdy nie myślałem, że ludzka życzliwość może być tak uciążliwa. O mój apetyt troszczyli się na tyle masowo i publicznie, że nie byłem pewien, czy zdołam w sytuacji tak nadmiernej uwagi przepchnąć przez gardło chociażby odrobinę. Aby nie prowokować dodatkowych przejawów uprzejmości panicznie wczepiłem się w talerz z kartoflanym piure. Jadłem śniadanie w towarzystwie dwóch mam i ich pociech. Nela Siergiejewna, mama Oli, zachowywała się nie to, że nienaturalnie, ale wszystkie jej ruchy wydawały się nieco spowolnione i jakby udawane, przypominała arystokratki, jakie pokazywali w radzieckim kinie. Od czasu do czasu Nela Siergiejewna zwracała córce uwagę, że ta nieprawidłowo

trzyma nóż czy widelec. Chociaż moim zdaniem dziewczynka władała tymi instrumentami z wirtuozeria. Za to Larysa, mama małego Kostii, zupełnie nie przejmowała się tym, jak jej dziecko spożywa jedzenie i maluch, wykorzystując to, bezkarnie rozmazywał owsiankę na mleku po stole.

Oleńka to piękna i rozumna dziewczyna. Skończyła druga klasę. Chodzi na tańce i uczy się języka angielskiego. I marzy, by zostać słynna top modelką. Albo równie słynną śpiewaczką. Dzisiaj w sanatoryjnym klubie – konkurs piękności. Oleńka będzie brała w nim udział, dlatego strasznie się denerwuje.

Poradziłem dziewczynce, by przypięła do głowy dużą biała kokardę. Moim zdaniem byłoby jej z nią niezwykle do twarzy.

– I wtedy na tym konkursie nie będzie ci równych – zapewniam ją.

Dziewczynka w odpowiedzi uśmiecha się ustami dorosłej kobiety.

DZIEWCZYNKA Z KOKARDĄ

Po śniadaniu wracam do pokoju, poleżawszy trochę w łóżku decyduję się na spacer po lesie.

Przy wyjściu z budynku spotyka mnie Nela Siergiejewna. Szuka swojej córki. I złości się:

– Już wszystkie dzieci zebrały się w klubie, a ta gdzieś po parku gania.

Gniew Neli Siergiejewny nie bardzo pasował do jej bezbłędnej umiejętności posługiwania się stołowym instrumentarium.

Obiecałem pokręcić się po parku w poszukiwaniu Oleńki.

W pobliżu fontanny drzemał na słońcu staruszek. Posłyszawszy moje kroki podniósł głowę.

– Nie widział pan dziewczynki z białą kokardą? – zwróciłem się do niego.

Staruszek zmrużył spłowiałe oczy.

– Kokarda biała czy różowa?

– Biała.

– Nie, nie widziałem – mówi staruszek i końcem kostura odrzuca spod nóg kamyk.

Tak w ogóle to nie wiem. Oleńka mogła zawiązać i różową kokardę. To wszystko – moje fantazje. Przecież nie wiadomo, czy posłuchała mojej rady.

– A widział pan dziewczynkę z różowa kokardą?

– Nie. Z różową też nie widziałem.

„To czemu głowę zawracasz?!" – aż mnie korci, żeby zapytać. Stracił dziadek rozum.

– To po co te uściślenia?

– Chciałem ją sobie wyobrazić.

Obok nas przechodzą dwie nastolatki w samych strojach kąpielowych. Staruszek odprowadza je spojrzeniem, kiwa za nimi. I porozumiewawczo do mnie mruga.

– To jak – dajesz radę? – Twarz pod białym słomianym kapeluszem niczym stary poobijany garczek.

– Dopiero wczoraj przyjechałem – mówię i się żegnam.

– Jakby co, wołajcie do poomocy. Kche-kche-kche!

Staruszek odprowadza mnie śmiechem–kaszlem.

MAGICZNE DRZEWO

Z daleka nie poznałem Oleńki. Wydała mi się miniaturą dorosłej kobiety. Bez, jak się spodziewałem, białej kokardy. Zamiast jasnej dziecięcej sukieneczki, jak to sobie wyobrażałem, – suknia okazała, wystawna, gołębiego koloru, z rozcięciem do samego uda,. Obraz dopełniały wypomadowane szminką usta i umalowane na niebiesko oczy.

– Myślałem, że będziesz z kokardą.

– Kokardy teraz niemodne – odpowiada dziewczynka

– A co teraz jest u dziewcząt modne?

Oleńka wzrusza nagim ramieniem.

– Fryzury dorosłych kobiet.

– Mama cie szuka, denerwuje się, że spóźnisz się na konkurs.

Dziewczynka zerka na miniaturowy zegareczek na nadgarstku.

– Zdążę – mówi. – Byłoby gorzej, gdybym nie znalazła drzewa.

– Jakiego drzewa?

Oleńka się waha, zerka na mnie, zgadując, czy można takiemu jak ja zaufać. Wdaję się jej sympatyczny.

– Tu jest magiczne drzewo. Jeśli je obejmiesz, wypowiadając życzenie – obowiązkowo się spełni. Szczera prawda. Drzewo już spełniło trzy moje życzenia. Tylko trudno je znaleźć, wędruje i za każdym razem przenosi się w inne miejsce.

Słucham jej z uśmieszkiem.

– Pokażesz mi to drzewo?

– Na mnie czas – mówi dziewczynka.

Po dziesięciu krokach woła na mnie. Oglądam się.

– Pokażę – krzyczy miniaturowa, niedoskonała kopia dorosłej kobiety. – Ale dopiero przed samym wyjazdem. Za trzy dni.

KWIACIARKA

Wygląda na to, że zgubiłem drogę. Jeszcze nie orientowałem się zbyt dobrze w parku. Zatrzymałem się na skrzyżowaniu alei, spojrzałem w prawo, widzę stareńką, zgarbioną babcię, siedzącą na ławce, z dłońmi wspartymi na kosturze. Obok jej nóg na rozścielonej gazecie kilka niewyszukanych, już trochę przywiędłych bukietów. →

Podchodzę do niej, żeby się dowiedzieć, w którą stronę mam się udać, aby trafić do lasu. Babcia uprzedza mnie

– Kup bukiet.

– Po co mi on? – odpowiadam mechanicznie.

Babcia ma dziwny biznes, spodziewa się zarobić na tym, czego ludziom i darmo nie trzeba. To tak, jakby na Saharze piasek sprzedawać.

– Nie lubisz kwiatów?

– Dlaczego – kocham, ale mnie wystarcza i tych – robię szeroki gest ręką. – O, jak pięknie dookoła.

Staruszka poprawiła powykrzywianymi palcami pasmo siwych włosów, które wydostało się spod chusty.

– Pięknie – powtórzyła za mną. – Temu pięknu bez różnicy, żywy człowiek czy martwy, szczęśliwy czy nieszczęśliwy, syty czy głodny… Piękno jest bezlitosne.

Uważniej przyjrzałem się babci. Brązowa, pomarszczona niby wysuszona gruszka twarz (wszystkie babcie mają jednakowe twarze), na podbródku sterczy kilka siwych włosów. Nie sposób sobie wyobrazić, jaka ta twarz była w młodości.

– Ten, kto sprzedaje kwiaty, będzie odpowiadał przed Bogiem, tak samo, jak i ten, kto sprzedaje broń – mówi babcia.

Zaskoczony milczę.

Blyth pisał: „Powinniśmy przejść przez trzy etapy: niewinnego uwielbienia kwiatów, strachu przed ich pięknem, w końcu, żalu z powodu tego strachu, który przywraca nam czystość postrzegania, śmiałość i znów prowadzi nas do przepięknych kwiatów".

Babcia zaintrygowała mnie swoimi zapatrywaniami. Korciło mnie, by spytać, kim była zanim się zestarzała.

– A jaka kara czeka tych, co kupują kwiaty? – spytałem.

Babcia patrzy mi prosto w twarz, jej oczy niczego nie wyrażają.

– Taka sama, jak na tych, co kupują miłość.

Jestem trochę zaskoczony kategorycznością sądów babci.

– Niezrozumiałe są nasze role.

– Niezrozumiała jest rola każdego, kto potrafi wcisnąć się w szczelinę między życiem i śmiercią – jednostajnym głosem mówi babcia.

Krzywię wargi w uśmiechu.

– Tak straszycie wszystkich swoich potencjalnych klientów?

Babcia pokornie składa ręce na zwieńczeniu kostura.

– Sprzedaję kwiaty, nie złudzenia.

Patrzę na babcię z szacunkiem i podziwem. Niesamowita kobieta.

– Ile kosztuje bukiet? – pytam.

– Hrywnę.

– Biorę wszystkie.

Staruszka ma pięć bukietów. Wyciągam do niej dziesiątaka. Przecząco kiwa głową, dając do zrozumienia, że nie weźmie nadprogramowych pieniędzy.

– Nie mam wydać.

– Nie trzeba reszty. Składam zamówienie na jeszcze pięć takich bukietów. Jeśli to będzie dla was dogodne, jutro po obiedzie przyjdę po nie w to samo miejsce.

Babcia rzuca na mnie krótkie, uważne spojrzenie. Kiwa na znak zgody.

Przedstawiłem się i spytałem jak się do niej zwracać.

– Sołomija Tarasiwna – przedstawia się babcia.

– Sołomijo Tarasiwno, tu gdzieś w parku jest kawiarnia. Co by pani powiedziała, gdybym zaprosił ją na filiżankę kawy?

Babcia zerknęła na mnie i się roześmiała, w jej przygasłych oczach błysnęły podstępne diabełki.

– Nie tak szybko, młody człowieku, nie tak szybko.

Na mgnienie oka twarz starej kobiety zabłysła w sposób, który pochwyciwszy, mogłem wyobrazić sobie, jak wyglądała w młodości.

SKŁADANIE KWIATÓW

Minąłem się z dwoma paniami w wieku przedemerytalnym: gapiły się na moją wiązankę kwiatów, jakby były pewne, że ogołociłem klomb. Brakowało tylko, żeby napatoczył się jakiś milicyjny patrol na rowerach (wczoraj przez cały wieczór kursowały dwa po parku) i ukarał mnie mandatem. Na mojej drodze ukazuje się na wpół zrujnowany pomnik, sądząc po hełmach, rzeźbiarz przedstawił jakiś epizod z czasów książęcych. Położyłem kwiaty u stóp pomnika. Skądś zza żywopłotu wyłazi jakąś babuleńka z aparatem fotograficznym i wycelowanym we mnie obiektywem.

„A cóż to tu za paparazzi?!" – myślę z niechęcią. Nie lubię się fotografować. Szczególnie nie lubię, kiedy mnie fotografują bez mojej zgody. Odwracam twarz i staram się opuścić miejsce złożenia kwiatów, zanim nie stanie się miejscem konfliktu.

– Jest pan komunistą? – pyta fotografka. W jej głosie słychać podekscytowanie. Można pomyśleć, że właśnie udało się jej sfotografować UFO.

Zatrzymuję się, odwracam głowę.

– Ja?! – pytam zdziwiony („ Niby co to jest?!") – Nie.

Uważniej przyglądam się pomnikowi. No tak, żeby szlag! To nie hełmy książęcych wojowników. To – budionówki.

– Ale współczuje pan? – nie przestaje paparazzi.

Kiwam przytakująco.

– Współczuję – mówię. – Tak jak zdrowy człowiek współczuje choremu.

I odchodzę.

ROZSTRZELANIE NA MIEJSCU

Tolik zrobił na mnie zasadzkę.

– Stój, bo będę strzelać! – wrzasnął zza krzaka. – Ręce do góry!

Pokornie podnoszę ręce.

– Poddaję się.

– Pach! – strzela Tolik. – Pach!

– Nieetyczne jest strzelanie do bezbronnego – wytykam mu. – Odłożyłem broń.

– Jeńców nie biorę – chłopiec odpowiada bez skrępowania. – Rozstrzeliwuje na miejscu.

– W takim razie o czym może rozmawiać martwy z żywym? – mówię.

Każda strzelanina kończy się retoryką.

– Dobrze – chłopiec zmienia decyzję – Uważaj, że cię tylko zraniłem.

Podpiszemy rozejm – mówi, jednak kija, z którego do mnie strzelał nie odkłada.

Kroczymy ramię w ramię alejką.

– Naprawdę byłeś na prawdziwej wojnie – pyta malec.

– Skąd to wiesz?

– Ciocia Ira mojej mamie mówiła.

Nieznana mi ciocia Ira mogła zaczerpnąć tą informację z mojej historii choroby.

– I co jeszcze ciocia Ira powiedziała twojej mamie o mnie?

Malec się śmieje. Sercem słyszę: na darmo pytałem.

– Mówiła, że tobie tam prawdopodobnie gospodarstwo domowe odstrzelili – mówi Tolik nie przestając chichotać – Bo jako mężczyzna ty – nie ryba i nie mięso.

Mogę się pocieszać, że moje imię nie schodzi z ust miejscowych kobiet, ale, czy warto wspominać, że to nie ta sława, o jakiej marzyłem.

Tolikowi zbrzydło moje milczenie. Po minucie-dwóch już zapomniał, jak przed chwilą wyśmiewał się ze mnie. Przestroiwszy się na inna falę, podniósł do mnie twarz i szarpnął za rękaw.

– Opowiedz mi o wojnie.

Rozdział czwarty: PRZYJACIEL I WOJNA

MILCZENIE: ADRESAT I ODBIORCA

– Ty – jesteś moją drugą wojną.

Mój głos zlewa się z głosem lasu. Mój głos przerywa ciszę.

Polana jest zalana słońcem. Leżę na plecach w wysokiej leśnej trawie jak na dnie dołu. Obok w takim samym dole leży Serafita. Nie widzę jej. Jedynie słyszę jej milczenie.

Serafita milczy.

Jej milczenie – adresowane jest do mnie.

Brzoza, która wystąpiła na dwa kroki z szeregu drzew, sięga do mnie czubkiem cienia.

Kulę się, przesuwam ciało w drugą stronę, wystraszony myślą, że dotknięcie cienia rozbudzi we mnie ból , znów będzie się błąkał po organizmie, szukając ujścia. W jednej chwili robi się strasznie, nie mogę dłużej patrzeć w głębię nieba, ale i nie mam odwagi zamknąć oczu, boję się, że kiedy rozchylę powieki – to już będzie inny świat.

Powstrzymując się od gwałtownych ruchów przewracam się na brzuch.

– Ty – jesteś moją drugą porażką.

Mój głos głuszy trzask łamanych źdźbeł trawy i chrzęst łamiących się mrówczych nóżek. Mój głos jest zagłuszany moim głosem.

Serafita milczy.

Jej milczenie – adresowane jest do mnie.

Echo jej milczenia może usłyszeć kto zechce.

SCHIZA

Szukam słów.

Żeby przeprosić za wczorajsze. Za dzisiaj i jutro. Za przeszłość i przyszłość. Za tymczasowe i wieczne. Żeby wyprosić przebaczenie za wszystko i wszystkich. Za to, że nie mogę uchronić Serafity od świata. Za to, ze nie mogę uchronić jej przed sobą.

Serafita czeka.

Bogów cieszą ofiary.

Czy moje dary przyjmie Serafita?

Każdą ofiarę uświęca krew.

Wyciągam nóż. Ostrze z łatwością wyślizguje się z pochwy. Przeciągam nim trochę poniżej kciuka. Obracam rękę tak, by krew zbierała się w dłoni.

„To schiza – myślę. – To przecież schiza".

Patrzę, jak krew skapuje na trawę, mrówkom na głowę.

Prawdopodobnie się boją.

Żeby nie spotkać się z którąś z mrówek wzrokiem, znów przekręcam się na plecy.

NÓŻ

Kręcę nożem między palcami, ostrze nie błyszczy drapieżnie, raczej wesoło, puszczając we wszystkie strony słoneczne zajączki.

Wtedy tak samo leżałem i wpatrywałem się w pustynię nieba. Obok walał się okaleczony karabin maszynowy. Szczuplutki Korniejew, nawet nie wyciągnąwszy mnie w cień (korona drzewa wisiała niemal nade mną, tyle że cień padał w przeciwną stronę) zrezygnował z udzielania pomocy, moje dziewięćdziesiąt kilogramów było ponad jego siły. Strzelanina nagle ucichła, zapadła trudna do zniesienia cisza, która cisnęła na bębenki uszu, aż dzwoniło w głowie. Ziemia pode mną nasiąkała krwią, Korniejew byle jak nałożył bandaż. Aby trochę odpocząć i zaoszczędzić siły, przymknąłem strasznie ciężkie powieki, musiałem czynić niewiarygodne wysiłki, żeby trzymać →

oczy otwarte: bałem się, że jak tylko je zamknę, od razu strącę przytomność.

Być może na jakąś chwilę rzeczywiście się wyłączyłem. Do świadomości przywrócił mnie odgłos czyichś kroków. Kroki przybliżały się nie z tej strony, z której spodziewałem się pomocy. Moja prawa ręka z granatem leżała na brzuchu, wskazujący palec lewej – był wsunięty w zawleczkę. Pociągnąłem. I dopiero wtedy otworzyłem oczy.

Zatrzymał się w pobliżu. Automat trzymał lufą w dół. Spokojnie patrzył mi w twarz. Przeniósł spojrzenie na granat, który zaciskałem w dłoni. Żaden mięsień nie drgnął na jego twarzy. Zrobił kolejny krok, przysiadł w kucki, opierając się na automacie. Wyjął z kieszeni na piersi wojskowej kurtki papierosy, wyciągnął jeden, uczynił gest, jakby chciał mnie poczęstować.

– Nie palę – powiedziałem dość głośno i wyraźnie. Obecność wroga dodawała mi sił. Zapalił. Ładna, rozumna twarz. Kilkudniowy zarost uczynił ją bezlitosną, nawet groźną. Prawdopodobnie był starszy o jakieś dziesięć lat.

– To ty do mnie strzelałeś? – zapytałem.

Wydawało mi się, że ledwie zauważalnie kiwnął potakująco.

Widział, że w każdej chwili mogę rozewrzeć palce – i wtedy po nas obu. Jednak dalej spokojnie palił, nie spuszczając ze mnie czujnych, beznamiętnych oczu. Chciałem go wytrącić z równowagi.

– Chujowo strzelasz – powiedziałem.

Dopaliwszy, rozgniótł niedopałek o kamień i wstał. Włożył rękę do kieszeni. Uważnie śledziłem każdy jego ruch. Zaszeleścił wyciągnięty nóż. Zesztywniałem, dłoń, która obejmowała granat, spotniała.

Ściął z drzewa rozłożystą gałązkę, wcisnął w ziemię tak, żeby cień padał na moją twarz.

I poszedł.

Obok gałęzi zostawił nóż. Być może zapomniał o nim. A może mi podarował. Nie wiem. Co tam nóż, kiedy my, jeden drugiemu podarowaliśmy życie…

Nadzwyczajnie cenie sobie ten nóż. To nóż człowieka, który do mnie strzelał.

SPUSTOSZENIE

Serafita dokonała we mnie spustoszenia. Większego niż wojna. Na wojnie coś ode mnie zależało. Z Serafitą – nic. Prawa wojny są okrutne, ale jasne i zrozumiałe. Stosowałem się do tych praw albo je naruszałem: wojna była moim świadomym szlakiem. Co do reguł według których budowały się i rozwijały stosunki z Serafitą – nie znałem ich. Nie wiedziałem, ku czemu kierować wysiłki, aby zapanować nad sytuacją. Nie ma sensu działać przypadkowo, dlatego nie zostawało mi nic innego, jak zwierzyć Seraficie. Serafita postąpiła ze mną jak ten właściciel talenta z ewangelicznej przypowieści, zakopała go w dołku. Straciłem siebie. I co gorsze – straciłem Serafitę.

Swoją pierwszą wojnę przegrałem z wielu powodów.

Dlatego, że porażka a priori była elementem tej politycznej decyzji, która doprowadziła do wojny. I dlatego, że była to niesprawiedliwa wojna okupacyjna. I dlatego, że wróciłem z niej okaleczony…

Trafić na wojnę – to przecież porażka.

Każdy, kto kocha Serafitę, jest skazany na porażkę.

Jedyne, co mnie podtrzymywało – myśl o śmierci. Bo tylko myśl o śmierci może dać odosobnienie, dzięki któremu można zmusić siebie do wszystkiego, a także – do odrzucenia wszystkiego.

SŁOMIANY KAPELUSZ

Wczoraj Serafita przyszła do mnie w słomianym kapeluszu z szerokim rondem. Kapelusz był niezwykle piękny i po mistrzowsku zrobiony. Widywałem takie jedynie na wystawie rzemiosła artystycznego na międzynarodowym festiwalu folkloru w Polsce. Kapelusz Serafity nie tyle pasował, co podkreślał jej wyjątkowość.

– Telefonowała Natalia.

Natalia była najbliższą przyjaciółką Serafity. A zatem – i moją. Inaczej by być nie mogło. Przyjąłem Serafitę z całą jej świtą.

– Wala zaprasza nas w gości.

Wala – przyjaciółka Natalii. Razem studiowały filologię rosyjską . Natalia uczy, a Wala wyszła za mąż za leśniczego i razem z mężem zamieszkała w lesie. Mąż przelicza zające, a Wala – zafascynowana malarstwem – malowała od rana do wieczora, marząc o autorskiej wystawie i uznaniu dla swojego talentu ze strony profesjonalnych twórców.

– Tak się stęskniłam za lasem!

Tak stęsknić się za lasem mogła jedynie rusałka.

Serafita patrzy na mnie spod bryla[4] [słomkowego kapelusza] bursztynowymi oczami łani. Cienkie wargi układają się w uśmiechu.

– Wala nalegała, żeby bez ciebie nie przyjeżdżać.

Serafita żartuje z niewymuszoną swobodą. Staram się rozszyfrować, czy kpi ze mnie. czy z Wali. Mam wrażenie, że żart nie jest ukierunkowany. Taki sobie strzał na wiwat.

–Natalia wyznała, że zakochała się w tobie.

To już zbyteczne. Nie musiała tego mówić. Nie chcę słyszeć od niej o miłości do mnie jakichś innych kobiet. Mnie potrzebna miłość jedynie jej, Serafity.

Jestem obrażony.

Gdyby chociaż Serafita okazała zazdrość. Ale nie, pokazuje mi, że jestem wolny.

„Ciekawe, czy gdybym przespał się z Walą, wpłynęłoby to jakoś na humor Serafity?" – pytam siebie.

[4] ukraińska nazwa kapelusza ze słomy

Przyczyną jej żartów stał się obraz, jaki Wala podarowała mi podczas poprzedniego spotkania. Pokazując mi swoje prace artystka zaproponowała, bym wybrał dla siebie upominek. Żeby nie nadużywać hojności twórczyni ograniczyłem się do małej akwareli. Jednak Wala poprowadziła mnie do dużego płótna, na którym została namalowana goła kobieta leżąca na błękitnym, wędrującym niebie, za którą z ziemi wyciągają się pojedyncze kwiaty.

– To – ja – powiedziała Wala. – W prezencie.

Nie znalazłem wystarczająco dobrego powodu, żeby odmówić.

Serafita przebiera cieniutkimi, niemalże przezroczystymi paluszkami (rozmiar jej rękawiczek – szesnaście i pół, mówiła, ze tylko raz spotkała kobietę z tak szczupłymi dłońmi) drewniany naszyjnik: koraliki – różnego kształtu i koloru w zależności od rodzaju drzewa. Był to okres w naszym związku, kiedy Serafita zmieniła żałobne szaty na bardziej typowe dla dziewczęcego wieku odzienie.

– Idź sama – powiedziałem. – Mam swoje sprawy.

Prócz wszystkiego innego jechać samemu – oznacza jechać autobusem.

Czuję, jak Serafita oddala się ode mnie. To niedobry znak, ale celowo podjąłem to ryzyko.

Serafita nigdy na nikogo się nie obraża. Jest ponad to. Kiedy coś jej nie w smak – izoluje się, zwiększa dystans i oddala się od osoby (przestrzeń między nami od razu zarasta żywopłotem), póki ta nie zniknie jej z pola widzenia. Żadnym ruchem, żadnym grymasem twarzy Serafita nie okazuje swego niezadowolenia. Ale czuję, jak nieubłaganie się oddala.

Jesteśmy jak dwie gwiazdy na przeciwległych krańcach wszechświata. Między nami – zimny, czarny przestwór.

Serafita jest zasmucona. Swoim żalem daje mi znać, że nie z dobrej woli się oddaliła. To ja odepchnąłem ją, zadając jej ból.

Wbrew własnej woli zmuszony jestem do usprawiedliwień.

– Z Kijowa przyjechała siostra. Obiecałem siostrze, że odwiozę ją do wioski.

Brzmi nieprzekonywująco.

– Najprawdopodobniej będę zmuszony tam zanocować.

Nie jestem pewien, czy Serafita mnie słyszy.

Prześlizguje się po mnie spojrzeniem, jej żal jest skierowany gdzieś poza mnie.

– Twoja siostra to zdumiewająca kobieta – mówi Serafita – Chyle przed nią czoła.

Moja siostra nie darzy sympatią Serafity. Serafita o tym wie.

– Oczywiście, przecież musisz odwieźć siostrę. Ona tak lubi bywać we wsi.

Jestem przykuty do Serafity spojrzeniem jak do galery.

Nigdy wcześniej nie udało mi się spotkać dziewczyny, która by z taką wyszukaną elegancją nosiła słomkowy kapelusz. Nie znam innej dziewczyny, który miałaby odwagę przespacerować się ulicą w tym kapeluszy i nie wydała się śmieszną. Kapelusz świecił się niby aureola nad głową Serafity. Słońce staczało się po horyzoncie, a słomiany kapelusz Serafity wciąż jeszcze znajdował się w zenicie nieba mojej duszy.

OSTRZEŻENIE

Serafita była niezwykłą dziewczyną.

– Nie czuję się kobietą – mówiła.

Kiedy usłyszałem to od niej po raz pierwszy, poczułem niepokój. Pomyślałem, że jej orientacja nie jest typowa. Od razu dowartościowałem siebie: „Moja miłość przywróci ją do naturalnego stanu".

– Mam jedynie ciało kobiety – kontynuowała Serafita. – W rzeczywistości jednak nie mam płci.

Byłem przekonany, ze tak się nie zdarza. Spotyka się hermafrodyty, ale żeby człowiek nie miał zupełnie żadnej płci – nie jest możliwe.

– Mam świadomość anioła.

To mnie nie przerażało. W literaturze dziewiętnastego wieku młode heroiny często porównywano z aniołami, co nie przeszkadzało im okazywać swoją kobiecość, kiedy spotykały im przeznaczonego. Mówiąc krótko, zignorowałem ostrzeżenia Serafity.

Moje dotychczasowe doświadczenia w rozmowach z kobietami wskazywały, że nie należy wierzyć we wszystko, co mówią (czego tylko to od nich się nie nasłuchałem!) o sobie. Do tego Serafita zachowywała się jak normalna kobieta, która okazuje swoją sympatię do mężczyzny i robi wszystko, żeby go w sobie rozkochać.

Na darmo. Wówczas jeszcze nie było za późno, wciąż mogłem się wycofać i nie wpaść w otchłań, jaką okazała się Serafita.

CZTERDZIEŚCI TYSIĘCY BRACI

– Kocham cię.

Jeszcze nigdy nie wypowiadałem tych słów z taka łatwością. I nigdy wcześniej te słowa nie były tak prawdziwe.

– I ja cię kocham.

Jej wypowiedź mnie uskrzydliła.

Serafita wzięła mnie za rękę (miała raczej dziecięcy niż kobiecy zwyczaj trzymania się za rękę, jakby bała się zgubić), jej duże oczy łani lśniły czułością.

– Jesteś dla mnie jak brat.

Nie spodobało mi się to dopełnienie. Tylko kazirodztwa mi brakowało.

– Nie – powiedziałem.

Jeszcze nie wiedziałem, że Seraficie nie można powiedzieć „nie".

→

– Nie chcę być twoim bratem.

Po raz pierwszy poczułem, jak Serafita, nie zabierając dłoni, oddala się ode mnie. To było nie do zniesienia. Jakbym uderzył ją nożem i umierała. Jakbym to ja umierał.

– Nie jesteś pierwszym, który się mnie wyrzeka – jej oczy zwilgotniały. – Ale mimo wszystko nie można do tego przywyknąć.

– Przepraszam – powiedziałem.

Później często przychodziło mi prosić Serafitę o przebaczenie.

– Jesteś moim jedynym bratem.

Trochę dziwnie było mi tego słuchać, ponieważ sama mi powiedziała, że ma trzech rodzonych braci. (Rodzice Serafity zmarli, kiedy jeszcze uczyła się w szkole).

– Wybacz – powtórzyłem.

W tej chwili poczułem, że jestem gotów być nawet jednym z czterdziestu tysięcy jej braci, żeby tylko pozwoliła mi zostać razem z nią. Mówię jej o tym. Linię jej ust wykrzywia smutek

– Bo ty jesteś – czterdzieści tysięcy moich braci.

Podnoszę jej delikatne palce do swoich ust, całuję. Kładę jej dłoń na swojej twarzy.

– Prędzej wyrzeknę się siebie niż od ciebie odejdę.

Serafita powraca. Jest obok. Uśmiecha się.

– Nie wyrzekniesz się – szepce. – Bo ty to ja.

Powiedziane jest: mężczyzna i kobieta są jednym ciałem. W rzeczywistości: mężczyzna i kobieta są jedna duszą.

Nasze dusze połączyły się.

– Ja – to ty – poruszyły się usta Serafity.

HARMONIA SPRZECZNOSCI

Serafita praktykowała harmonię przeciwieństw.

Konfliktów w naszym związku nie brakowało. Serafita ,oddawszy mi się duszą, nie chciała oddać się ciałem. Natychmiast przeniosła nasze stosunki w sferę ducha. Ciało zeszło na dalszy plan. Zresztą nie nalegałem zbytnio, rozumiejąc, że i bez tego dostaję dostatecznie wiele. Możliwość dotykania Serafity znaczyła dla mnie znacznie więcej niż przespanie się z jakąkolwiek inną kobietą. Z żadną kobietą nie przeżyłem niczego podobnego. Byłem u szczytu rozkoszy, a jednocześnie jeszcze nigdy nie czułem się tak rozbity. Wyglądało to tak, jakby szczęście wpadło do mojego domu, zapełniając go doszczętnie i było go tak dużo, że nie znajdowałem sobie kąta: szczęście wypchnęło mnie z mojego domu, wycisnęło mnie ze mnie. Byłem jak uzależniony od narkotyku. Bez Serafity cały świat tracił dla mnie sens. Żyłem jedynie wtedy, kiedy ona znajdowała się obok. Byłem uzależniony od jej słów, od jej nastroju, od jej oddechu. Nawet chwilowa jej nieobecność wpędzała mnie w głęboką depresję. Chciałem ją wykraść i umieścić tam, gdzie by należała tylko do mnie, a ponieważ nie miałem pałacu w odosobnionym miejscu, to zostawała jedynie piwnica. Ten pomysł stał się na tyle obsesyjny, że zacząłem się go bać. Nasz związek nie miał perspektyw. Przynajmniej ja ich nie widziałem. Serafita nie zamierzała wychodzić za mnie za mąż, jedynie dla zbudowania nastroju opowiadała, że kiedyś zamieszkamy w lepiance i będziemy żyć jak w raju. Stosunki nasze były dalekie od typowych, ale odwzajemnialiśmy uczucia, z tą różnicą, że ja potrzebowałem jedynie Serafity, a cały świat mógł dla mnie nie istnieć, dla niej byłem najważniejszą, ale nie jedyną częścią jej światu. Bez względu na to, jak drogie były dla Serafity moje uczucia, nieodwracalnie zostawiała mnie, pragnąc jednocześnie znaleźć się w tysiącach miejsc, które ją interesowały. Poszukiwała świata z karnawałowymi maskami, fajerwerkami i konkursem na królową balu. Oczywiście, królewną zawsze powinna być Serafita. Pragnąłem spokoju i pewności, Serafita zaś ścierpieć nie mogła, kiedy wokół niej wszystko zamierało.

Świat powinien był kręcić się wokół niej, jeśli się jej nie udało rozpętać burzy, zaczynała potrząsać łodzią. Czasami to, co mną targało, wydostawało się na zewnątrz. Kilka razy próbowałem z nią zerwać, wyglądały te usiłowania nadzwyczaj żałośnie, jak każde nieudane samobójstwa.

– Jeśli kiedyś umrzemy, to ja umrę pierwsza – mówiła Serafita.

Nie mogłem na to pozwolić. Uspakajała mnie:

– Ale my nie umrzemy, nasza śmierć będzie dniem narodzin.

Serafita wyznawała harmonię sprzeczności.

LABIRYNT ZALEŻNOŚCI

Serafita coraz bardziej gmatwała nasze relacje.

– Jesteś moim synem – mówiła.

Nie protestowałem, zgodziłem się na życie jej fantazjami, a nie rzeczywistością.

Błąkałem się w świecie jej chimer niczym w labiryncie, wciąż głębiej i bez nadziei pogrążając się w ślepy zaułek. Serafita nie dawała mi wyboru. Nie zostawiała mnie dla mnie.

– Jesteś moim synem – mówiła.

Uśmiechała się uśmiechem Mony Lizy. Nie odrywałem od niej oczu, śledziłem najmniejszy, niezauważalny ruch jej delikatnych warg. Chciała, żebym żył każdym słowem wychodzącym z jej ust. A mnie było wszystko jedno, żyć czy umrzeć, aby tylko – z jej ust. W tym czasie chorobliwa fantazja Serafity zrobiła jeszcze jeden zygzak:

– Jestem twoją córką.

Serafita kochała się w paradoksach.

LAS TRAW

Tak więc Serafita pojechała do Wali autobusem. To było wczoraj. A dzisiaj pojechałem jej śladami samochodem.

Znalazłem ją w tej wysokiej trawie. Leżała na wznak z twarzą nakrytą słomianym kapeluszem. W milczeniu zatrzymałem się nad nią czekając, aż się poruszy, odsłoni twarz, żeby dowiedzieć się, kto ją niepokoi, jednak Serafita pozostawała nieruchoma. „Może śpi?"– pomyślałem. Gdybym zakłócił sen, w którym Serafita by mnie zobaczyła, byłaby obrażona. Byłem tego pewien. Sny dla niej znaczyły więcej niż rzeczywistość.

– To ty? – spytała Serafita.

Nie mogła mnie zobaczyć. Znaczy: czekała.

„Czekała na mnie" – w jednej chwili poczułem się tak, jakby wprowadzono w moje żyły kilka metrów sześciennych szczęścia.

– To ty? – powtórzyła Serafita trochę głośniej i jakby z zaniepokojeniem.

Milczałem. Odblask jej złotego kapelusza padał na moją twarz, łaskotał kąciki ust, wywołując niemal bezwiedny uśmiech.

– To – ty.

Serafita wciąż leżała nieruchomo.

Położyłem się obok. Nie całkiem blisko. Ani daleko. W odległości dwóch wyciągniętych rąk. W razie potrzeby mogliśmy dotknąć jedno drugiego i połączyć nasze dłonie.

Między nami stał cały las traw. Ale nie ja posiałem ten las.

MIARA MIŁOŚCI

Krew, początkowo czerwona krew zrobiła się ruda, później poczerniała. Zaschła.

– Kiedy mnie opuszczasz – umieram – mówi Serafita.

To moja fraza. To ja powinienem to powiedzieć.

– To takie bolesne!

Głos Serafity jest suchy, jak zeszłoroczne liście.

– Przepraszam – szepcę.

To słowa nie dla uszu Serafity, szepcę je do niewielkiego wgłębienia w ziemi.

– Przepraszam.

Wgłębienie trzeba zasypać, żeby słowa wykiełkowały… Nie wiem, co wyrośnie z tych słów… Moje bezradne słowa zakopane w ziemi, zroszone moją ofiarną krwią… Wymawiam słowa, jakbym siał nasiona kwiatów. Jeśli wiarę mierzy się nasionami gorczycy, to miłość można mierzyć nasionami kwiatów.

– Dlaczego tak się dręczymy nawzajem?– pyta Serafita.

Jej pytanie jest odpowiedzią, wywróconą podszewką do wierzchu.

SENS ŻYCIA

– Nie dręczysz mnie – zaprzeczam.

Serafita jest święta (Wie o tym. I ja wiem). A święta nie może dręczyć.

– Ja sam…

To prawda. Cierpię dlatego, że nie jestem gotów przyjąć Serafity z wszystkimi jej urojeniami: chcę, ale nie mogę… Męczę się, bo nasz związek nie mieści się w moich wyobrażeniach o stosunkach między mężczyzną a kobietą. Dręczę się, ponieważ nigdy wcześniej nie musiałem kochać anioła.

– Boję się, że cię stracę – mówię. – Boję, że przestanę być ci potrzebny…

– Skoro tak – mówi Serafita. – Czyż nie potrzeba mi nieba?! Czyż nie potrzeba mi powietrza?.. Ty jesteś moim niebem, moim powietrzem…

„Czemu chcesz być dla mnie jedynie mężem?" – słyszę.

Wymyśliłem to. Serafita nigdy za nic nie robiła mi wyrzutów. W żadnej sytuacji nie zniżała się do poziomu zwykłej kobiety. Być może szukałem jakiejś zaczepki, żeby się obrazić: uraza w wielu wypadkach rozwiązuje ręce.

– Jesteś sensem mojego życia – mówię. – Jesteś moim życiem.

Bez patosu i przesady.

Wiedziałem, że jestem definitywnie stracony.

– Drogi mój!

Zaszeleściła trawa – Serafita wyciągnęła do mnie rękę. Moja ręka ruszyła jej na spotkanie.

SZLAK WOJOWNIKA

– Co to?!

Palce Serafity drgnęły w mojej dłoni.

Krew wciąż jeszcze sączy się z cięcia. Nasze ręce się zlepiły.

– Zraniłem się przypadkiem.

Serafita mocniej ścisnęła palce, powstrzymując drżenie. Płakała.

– Chcę umrzeć…

Jej słowa rozległy się w mojej głowie.

Drżenie ciała Serafity udzieliło się mnie.

Moja wojna trwała dalej.

Wiedziałem, że bycie zwycięzcą i bycie pokonanym w tej wojnie – to jedno i to samo. Ale wstępując na ten szlak, musiałem go przejść do końca.

Taki jest los wojownika.

Rozdział piaty: SZKIELET BIAŁEGO SŁONIA

GUMOWY JEŻYK

– Opowiedz o wojnie.

Milczę.

Tego chłopca można jedynie przemilczeć, ale nie przegadać.

– Opowiesz? – zagląda mi w oczy.

Milczę jak jeniec podczas przesłuchania.

Tolik przystawia kij do mojej piersi.

– Ostatni raz pytam: opowiesz? →

– Wojna jest jak alkohol – mówię.

Chłopiec czeka na ciąg dalszy.

– No-o! – szturcha mnie „lufą"

– Więcej nie piję.

Tolikowi puszczają nerwy. Traci cierpliwość.

– Pach! – strzela z przyłożenia.

Nie ma tu nic więcej do roboty. Machając kijem biegnie alejką i wykrzykuje coś wojowniczo. A ja niczym ten gumowy jeżyk z dziurą w boku ze smutkiem patrzę za nim.

CZŁOWIEK PROFANUJACY SMUTEK

W bocznej alejce zobaczyłem kobietę w czerni. Siedziała w cieniu i czytała książkę. Specjalnie skręciłem tak, aby przejść obok niej. Nawet postarałem się przyciągnąć do siebie jej uwagę – zatrzymałem się naprzeciwko udając, że kamień wpadł mi do buta. Jednak nie spojrzała w moją stronę.

Może książka w jej rękach jest częścią hasła? Jaki powinien być odzew, aby kobieta nawiązała kontakt? Kwiaty? I co ja przy tym powinienem powiedzieć?

Siadam obok niej na ławce (niezbyt blisko, dalej niż na wyciągnięcie ręki).

– Można?

Kobieta na chwilę odrywa się od lektury i obrzuca mnie zimnym spojrzeniem. Nie powiedziawszy niczego znów zagłębia się w książce.

Moje nozdrza drżą, łowię „smakowity zapach". Aromat ledwie wyczuwalny, jednak dość silny. Powiedziałbym, że kobieta pachnie zalotnie i tajemniczo.

– Co pani czyta?

Kobieta się nie odzywa.

Być może przeżyła stratę kogoś bliskiego i, zamknąwszy się w tej samotności, nie chce nikogo widzieć i słyszeć, i sygnalizuje to kolorem swojego ubrania. Odziała się w żałobę i pogrążyła w smutku (czy wypada w czasie żałoby używać perfum?), który wywyższył ją ponad cały świat. Być może zobaczyła we mnie człowieka bezczeszczącego jej żal, bezwstydnego wandala, dla którego duszy nie ma żadnych świętości.

(Tak pomyślałem teraz. Tak myślałem kiedyś w niezapamiętanym czasie, kiedy szykowałem się duchowo, żeby bliżej poznać się z Serafitą.)

Nie tracę nadziei, że zdołam wyprowadzić kobietę z błędu.

– Wie pani, że w parku jest czarodziejskie drzewo, które spełnia ludzkie życzenia. Ale je trudno znaleźć, bo wędruje.

Kobieta odwraca kartkę. Mówi, nie podnosząc oczu:

– Widzę, że tędy wędrują jedynie upośledzeni psychicznie mężczyźni.

Wydaje się, że jednak mnie zauważyła.

– Jest pani zbyt surowa, jeśli chodzi o ocenę, a odnośnie ilości to całkowicie w błędzie – grucham jak gołąbek – jestem tu absolutnie samotny, aż strasznie.

Jej spojrzenie na sekundę nieruchomieje, jednak nie odrywa się od wiersza.

– Ilu by was nie było, niczym jeden od drugiego się nie różnicie.

„Czyżby!" – mówię w myślach.

Podnoszę się.

– Dziękuję za rozmowę. Jeszcze panią odwiedzę.

ZŁOTY DMUCHAWIEC

Początkowo stąpałem między drzewami dobrze wydeptaną ścieżką, później skręciłem w zarośla i przedzierałem się dopóki nie trafiłem na polanę.

Na ukwieconej polanie spostrzegłem dziewczynkę podobną do złotego dmuchawca.

– Co tu robisz? – pytam zdziwiony.

– Bawię się z zajączkiem w chowanego – odpowiada dziewczynka.

– A gdzie ten zajączek?

– Schował się.

Drapię się w policzek

– A twoja mama gdzie? Nie zabłądziłaś?

– Tam – mówi dziewczynka, wskazując ręką gdzieś w przestrzeń.

– Jesteś tu sama? Jak się tu znalazłaś?

– Nie, tu jest pełno ślimaków – uspokaja mnie smarkula.

– Gdzie? Nie widzę tu żadnego ślimaczka – oglądam się z nadzieją, że zobaczę mamę tego dmuchawca – Hop, hop! Jest tu kto?

W odpowiedzi – cisza.

– Przestraszyły się mnie i uciekły, nie mogłam ich dogonić.

Z podziwem patrzę na dziecko i się uśmiecham.

– Tak szybko pełzają?

– Ślimaki są na rowerach – wyjaśnia dziewczynka.

Biorę ją za rękę. Będę musiał odprowadzić gadułkę do sanatorium. Niech tam prowadzą dochodzenie.

– Chodźmy rwać kwiatki – zapraszam dziewczynkę, a ta zgadza się z radością. – A później pójdziemy i poszukamy twojej mamy.

Zrywamy kwitnące zioła. Prawdopodobnie zbytnio oddałem się temu zajęciu, bo kiedy uzbierałem bukiet okazało się, że dziewczynka gdzieś zniknęła.

Tylko tego kłopotu jeszcze mi brakowało.

SZACOWNY PROFIL

Kwiaty miałem zamiar podarować kobiecie w żałobie z książką, ale niewiasta, jak to chodzące drzewo, zdążyła zmienić miejsce pobytu. Szkoda, wymyśliłem fajny fortel: podchodzę do kobiety i ze słowami: „pani nie jest

sama, pani jest jednym z nich", zasypię ja kwiatami. Według reguł, w odpowiedzi powinna odłożyć książkę mówiąc: „Kiedy do kobiety przychodzi mężczyzna, książki niech czyta wiatr". Moja własna replika dawała podstawy, by oczekiwać podobnej reakcji. Niepokoiło mnie jedynie to, że obie frazy hasła nieco przypominały reklamowe slogany. Przyjdzie złożyć kwiaty u stóp tajemniczego zapachu, który, jak się mi zdawało, wciąż jeszcze utrzymywał się na tym miejscu, gdzie siedziała kobieta w czerni. Jakaś siła zmusza mnie do obrotu, po drugiej stronie odnajduję spojrzeniem czarną postać. Kobieta przesiadła się w zacisze, gdy cień drzew cofnął się od jej ławki. Siedzi, schyliwszy głowę nad książką, ale jestem gotów przysiąc, że chwilę wcześniej patrzyła w moją stronę.

Kobieta nie stała się życzliwsza. Całym swoim wyglądem pokazywała, że jest jej nadzwyczaj przykro odrywać się od książki z powodu jakiegoś natarczywego typa.

– To dla pani –mówię, zbliżając się z naręczem kwiatów w objęciach, a ponieważ nie protestuje, kładę bukiet tak, że część kwiatów znajduje sobie miejsce na ławce, a część na jej kolanach.

Kobieta mierzy mnie krótkim, bezpośrednim spojrzeniem, po jej twarzy przebiega, niczym drżenie na wodzie, grymas, którego nie zdążyłem zidentyfikować. W końcu krzywi się pokazując zęby na podobieństwo uśmiechu.

Z tym uśmiechem sięga po portmonetkę, wyjmuje z niej dwie hrywny i podaje.

– Dziękuję za kwiaty – mówi, patrząc w oczy.

Ta kobiet potrafi obrazić mężczyznę. Co tam obrazić – upokorzyć, totalnie rozmazać po bruku. Nie zazdroszczę jej ukochanemu.

Nie trafiła na swego.

Biorę hrywny i chowam do kieszeni.

– Właściwie liczyłem na co najmniej pięć hrywien – Uśmiecham się w odpowiedzi. – Na te kwiaty jeszcze pszczoły nie siadały.

– Jest pan rzadko spotykanym natrętem.

„ Co, nie udał się numer? Teraz dwóch hrywien szkoda?" – korci, żeby zapytać.

Siadam obok.

– Pewien chłopiec powiedział, że smacznie pani pachnie.

– Czyżby kiełbasą?

– Miał na myśli perfumy.

– Nie używam perfum.

Kobieta patrzy gdzieś przed siebie, wystawiając na mój widok swój chłodny profil na tle upalnego lata (Także Serafita miała wspaniały profil, tak samo czysty i dumny, ale o znacznie łagodniejszej linii). Może pyszni się tym profilem.

„Jest podobna do Anny Achmatowej" – oświeciło mnie.

Pytam, jak ją nazywać.

– Zwą mnie Hanną – odpowiada, jakby zaoferowała jeszcze osiem hrywien – Ale panu to do niczego nie będzie potrzebne.

„Jeszcze to" – może wiersze pisze.

– A mnie – Natanem.

– Nie będzie mi to potrzebne.

Podnoszę się.

– Do zobaczenia Hanno.

– Nie wątpię – ironicznie potakuje.

„Znaczy się zaprzyjaźniliśmy" – Wącham niebieski kwiatek i mocuję łodyżkę za uchem. Jestem pewny, że kobieta w myślach odprowadza mnie wzrokiem.

MOTYWACJA

Niepotrzebnie kobieta w czerni złościła się na mnie za to, że się jej czepiłem. Niczego od niej nie chciałem. Nie szukam ani rozrywek, ani przygód. Sama się postarała, żeby się wyróżnić z tego tłumu kobiet, dlatego zwróciłem na nią uwagę zgodnie z przewidywaniem. Przyznaję, pogubiłem się, trafiwszy na tę wyspę kobiet i dzieci. Przestraszyła mnie rola jedynego samca, z przerażeniem patrzyłem na tabun dzikich klaczy, a priori czując się zgwałconym. Podobnie jak większość mężczyzn nie jestem przeciwnikiem niezobowiązującej miłosnej intrygi, jeśli temu sprzyja atmosfera wokół (w kurortach podobna atmosfera nie potrzebuje tłumaczeń), ale nie wtedy, kiedy sytuacja jest hipertroficzna, wykracza poza normę i zdrowe wyobrażenia.

Sto (zgaduję, że jest ich tu nie mniej) kobiet to ogromna ilość. Szczególnie jeśli każda z nich gotowa wziąć cię w ramiona niczym własne dziecko. Zeszłej nocy dziesiątka najaktywniejszych mało nie rozebrała mnie na części zamienne, wciągając do wspólnych rozrywek kulturalnych Nie mogłem znaleźć sobie kąta, gdzie mógłbym przesiedzieć tę burze temperamentów. I dzisiejszy mój spacer po lesie – to nic innego, jak kiepsko zamaskowana próba ucieczki. To całkiem logiczne, że od tych wszystkich ochoczych kobiet rzuciłem się w stronę nieprzyjaznej kobiety w żałobie. Te kobiety miały za dużo fizyczności. A fizyczność zbytnio napierała. A kobieta w czerni symbolizuje duchowość.

Do tego jest podobna do Serafity.

ROWERZYSTKA

Dogania mnie nastolatka na rowerze. Jakiś czas jedzie obok. Zajęty myślami nie zwracam na nią uwagi. Rowerzystka wysforowuje się do przodu, zawraca i pędzi na mnie, kręci pedałami. Zbliżywszy się dzwoni dzwonkiem. Ustępuję drogi. Zauważam, że dziewczynka jest ruda. Znów mnie dogania. Zrównawszy się, jedzie obok. Doczekawszy, kiedy odwróciłem do niej głowę, pyta:

– Papierosem nie poczęstujesz? →

– Nie poczęstuję.

– Dlaczego? – Nie jest onieśmielona odmową.

Obrzucam ją krytycznym spojrzeniem. Dziewczyna ma jakieś czternaście, na siłę piętnaście lat. Pod koszulką rysują się niepozorne piersiątka. Stłuczony łokieć. Nijaka (bardziej dziecięca niż dziewczęca), usypana piegami twarz z wyciśniętym pryszczem w pobliżu nosa. Wyraz naiwności i braku rozsądku sąsiadujący bardzo blisko z dziecięcym cynizmem. Rower stary.

– Palenie szkodzi!

– A umrzeć zdrowym nie jest hańbą?

I w głosie i w słowach – wyzwanie.

Nie wiem, co tej prowokacji mam przeciwstawić. Być może będę zmuszony spalić swój dyplom pedagoga.

– Ale zapałeczki nie pożałujesz?

Sięgam do kieszeni po zapałki.

Zatrzymujemy się. Dziewczyna wydobywa z rowerowej kabury pomięty niedopałek, groteskowo wydyma dolną wargę, przypala.

Nasze drogi się rozchodzą. Oglądam się, dziewczyna macha ręką.

– Jeszcze się spotkamy.

Na moich ustach pojawia się uśmiech. Tworzy się cały łańcuch: naprzykrzam się kobiecie w czerni, mnie prześladuje małolata na rowerze…

ZALETY CZARNEJ SKÓRY

Nie zdążyłem się pożegnać z rowerzystką, jak mnie zawołała krągła blondynka siedząca na ławce z nogą założoną na nogę i połyskującym na słońcu opalonym udem. W palcach blondynka mięła niezapalonego papierosa.

„Jeśli zatrzymam się tu na dłużej, ustawi się do mnie kolejka za ogniem" – Pocieram zapałkę i podnoszę do końca papierosa.

– Proszę wziąć, nie są mi potrzebne – mówię podając pudełko. – Nie palę.

– To po co pan nosi zapałki?

– Na wypadek, gdybym zabłądził w parku, zawsze będę mógł rozpalić ogień, żeby zaparzyć herbatę.

Kobieta się śmieje. Jest młoda, ma dwadzieścia pięć lat. Ma piękne, równe zęby. Ładne zęby są teraz rzadkością. Ciekawe, czy ten czarujący uśmiech jest naturalny, czy to zasługa stomatologa?

– Pan nosi z sobą herbatę? – pyta żartobliwie.

I tu przy okazji, podając numer pokoju zaprasza wieczorem na herbatę.

– Śnieżynko! – woła w stronę żywopłotu. – Gdzie ty znowu przepadłaś? Biegnij natychmiast do mamy.

– Ja tu robaki jem – słychać w odpowiedzi.

– Żartuje – wyjaśnia mama Śnieżynki.

Krzywię się w uspokajającym grymasie: co to, ja żartów nie rozumiem?

Jestem gotów iść o zakład, że z krzaków zaraz wyskoczy dziewczynka, podobna do dmuchawca. Już nawet przygotowałem odpowiednią frazę, jak dla starej znajomej. Jakież było moje zdziwienie, kiedy zamiast złotego mniszka przede mną stanął połyskujący węgielek. Córeczka niefarbowanej blondynki, Śnieżynka, okazała się maleńką, sympatyczną Murzynką.

„Herbatę powinna mieć dobrego gatunku – przyszło mi na myśl– Może nawet kakao".

Kucam przed dziewczynką

– Nie zimno ci z takim imieniem?

Dziewczynka obrzuca mnie poważnym spojrzeniem, a później z wyczuwalnym wyrzutem zauważa:

– Jakieś te twoje pytania nie dla dzieci.

To prawda, na pytania do dzieci nie jestem przygotowany.

Żeby wytłumaczyć się, biorę ją za rękę, łaskoczę palcem różową dłoń.

– Kiedy zamarzam – na mojej twarzy tego nie widać – świecąc radością mówi mała.

Uśmiecham się, zgodnie przytakuję. Zalety czarnej skóry są oczywiste.

– Pa-pa, Śnieżynko!

NIEBEZPIECZNA ODLEGŁOŚĆ

Mam wrażenie, że zbytnio zbliżyłem się do cywilizacji. Kobiety z dziećmi w tym parku zacząłem spotykać częściej niż drzewa.

Żar się nasilił. Nieźle byłoby popływać, ale zupełnie nie miałem ochoty gnać na plażę. Postanowiłem przejść się brzegiem jeziora, poszukać zacisznego miejsca. Z opóźnieniem zauważyłem, że stoję w alei, która łączy sanatorium z jeziorem. Lekkomyślnie nieco, jak na człowieka, który pragnie uniknąć kontaktów z mało komfortowym otoczeniem.

– Wujku! Wujku!

To Tolik. Sadząc po wyrazie twarzy, już się na mnie nie gniewa. Chłopiec nie jest sam, ale z mamą i siostrą. Wędruję w kierunku plaży.

Malec zwraca się do mnie z jakimś pytaniem, ale nie zdążam z odpowiedzią. Mama odsuwa Tolika i przejmuje inicjatywę. Dziękuje mi za to, że rankiem zaopiekowałem się jej synem. Okazuje też pełne zaufanie („kiedy wiem, że Tolik jest z panem – jestem spokojna") i zapewnia, że w razie potrzeby mogę po sąsiedzku liczyć na jej pomoc.

Podczas rozmowy kobieta przez cały czas wykonuje zupełnie niepotrzebne gesty w moim kierunku, chytrze próbuje to dotknąć moich piersi, to na sekundę położyć dłoń na moim łokciu. Nie powiem, że jej dotyk jest mi nieprzyjemny, jednak moralnie nie jestem gotów do przyjmowania tych pieszczot, dlatego staram się zwiększyć dystans. Odsuwam się, ona się przysuwa, pół kroku do tyłu, pół

kroku do przodu, jak w tańcu. Dopóki nie zatrzymałem się przyciśnięty plecami do żywopłotu.

Rozmowa się przeciągała. Dziewczynka cierpliwie dreptała obok i ssała duży palec. Tolik odszedł na bok, otwarcie demonstrując niezadowolenie, rzucając na nas pochmurne spojrzenia i od czasu do czasu przypominał, że czas iść.

– Zapraszam z nami – proponuje kobieta.

Jednak twardo obstaję przy idei zostania kotem, który chodzi swoimi drogami.

Tolik nie podąża śladami matki. O coś przecież pytał, a ja nie odpowiedziałem.

Zachęcająco mrugam do niego.

– Tato mi kazał uprzedzić każdego mężczyznę, który przysunie się do mamy bliżej niż na trzy metry, że mu jaja powyrywa – wyrzuca z siebie malec.

Jestem trochę zakłopotany tą zapowiedzią.

– Ale przecież to nie ja zbliżyłem się do twojej mamy, a ona do mnie – odpowiadam.

Jednak chłopiec nie słucha mnie, a uskrzydlony poczuciem wypełnionego obowiązku podskakując rzuca się w pogoni za mamą.

Podczas rozmów z kobietami nie jest tak prosto obrać bezpieczną dla siebie odległość.

STOJĄCA WODA

Dzyń - dzyń. Dawno się nie widzieliśmy. Nie oglądam się. Dzwonek rowerowy nie przestaje wesoło na mnie dzwonić.

Dzyń – dzyń!

– Pan dokąd? – pyta rowerzystka.

– Nad rzeczkę.

– Zawsze kąpię się w rzeczce – mówi dziewczyna. – Nie znoszę stojącej wody. W wodzie czuję się jak złota rybka. A pan dobrze pływa?

– Jak skumbria w tomacie.

Rozmówczyni mierzy mnie przymrużonym okiem.

– Z wyglądu nie poznasz, że pan żartowniś.

Jestem zaciekawiony:

– A o czym mówi mój wygląd?

– Że przyszedł czas, by kupić słomkowy kapelusz, zapuścić wąsy i założyć pasiekę.

Teraz na mnie kolej by zbadać rozmówczynię wzrokiem

– Sama wymyśliłaś?

– A niby kto? – patrzy na mnie pytająco.

– I co to oznacza?

Dziewczyna nie odpowiada. Z boku patrzy na mnie krytycznym wzrokiem.

– Dlaczego pan oddał tej lafiryndzie zapałki?

Z tymi podlotkami zawsze kłopot, nie wiesz, traktować je jak dzieci, czy jak dorosłych.

– Ty co, podglądałaś?

– Nie mam co robić – mówi z grymasem obrzydzenia.

Rozmowa się urywa. Stary rower skrzypi. Dziewczyna wpatruje się w kostkę brukową pod kołami. Pytam pojednawczym tonem:

– Odpoczywasz tu?

Wzdycha.

– Ja tu mieszkam.

I nie wypowiedziawszy ani słowa naciska na pedały. Oddala się.

„Jeszcze się zobaczymy" – Odprowadzam ją wzrokiem.

WIELKA TAJEMNICA

Przychodzę nad rzekę. Okazuje się, że jest niezbyt szeroka, niewiele szersza od jezdni z czterema pasami ruchu. Prawy brzeg, na którym stoję, jest dość stromy, skręcone sosny (rzadko która między nimi prosta) podchodzą do samego urwiska. Lewy – łagodny, porośnięty krzakami. Siadam w cieniu na murawie. Na szczęście tu nie jest zbyt ludno. Obserwuję płynącą wodę, to działa na mnie kojąco.

– Wiesz, o czym ryby milczą?

Wzdrygam się. Oglądam się, widzę przed sobą dziewczynkę – dmuchawca.

– Jak tu trafiłaś? – cieszę się, że smarkula nie zabłądziła. – Jesteś z mamą?

Mała jest zbyt zajęta swoimi rozmyślaniami, żeby słuchać moich pytań. Ma swoich – całą fabrykę.

– Latają tylko czerwone ryby, czy niebieskie też latają? – pyta mnie z wiarą i naiwnością dziecka, które pragnie poznać świat i jeszcze nie rozczarowało się odpowiedziami dorosłych.

– Nigdy nie słyszałem, żeby ryby fruwały – wyznaję szczerze.

– Latają –zapewnia mnie dziewczynka. – Kiedy deszcz jest gęsty, wtedy latają.

– Chyba, że kiedy deszcz jest bardzo gęsty.

– Wszystkie ryby są bardzo poważne, ale słuchanie ich jest strasznie zabawne – mówi mała. – Bo kiedy szepczą, to łaskoczą wargami ucho. Jedna bardzo stara ryba wyjawiła mi wielką tajemnicę…

– I co takiego ci powiedziała?

– Powiedziała: T-s-s-s! – dziewczynka kładzie na ustach palec.

BIAŁY SŁOŃ

Rozśmieszyła mnie mała fantastka. Cudak, a nie dziecko.

Dziewczynka siedzi w kucki i obserwuje w trawie jakiegoś robaczka.

– Masz pieniądze? – odwraca głowę w moją stronę.

Kiwam głową. Najwyraźniej chce wyprosić na jakieś łakocie.

– Kup mi białego słonia.

→

Jestem zmuszony do rozłożenia rąk.

– Moich pieniędzy wystarczy jedynie na białą mysz.

Dziewczynka przecząco kręci głową.

– Boję się myszy.

– A słoni się nie boisz?

– Nie – odpowiada dziewczynka i odchodzi, zainteresowawszy się czymś obok najbliższej sosny.

Zdejmuję buty. Ściągam skarpetki – niech nogi odetchną.

– A po co ci biały słoń? – pytam smarkulę.

Ale jedynie sukieneczka miga mi miedzy sosnami.

Podnoszę głowę do nieba (zamieram ze zdziwienia), widzę, jak od horyzontu ku mnie idzie ogromna chmura o wyglądzie białego słonia.

– Dziewczynko! Dziewczynko! – wołam ku sosnom. – Popatrz w niebo. Spójrz w górę…

Dziewczynka znikła.

DUCH WIECZNEJ KOBIETY

Rozmawiając z dziewczynką nie zauważyłem, kiedy na przeciwległym brzegu pojawiła się młoda kobieta. W białej, luźnej i długiej aż do ziemi sukience, która przypominała koszulę i rozpuszczonymi, długimi, czarnymi włosami stała nad wodą, patrząc jak nurt opłukuje jej odbicie. Jedna-jedyna na bezludnym lewym brzegu.

Wasyl Słapczuk

„Niczym duch – przyszło mi na myśl – Duch Wiecznej Kobiety".

Kolejny duch.

Czy nie za dużo widziadeł jak na jeden dzień?

Kobieta unosi głowę i patrzy w moją stronę. Wydaje mi się, że już-już pójdzie po wodzie. Mam za słaby wzrok, by nasze spojrzenia się spotkały.

Między nami przepłynęło nieskończenie wiele ryb i każda z nich przemilczała wielką tajemnicę, wspólną dla mężczyzny i kobiety z różnych brzegów.

I gdyby ryby opowiedziały cokolwiek o kobietach, które chodzą po wodzie, albo o mężczyznach, którzy skaczą z urwiska, nikt tego nie potraktuje poważnie. Bo kiedy ryba szepce na ucho, to od dotyku jej warg łaskotliwie i śmiesznie.

Niespodziewanie odbicie kobiety w wodzie oddziela się od jej postaci, nurt porywa je i niesie…

Zaciskam powieki i otwieram dopiero wtedy, gdy leżę już na plecach. Patrzę w niebo. Szukam wzrokiem białego słonia.

Z białego słonia został jedynie szkielet.

„To nic – to nic" – uspokajam siebie.

Blyth napisał: „Nie ma niemożliwego u Boga. Nie ma niemożliwego na Szlaku. Ale niebo dlatego jest puste, że przed tym do niego przyleciał jastrząb. Nie ma jastrzębia, nie ma nieba. Nie ma nieba, nie ma jastrzębia. Nie zapominajcie o jastrzębiu, kiedy patrzycie w niebo".

Gdybym miał z sobą jego książkę mógłbym teraz podłożyć ją sobie pod głowę.

Nie ma niczego niemożliwego z Bogiem

Kiedy założę pasiekę (to świetny pomysł), to poznam wszystkie moje pszczoły po twarzach. Posadzę lipę, zapuszczę długą brodę i kiedy lipa się postarzeje, a broda stanie się siwa, napiszę wiersz:

Złota pszczół aureola
Nad lipą – cud
Pod lipą przysiadł starzec siwy
Śmierci – gdzie twoje, żądło?!
Gdzie twój miód?!
Nie ma niczego niemożliwego na Szlaku.

Za trzy dni będę w stanie objąć wędrujące magiczne drzewo i wypowiedzieć życzenia. Ale dopiero za trzy dni.

A tymczasem każdy może mnie odnaleźć w pokoju, który nie zamyka się od środka. W tym dziwnym świecie, wejściem do którego – kobiecy organ płciowy. W tej klatce na niebo.

I znów się uspokajam: „No, już dobrze – już dobrze!".

Wasyl Słapczuk
przekład **Wojciech Pestka**

Prezydent czy kolejny sezon *Sługi Narodu?*

(Powyborczy pejzaż Ukrainy –
z Wasylem Słapczukiem rozmawia Wojciech Pestka)

Jak to się stało, że Wołodymyr Zełenski wygrał wybory prezydenckie a jego partia Sługa Narodu zdobyła ogromna przewagę w Radzie Najwyższej (parlamencie Ukrainy). Na czym polegał ten fenomen?

Muszę przyznać, że przed pierwszą turą głosowania nie oglądałem serialu Sługa Narodu, w którym Wołodymyr Zełenski gra rolę prezydenta. Zaskakujący jest sposób w jaki film uruchomił mechanizm społecznej wiarygodności. Mówiąc powściągliwie – to reakcja dziecka w piaskownicy świadcząca o infantylizmie społeczeństwa. Jak można patrząc na bohatera komediowego serialu wybrać aktora grającego jego rolę na prezydenta. Tylko dzieci mogą wierzyć, że w życiu będzie jak w filmie. Wniosek z tego, że społeczeństwo nasze jest z jednej strony bardzo łatwowierne, z drugiej politycznie niedojrzałe.

Czy to jedyny powód tej politycznej niespodzianki?

Wszystkich zmęczyły poprzednie władze. Za każdym razem kończyło się na obietnicach. Od Krawczuka, Kuczmy… – aż po Poroszenkę. Ukraińcy stracili zaufanie do swoich elit, chcieli nowych ludzi. Jeszcze pięć lat temu było nie do pomyślenia, żeby prezydentem Ukrainy został aktor komediowy, a nie nobliwie wyglądający polityk z krawatem na szyi. Świat się zmienia. Prawdę mówiąc, nie wiem, może to nie jest normalne, może prezydentem powinien zostać jakiś profesor nauk, wybitna jednostka ciesząca się społecznym autorytetem. Ale nawet gdyby te wszystkie naukowe i moralne autorytety zebrać w jednego człowieka to i tak by to nic nie dało: społeczeństwo ukraińskie nie ceni intelektualistów. Z drugiej chciałbym zastrzec, że nie jesteśmy w stanie ocenić potencjału intelektualnego Zełenskiego, ponieważ nie mieliśmy ku temu możliwości. Pojawił się nagle na politycznej scenie i jedno, czego mu nie można odmówić to talent. Talent komika na którym zbił kapitał i dzięki któremu osiągnął sukces. Ale wydawało mi się, że to za mało, żeby być prezydentem. Brakowało jakichkolwiek argumentów i informacji o nim, które by przemawiały za takim wyborem.

Jaka była twoja reakcja, kiedy dowiedziałeś się, że będzie prezydentem?

Ten wybór poruszył i „obraził" ukraińskich intelektualistów. Staram się, na ile to możliwe, patrzeć obiektywnie na zachodzące wokół mnie procesy polityczne i społeczne. Szukałem przyczyn tego co się stało, bo nie można wszystkiego sprowadzać do uproszczeń: zjawiskami społecznymi rządzą bardzo złożone mechanizmy.

Co zatem kierowało ludźmi, którzy oddali na niego swój głos w pierwszej turze?

Zadawałem sobie to pytanie, czemu tak duża część społeczeństwa uważa, że w dobrym kierunku poprowadzi Ukrainę. Byłem na nich zły. Miałem zamiar zrezygnować z głosowania w drugiej turze, ale uznałem to za rodzaj tchórzostwa, chowania głowy w piasek. Postanowiłem głosować na Zełenskiego. To była moja świadoma decyzja. Uznałem, że nie mogę głosować na Poroszenkę. Podawał się za patriotę, człowieka rzetelnego, deklarował prawość, uczciwość, szlachetność… Oszukał naród! Nie ukarał morderców, którzy strzelali na Majdanie, nie doprowadził do skazania winnych za oddanie Krymu, nie ściągał zdrajców z Donbasu, nie ograniczył korupcji ani innych urzędniczych patologii, a do tego zrobił niewiele albo nie zrobił nic, by zwykłemu obywatelowi żyło się lepiej.

Dla zwykłych ludzi takie radykalne zmiany wyborczych preferencji to ostateczność. Czyżby zostali postawieni pod ścianą?

Tak, to była ostateczność. Wiedzieli czego nie chcą i byli gotowi ryzykować, chociaż nie wiedzieli, co wybierają. Kiedyś w wywiadzie bardzo trafie taką sytuację zdiagnozował Stanisław Lem: O wielu sprawach nie wiedzieliśmy, dlatego wierzyliśmy w to, w co chcieliśmy.

Czyżby wyborcy byli motywowani gniewem?

Myślę, że był tylko jednym z powodów: zaślepia tak jak nienawiść i czyni człowieka nieracjonalnym. Żeby było jasne – nie mam w sobie gniewu, nie mam nienawiści. Ani do tych, którzy strzelali do mnie w Afganistanie, ani do Rosjan, ani do Putina. Jest prezydentem kraju, który identyfikujemy jako naszego wroga, robi dla swoich czarną robotę. Drażnią mnie wulgarne wyzwiska, wycieraczki, papier toaletowy z jego podobizną… To wszystko są infantylne, dziecięca reakcje, które są świadectwem naszej nikczemności. Dorośli ludzie tak nie postępują. Szukają sposobów, mechanizmów, które pozwolą udaremnić →

zamiary wroga, przygotowują obronę, pracują nad strategią, rozwojem kraju, edukują społeczeństwo. Dlaczego żołnierze, którzy wracają ze wschodu z ATO nie mają pracy i muszą za chlebem jechać do Rosji – jakie myśli legną się w ich głowach.

Wołodymyr Zełenski 20 maja 2019 roku w przemówieniu inauguracyjnym przywołał słowa Ronalda Reagana: rząd nie rozwiązuje naszych problemów, rząd jest naszym problemem.

To prawda, której konsekwencje większość Ukraińców przez lata odczuwała na własnej skórze. Rząd nie jest nam potrzeby do tego by był i zajmował się sobą, ale by zadbał o nienaruszalność terytorialną Ukrainy i bezpieczeństwo jej obywateli. Bezpieczeństwo w każdym rozumieniu tego słowa. Podpisuję się, jak chyba cała Ukraina, obiema rękami pod słowami, które wówczas wypowiedział Wołodymyr Zełenski: Nie rozumiem naszego rządu, który rozkłada ręce i mówi mi, że niczego nie można zrobić.

Po złożeniu ślubowania pierwszym rozporządzeniem nowy prezydent rozwiązał Radę Najwyższą i wezwał rząd Wołodymyra Hrojsmana do dymisji. Czy rzeczywiście coś się od tego czasu zmieniło w Ukrainie?

Zmiany na razie nie są duże, ale i czasu na ich przeprowadzenie było mało. Rada Najwyższa IX kadencji została zaprzysiężona 29 sierpnia 2019 roku a już 3 września został zniesiony immunitet chroniący parlamentarzystów przed odpowiedzialnością karną – to była jedna z obietnic wyborczych Wołodymyra Zełenskiego. Kolejna – prawo o inpeachmencie – została uchwalona 11 września. Określa ona procedurę odwołania prezydenta. W wypadku wykroczeń przeciwko prawu będzie można go odwołać większością dwóch/trzecich głosów jeśli tą uchwałę zatwierdzi Sąd Konstytucyjny Ukrainy. Trwają prace nad przygotowaniem reform gospodarczych, miedzy innymi prawa znoszącego ograniczenia w obrocie ziemią. A to nie koniec i pojawiają się zapowiedzi kolejnych zmian.

Czy to oznacza, że społeczeństwo ma prawo do optymizmu?

Trzeba powiedzieć otwarcie: wprowadzenie zmian będzie bardzo trudne. Ukraińskie społeczeństwo ma w głowach, utrwalany latami, system korupcyjnych zachowań. Nawet jeśli oczekuje reform, to czy na poziomie indywidualnych, codziennych aktywności rzeczywiście je poprze. Mimo wymiany politycznych elit, tam, gdzie brali łapówki nadal wyciągają rękę, tam, gdzie kradli – wciąż kradną. Co z tego, że Zełenski pojechał do Odessy zaprowadzić porządek, to musi działać określony system, tego nie da się zmienić metodą ręcznego sterowania. Trzeba zburzyć korupcyjne struktury w prokuraturze, Ministerstwie Spraw Wewnętrznych… bo wszyscy, jak mówią, funkcjonują tam w zamkniętym, powiązanym układzie zależności i wzajemnie się bronią przed odpowiedzialnością.

Zdaniem opozycji reformy są powierzchowne i niczego w rzeczywistości nie zmieniają…

Takie jest prawo opozycji. Układ w Radzie Najwyższej po ostatnich wyborach zmienił się radykalnie. Społeczeństwo straciło zaufanie do dotychczasowej władzy. Prezydencka partia „Sługa Narodu" (lider Dmytro Razumkow) ma 254 mandaty, prorosyjska „Opozycyjna Platforma–Za Życie" (Jurij Bojko) ma 43 mandaty, „Batkiwszczyna" Julii Tymoszenko 26 mandatów, o jeden mniej „Europejska Solidarność" Petra Poroszenki, „Głos" ukraińskiego piosenkarza Swiatosława Wakarczuka 20 mandatów, 6 mandatów „Opozycyjny Blok" Jewhenija Murajewa, po jednym „Swoboda" Ołecha Tiahnyboka i „Samopomoc" Andrija Sadowego. Jak z tego pobieżnego zestawienia widać, opozycja jest w mniejszości.

Ponad 70% deputowanych Rady Najwyższej IX kadencji to nowi ludzie spoza dotychczasowych politycznych układów. Średnia wieku zmniejszyła się o 7,5 roku i wynosi 41 lat, ponad 20% deputowanych to kobiety…

Nie jest to osiągnięcie, raczej pierwszy krok w kierunku normalności. Rzecz w tym, że nikt w swoim wyborczym programie nie mówił, że idzie do władzy po osobiste korzyści. Wszyscy deklarowali uczciwość szli reformować, zmieniać ukraińską rzeczywistość. Ale każdy reprezentuje jakiś biznes, pieniądze, a to stwarza pokusy i możliwości. Immunitet poselski? Jeśli nie będzie mechanizmu pociągnięcia deputowanych do odpowiedzialności karnej za przestępstwa pospolite: od wykroczenia drogowego po korupcję i zachowania kryminalne to niewiele się zmieni. Bo z punktu widzenia obowiązującego dotychczas prawa byli nietykalni.

Coś się więc zmieniło na lepsze?

Opozycja nigdy tego nie przyzna . Dla opozycji dobro Ukrainy nie jest najważniejszą ideą, która powinna wszystkich nas jednoczyć ponad podziałami.

Czy odnosisz się do Operacji Antyterrorystycznej w Donbasie?

To trudna sprawa, tam giną ludzie. Z mojego indywidualnego punktu widzenia: jaki sens jest w walce o odzyskanie okupowanych terenów, skoro nie potrafimy zapewnić porządku na terenach nieokupowanych, nie jesteśmy w stanie wydobyć ich z zapaści mentalnej i gospodarczej.

Czy to nie brzmi jak herezja?

Herezją będzie to, co powiem teraz: „Niebiańska Sotnia" czyli śmierć stu uczestników protestów na euromajdanie to nie jest wysoka cena dla czterdziestoczteromilionowego narodu za możliwość zmian i obalenie władzy – problem jest w tym, że do tych zmian nie doszło. Jedna władza odeszła, na jej miejsce przyszła inna, „przefarbowana" i na tym się skończyło.

Gdyby spojrzeć cynicznie – statystycznie tyle samo ludzi ginie każdego dnia czy tygodnia w wypadkach

(od lewej) Konsul RP w Łucku – Krzysztof Sawicki, dr Andrij Pawłyszyn, red. Wojciech Pestka, Wasyl Słapczuk

drogowych. Rzecz w tym, że jeśli z ofiary życia tych ludzi robimy symbol patriotyzmu, to dlaczego nie idą za tym działania systemowe władzy: finansowe odszkodowanie dla rodziny, emerytura dla współmałżonka, bezpłatna, dowolnie wybrana wyższa szkoła dla dzieci… Polityka to czysty cynizm, obronność to cynizm – jest wpisany w naturę tych profesji. Kiedy w Afganistanie zostawiono nas czterech, byśmy osłaniali odwrót kolumny, to oznaczało, że skazano nas ot tak, w wyniku prostej kalkulacji, na śmierć: to, że zostaliśmy żywi, było jakimś wyjątkiem od reguły.

O ile pamiętam też uczestniczyłeś w majdanie w Łucku?

To gorzkie wspomnienia: cyniczne nawoływania lokalnych polityków z obozu poprzedniej władzy, wzywających studentów, młodzież do atakowania budynków administracji, jednostek milicji. Próbowałem to powiedzieć, że za ich plecami idą politycy po władzę dla siebie, nie dla nich, że są mięsem armatnim tej rewolucji i powinni spytać tych, którzy teraz w imię patriotyzmu wzywają ich do walki, o to, co oni zrobili dla społeczeństwa, kiedy mieli władzę w swoich rękach. Wygwizdano mnie

Co jest największym problemem społeczeństwa ukraińskiego?

To kwestia samoidentyfikacji, odpowiedzi na podstawowe pytanie – kim jesteśmy? Jeśli jesteśmy Ukraińcami to co chcemy zbudować na swoim terytorium: jakie państwo, oparte na jakich wartościach, jakiej kulturze i z jakim językiem. Nie może być tak, że zachód kraju ma swój język i swoich bohaterów, powiedzmy Banderę a wschód język rosyjski i swoich: Stalina, Stachanowa… Już w tym tkwi jakiś tragizm, ustrojowa niedorzeczność. Mentalnie historia wschodu sięga jedynie pokolenia rodziców i dziadków, jest zbudowana na wartościach komunistycznych, które kłócą się z ideą ukraińskości. Mając określoną narodową ideologię, priorytety moglibyśmy budować tożsamość, krok za krokiem wcielać w życie strategię uzdrawiania ukraińskiego państwa.

Czy prezydent Wołodymyr Zełenski odniósł się w swoim programie wyborczym do tych podstawowych problemów?

Nie i to może wydać się dziwne. Takich niespójnych, czasami paradoksalnych, dziwnych rzeczy mamy więcej. Weźmy ukraiński hymn: Nie umarła jeszcze Ukraina ani chwała, ani wolność, / Jeszcze do nas, bracia Ukraińcy, uśmiechnie się los. / Zginą wrogowie nasi jak rosa na słońcu, / Zapanujemy i my bracia, w naszym kraju. Czy to znaczy, że zgodnie z sugestią autora tekstu mamy czekać aż ojczyzna umrze, czemu wszystko jest formułowane →

w nieokreślonym czasie przyszłym. Moim zdaniem to nie jest przesłanie adekwatne do sytuacji Ukrainy, zgodziłbym się na tekst pozbawiony wartości artystycznej, ale odwołujący się do idei jednoczących naród.

Może w tym względzie trzeba uczyć się od wrogów?

Weźmy Rosję, państwo federacyjne (85 podmiotów federacyjnych w tym 22 republiki), wszyscy posługują się językiem rosyjskim, obowiązuje ich w parlamencie bez względu na to czy są Czeczenami, Tadżykami czy pochodzą z Inguszetii. Dlaczego u nas ma być w Radzie Najwyższej dwujęzyczność? W domu niech każdy mówi jak chce, ale oficjalnie powinien obowiązywać język ukraiński, bo jesteśmy Ukraińcami.

Czy kultura nie może być dla Ukraińców jednym z elementów budowania tożsamości?

W Ukrainie dominowała kultura wiejska, ludowa. W trakcie procesu migracji do miast Ukraińcy utracili swe zakorzenienie w tradycji, a kultura w której przyszło im żyć, była rosyjskojęzyczna i zrusyfikowana. Ukraińskość stała się czymś wstydliwym. Taki Lwów, miasto obnoszone na ukraińskich sztandarach, a ile w nim języka rosyjskiego i zaszłości z czasów ZSRR? Ostatnio pojawił się niebezpieczny trend: likwidowane są biblioteki. władza robi oszczędności obcinając skąpe środki na kulturę. Typowa strategia ukraińskiego urzędnika zarządzającego kulturą – udawać, że coś robi, korzystając ze stanowiska wspierać swoich, przy okazji ukraść jakieś małe pieniądze, bo okradanie państwa w czasach ZSRR było cnotą i należało do dobrego tonu. Można powiedzieć, że Ukraińcy coraz bardziej dziczeją.

W jakim stopniu dotyczy to ukraińskiej literatury?

To jest dla literatury etap przejściowy, w czasach sowieckich była instrumentem ideologii, szły na literatów i książki ogromne pieniądze. Świadczą o tym resztki majątku, którym zarządza Narodowy Związek Pisarzy Ukrainy. Niestety, sama organizacja jest skamieliną minionej epoki i kiedy skończą się pieniądze rozpadnie się jak domek z kart. Łączy tych ludzi zawiść i oczekiwanie na finansowe ochłapy od władzy. Trzeba pracować, a nie czekać na mannę z nieba siedząc za biurkiem w Związku Pisarzy. Zabużko, Anduchowycz, Żadan… – sami zapracowali na swoją pozycję, dlatego nie potrafię zrozumieć tych, którzy im zazdroszczą.

W jakim stopniu ukraińska Cerkiew wpływa na budowanie narodowej tożsamości?

Ławry, miejsca święte dla Ukraińców; Peczerska, Poczajowska, Świętogórska są w rękach Kościoła prawosławnego kierowanego przez Moskwę.

Czy liczba nowych cerkwi budowanych po wsiach ze składek społecznych nie świadczy o wielkim powrocie do religii?

Ukraińskie społeczeństwo jest nie tyle religijne co zabobonne. Cerkiew, religia stała się mechanizmem wywierania wpływu na społeczeństwo. Weźmy zachodnią Ukrainę – połowa, jeśli nie większość, cerkwi jest w strukturach rosyjskiego patriarchatu. To ogromny problem i nikt nie zamierza się z nim zmierzyć. Zełenski też się od niego dystansuje, zasłaniając się wpisaną do konstytucji rozdzielnością między Kościołem a państwem. W Rosji konstytucja też zawiera podobny zapis, ale to nie przeszkadza władzy w wykorzystywaniu Cerkwi do swoich politycznych celów.

A jaka jest sytuacja Kościoła Prawosławnego Ukrainy, który otrzymał tomos od patriarchy Konstantynopola Bartłomieja 5 stycznia 2019 roku?

To znów pytanie nie o kwestię wiary a o zabobonność. Niestety, ukraińscy prawosławni nie czytają Biblii, dla nich Bóg to batiuszka. I jeśli mówi, że to śmiertelny grzech i Cerkiew nie jest kanoniczna, że czeka ich piekło, to mu wierzą. W mojej rodzinnej wsi ciężko doświadczonej w czasach stalinowskich, gdzie duża część mieszkańców za związki z UPA była więziona i zsyłana do obozów, teraz broni się rosyjskiej Cerkwi. Więc co mówić o wschodzie Ukrainy, gdzie Cerkiew patriarchatu moskiewskiego jest narzędziem indoktrynacji ideologicznej. Powiedzmy to wprost: żaden proces społeczny czy polityczny nie dzieje się sam z siebie, zawsze w tle jest organizacja albo siła, czasami pojedynczy człowiek, który nim kieruje. A technologiczne zasoby jakie pojawiły się w ostatnich latach umożliwiają oddziaływanie na nasze decyzje i dają efekt globalny.

Co mówi się na Ukrainie o Noblu dla Olgi Tokarczuk?

Że to już piąty literacki nobel dla Polski i dobrze by było, zanim rozpadnie się Federacja Rosyjska, żeby jakiś Ukrainiec dostąpił tego zaszczytu. Bo że Rosja się rozpadnie wcześniej albo później nie ulega wątpliwości. Powód będzie taki sam – nie można bezkarnie latami mówić co innego a co innego robić. W pewnym momencie przepełni się czara goryczy, ludzie nie wytrzymają. Ale to mnie nie cieszy, to będzie problemem Rosjan. Ja chciałbym, żeby Ukraina się rozwijała i Ukraińcy czuli dumę ze swojego kraju. Więc ten Nobel bardzo by się przydał.

Rozmawiał
Wojciech Pestka

Piotr
Strobel

NOTATNIK KONSUMENTA

Notatnik konsumenta to realizacja będąca odpowiedzią na konsumpcyjny styl życia. Bezpośrednim impulsem do jej powstania były zbierane paragony, rachunki, faktury wskazujące na uwikłanie człowieka w narzucany przez wszechobecną konsumpcję sposób życia. Te od lat zbierane dowody zakupów oraz własne notatki, zapiski oraz dokumenty związane z codziennym funkcjonowaniem stały się swoistym dziennikiem, notatnikiem. Zrealizowany w 2013 roku *Dziennik konsumenta* był zbiorem paragonów pieczołowicie zszytych w książeczkę. Ta praca nasunęła pomysł o większej realizacji będącej komentarzem do współczesnego życia. Literackim mottem dla tej realizacji był tekst:

Z wiarą wypatruj znajdującego się poza czasem i przestrzenią miejsca, […] *miejsca z którego ty sam się wywodzisz i do którego powrócisz.*

W *Notatniku konsumenta* zrealizowanym w latach 2018-2019, użyte paragony, rachunki, faktury, zapiski, dokumenty poddane zmięciu, pocięte i podarte na małe fragmenty następnie zestawione w całość zatracają swoje pierwotne znaczenie. Ich masowość powoduje, że zatracają też swoją „ważność", stają się tym czym są według twórcy, czyli niewiele znaczącymi przejawami fizycznej egzystencji. Zbudowana z nich praca o wymiarach 300×350 cm wizualnie może nasuwać skojarzenia z widokami obłoków, nieba, mglistej przestrzeni. Kolorystyka tej realizacji wynika z użytych materiałów. Papiery w niej użyte różnią się odcieniami od beży poprzez różnorodne szarości po błękity. Autor nie ingerował w ich naturalne kolory wykorzystuje tylko je budując unistyczny układ pozornie bez początku i końca.

■

Piotr Strobel – twórca, animator kultury. Ukończył w 2005 roku Wydział Artystyczny UMCS, dyplom w Pracowni rzeźby prof. Adama Myjaka, w 2019 dyplom w Pracowni Medium Papier prof. Ewy Latkowskiej-Żychskiej oraz Pracowni obiektu do wnętrza, dywanu i gobelinu prof. Jolanty Rudzkiej-Habisiak, ASP w Łodzi. Autor wielu realizacji z zakresu szeroko rozumianej sztuki włókna. Brał udział w wielu wystawach w kraju i zagranicą. Prace w zbiorach Centralnego Muzeum Włókiennictwa w Łodzi, Muzeum Miasta Gdyni oraz w zbiorach prywatnych.

Wystawy zbiorowe, festiwale i nagrody

▪ Najlepsze Dyplomy Akademii Sztuk Pięknych 2019.

XI edycja ogólnopolskiej wystawy „Najlepsze Dyplomy Akademii Sztuk Pięknych" w Zbrojowni Sztuki w Gdańsku – nagroda rektorów ASP za dyplom „Notatnik konsumenta – strumień świadomości zrealizowany formą wizualną w oparciu o kolekcję papierów służebnych. Transpozycja naturalnych struktur w projektowaniu autorskich dywanów", sierpień 2019.

▪ 10th International Fiber Art Biennal Exhibition «From Lausanne to Beijing», Shanzen 2018

▪ Didaskalia 5 lat Otwartej Pracowni w Lublinie, Muzeum Lubelskie w Lublinie, 2017

▪ 9th International Fiber Art Biennal Exhibition «From Lausanne to Beijing», Shanzen 2016 – wyróżnienie

▪ ZEITGENÖSSISCHE TEXTILKUNST, Künstlerhaus im KunstKulturQuartier, Nürnberg 2014

▪ Materialność, Stowarzyszenie Otwarta Pracownia w Lublinie, Galeria ZSP, Lublin 2013

▪ Plecionka, akcja artystyczna, Jarmark Jagielloński, Lublin, sierpień 2013

▪ 9 Międzynarodowe Nadbałtyckie Triennale Miniatury Tkackiej, Muzeum Miasta Gdyni 2013, Centralne Muzeum Włókiennictwa, Łódź 2013

▪ Kokony kultury, Noc Kultury, Lublin 2013

▪ 10 Ogólnopolska Wystawa Miniatury Tkackiej, Centralne Muzeum Włókiennictwa, Łódź 2013

▪ Sztuka Włókna 2013, Galeria DAP, Warszawa 2013

▪ Tkanina wraca, wystawa pokonkursowa, CMW Łódź 2012, Galeria na Nankiera, Wrocław 2013

▪ My SE, Galeria Zajezdnia, Lublin 2012

▪ No Budget Show 4, MOCAK, Kraków 2012

▪ Transeuropa Festival, Lublin 2012

▪ No Budget Show 3, Kordegarda, Warszawa 2011

wystawy indywidualne:

▪ Wątki, Galeria Spółdzielczego Domu Kultury, Świdnik 2013

▪ Faktury, ACK Chatka Żaka, Lublin 2013

▪ Tkanina, Galeria Sztuki DK LSM, Lublin 2013

▪ Tkanina, Galeria Krańcowa, Lublin 2012

▪ Inspiracje, Galeria Pasaż, Lublin 2005

Piotr Strobel, notatnik autora

Aleksander Sokołowski

Literatura polska na Litwie wczoraj i dzisiaj

Pomimo trudnych warunków, w polskiej społeczności Litwy, zdziesiątkowanej zsyłkami i repatriacją, polska literatura rozwijała się nawet w czasach radzieckiej okupacji. W latach 80. XX wieku grupa polskich pisarzy skupiła się wokół polskojęzycznej gazety Czerwony Sztandar, a w 1985 roku dzięki wsparciu litewskich kolegów, m. in. słynnego poety Eduardasa Mieželaitisa, ukazała się pierwsza antologia polskiej poezji Litwy Sponad Wilii cichych fal pod redakcją Stanisława Jakutisa.

Na fali narodowego odrodzenia w 1989 roku grupa polskich poetów utworzyła przy Związku Pisarzy Litwy Sekcję Literatów Polskich. Prezesem sekcji został niżej podpisany, sekretarzem Aleksander Śnieżko, a odpowiedzialność za współpracę pisarzy polskich i litewskich przyjęła Matylda Stempkowska. Siedziba sekcji znajdowała się w istniejącym dotąd przy związku Klubie Pisarzy. Do sekcji należało wielu autorów, Jadwiga Bębnowska, Leokadia Komaiszko, Alina Lassota, Maria Łotocka i inni. Sekcja szybko zaczęła szukać talentów literackich wśród polskiej młodzieży. W 1990 roku ogłosiła pierwszy konkurs literacki. Wśród 30 uczestników wyłoniono trójkę laureatów: Lucynę Bukowską, Reginę Wilkicką i Dariusza Wierbajtisa. Rok później Sekcja Literatów Polskich rozpoczęła działalność wydawniczą. Jej staraniem Polskie Centrum Wydawnicze, powstałe przy redakcji „Magazynu Wileńskiego", wydało pięć zbiorów poezji Jadwigi Bębnowskiej, Alicji Rybałko, Henryka Mażula, Aleksandra Sokołowskiego i Aleksandra Śnieżki.

Pisarze zrzeszeni w sekcji nawiązali też owocną współpracę wydawniczą z ośrodkami w Polsce. Z pomocą litewskim rodakom przyszli m. in. Henryk Szylkin, repatriant z Litwy zamieszkały w Zielonej Górze i Romuald Karaś z Warszawy. Dzięki ich zaangażowaniu w Macierzy wydano niemało zbiorów wierszy zarówno członków Sekcji, jak i niezrzeszonych polskich autorów z Wileńszczyzny. Był to okres intensywnego rozwoju literatury polskiej na Litwie i aktywnej współpracy pisarzy polskich i litewskich. Powstanie Sekcji Literatów Polskich przy Związku Pisarzy Litwy zyskało w Polsce rozgłos. Popularność zapewnił jej m. in. artykuł prof. Wojciecha Jerzego Podgórskiego Poeci, którzy budują mosty w poczytnym dzienniku „Życie Warszawy". Literatów polskich z Litwy zaczęto zapraszać na polskie festiwale, m. in. do Mrągowa. Tam właśnie wydano w 2000 roku pierwszą antologię twórczości młodych wileńskich poetów Wschód nad Rossą.

Coraz więcej polskich pisarzy z Litwy zaczęło publikować swą twórczość w Polsce. Najczęściej są to zbiory poezji, rzadziej opowiadania. Poezja polska na Wileńszczyźnie zdobywa też popularność dzięki piosenkom, które zespoły muzyczne komponują i wykonują do wierszy tutejszych autorów. Najbardziej popularnym autorem tekstów piosenek jest Aleksander Śnieżko, bardzo płodny poeta i tłumacz poezji słowiańskiej i litewskiej na język polski. Polską literaturą na Litwie zaczęli się interesować także studenci wileńskich uczelni. W 2002 roku Lilia Kozakiewicz obroniła na Wileńskim Uniwersytecie Pedagogicznym pracę magisterską pt. Świat poetycki Aleksandra Sokołowskiego.

W 2009 roku twórcy Sekcji Literatów Polskich postanowili stworzyć samodzielne Krajowe Stowarzyszenie Literatów Polskich, które uzyskało siedzibę w powstałym kilka lat wcześniej Domu Kultury Polskiej w Wilnie. Stowarzyszenie, działające pod moim kierunkiem, nawiązało nowe, wartościowe kontakty w Polsce, m. in. z wydawcą czasopisma „Poezja Dzisiaj" i organizatorem międzynarodowych festiwali literackich Aleksandrem Nawrockim z Warszawy. Dzięki tej współpracy nastąpiła regularna wymiana wizyt pisarzy oraz publikacji pomiędzy Wilnem, Warszawą i innymi ośrodkami w Polsce, a także Londynem. Członkowie Stowarzyszenia, a także niezrzeszeni polscy literaci z Litwy zaczęli coraz częściej gościć na polskich festiwalach literackich oraz uczestniczyć w antologiach i zbiorowych wydaniach w czasopismach literackich. Ciekawą osobliwością Stowarzyszenia była promocja literatury o tematyce kosmicznej prowadzona na Litwie i poza jej granicami. Naszym członkom udało się przygotować kilka publikacji na ten temat w antologiach i czasopismach literackich.

Stowarzyszenie kontynuuje też rozpoczętą w końcu ubiegłego wieku przez Sekcję Literatów Polskich tradycję konkursów poetyckich dla młodzieży. Jurorami tych konkursów bywają zwykle pisarze z Macierzy zapraszani od kilku lat na organizowane przez nas Światowe Dni →

Poezji ogłoszone przez UNESCO. Ważnym elementem tych obchodów są spotkania naszych gości z Polski z młodzieżą szkół z Wileńszczyzny. Stowarzyszenie pomaga też młodym, miejscowym twórcom w debiutach literackich. W 2018 roku dzięki wsparciu litewskiego Urzędu ds. Mniejszości Narodowych udało się wydać nakładem wileńskiego wydawnictwa Jusida cztery debiutanckie zbiory poezji Mirosławy Bartoszewicz, Dominiki Olickiej, Krystyny Užėnaitė i Wiaczesława Zienkiewicza.

W bieżącym roku przypada dziesięciolecie działalności Krajowego Stowarzyszenia Literatów Polskich, naznaczone szczególnie intensywną działalnością literacką i promocyjną. Członkowie Stowarzyszenia wraz z niezrzeszonymi polskimi pisarzami z Litwy podjęli w ciągu całego roku wiele nowych inicjatyw na rzecz promocji polskiej literatury na Litwie oraz zacieśnienia współpracy z litewskimi kolegami. Rozwijamy intensywną działalność przekładową. Zbiory poezji oraz opowiadania litewskich autorów jeszcze nie znanych w Polsce ukazały się staraniem naszego Stowarzyszenia w dwutygodniku Pisarze.pl, wspomnianym już periodyku „Poezja Dzisiaj", krakowskim „Czasie Literatury", ciechanowskich „Zeszytach Literackich" oraz dwumiesięczniku „Lublin. Kultura i Społeczeństwo". Uczestniczymy też we wspólnych polsko-litewskich prezentacjach literackich, których inicjatorami są najczęściej polska pisarka z Wilna Alina Lassota zajmująca się też reżyserią oraz młody energiczny organizator życia literackiego Juozas Žitkauskas, poeta piszący po litewsku i w regionalnej gwarze dzukijskiej.

Na swe dziesięciolecie Krajowe Stowarzyszenie Literatów Polskich przygotowało pierwszą w dziejach polskiej literatury na Litwie obszerną międzypokoleniową antologię polskiej poezji na Litwie Polska Pogoń Poetycka, ilustrowaną obrazami polskich malarzy z Litwy w dwujęzycznym, polsko-litewskim wydaniu. To pierwsza tego rodzaju publikacja, mająca na celu przełamanie wieloletniej izolacji rozwoju polskiej literatury od litewskiego życia literackiego. Ożywieniu polskiego życia kulturalnego i jego integracji z litewskim służy też działalność powstałej przy naszym Stowarzyszeniu młodzieżowej grupy literacko-artystycznej Nowa Awangarda Wileńska oraz Klubu Bazylia Nowej Piosenki, promującego piosenkę z dobrym tekstem pod słynną Celą Konrada, na terenie dawnego klasztoru Bazylianów. ■

Aleksander Sokołowski urodził się w 1935 roku Nielidziszkach na Wileńszczyźnie. Studiował pedagogikę w Wilnie i w Szawlach. Przez całe życie zawodowe pracował w szkolnictwie jako nauczyciel oraz inspektor oświaty, a także jako nauczyciel akademicki. Uzyskał stopień doktora w dziedzinie pedagogiki i ma w niej znaczący dorobek naukowy. W literaturze zajmuje się głównie poezją. Opublikował dziewięć zbiorów wierszy. Jego utwory zostały przełożone na języki angielski, bułgarski, grecki, litewski i ukraiński oraz opublikowane w licznych antologiach polskich i międzynarodowych oraz w prasie literackiej krajów europejskich. Jest członkiem Związku Pisarzy Litwy i twórcą Sekcji Literatów Polskich w tym stowarzyszeniu, Związku Literatów Polskich oraz założycielem i wieloletnim prezesem Krajowego Stowarzyszenia Literatów Polskich na Litwie. Od wielu lat zajmuje się pszczelarstwem.

Alegorie Polski i Litwy, relief na pomniku Unii Lubelskiej, Lublin plac Litewski

Tomasz
Snarski

Międzynarodowy festiwal poezji „Maj nad Wilią”

Współczesne polskie życie literackie tętni nie tylko w kraju, lecz również poza jego granicami, czego znakomitym przykładem jest Międzynarodowy Festiwal Poezji „Maj nad Wilią”, odbywający się w Wilnie już od dwudziestu sześciu lat. Jego pomysłodawcą i organizatorem jest niezmiennie Romuald Mieczkowski, który zespalając środowisko artystyczne skupione wokół kwartalnika „Znad Wilii”, pieczołowicie dba o każdą edycję tego przedsięwzięcia, starając się zawsze o jego wyjątkowy charakter, atrakcyjną formułę i wysoki poziom. To właśnie dzięki „Majowi nad Wilią” można śmiało także współcześnie stwierdzić, że polskie słowo wybrzmiewa nie tylko nad Wisłą – w Warszawie czy Krakowie, bądź nad Motławą w Gdańsku, lecz w równej mierze nad Wilią w Wilnie – mieście Mickiewicza, Słowackiego, Miłosza, Syrokomli i wielu innych wybitnych twórców literatury polskiej.

Wspaniałe tradycje literackie Wilna kontynuują następne pokolenia i niemała w tym zasługa „Majów nad Wilią”. Biorąc pod uwagę, że rokrocznie w festiwalu bierze udział kilkudziesięciu gości z Litwy, Polski i innych krajów, można oszacować, że na przestrzeni dwudziestu sześciu lat „Maj nad Wilią” przyciągnął do Wilna tylko około tysiąca osób z zagranicy, często ważnych i wyjątkowych postaci życia kulturalnego – literackiego, także muzycznego, teatralnego czy filmowego. Festiwal postrzegany bowiem jest jako interdyscyplinarny. Nie sposób zliczyć relacji, jak i środowisk, które dzięki „Majowi nad Wilią” poznały piękno Wilna i Litwy, zanurzonego w wielokulturowym tyglu, dały się zainspirować jego urokiem, dzięki czemu powstało wielkie pokłosie pofestiwalowych utworów, dotyczących współczesnej Wileńszczyzny i Litwy. Festiwal przyczynił się do powstania wielu książek i publikacji, znalazł swe odbicie w relacjach radiowych, w filmach, dzięki niemu powstało wiele przekładów literatury polskiej nie tylko na litewski, lecz również na języki, skąd przybywali jego uczestnicy.

Międzynarodowy Festiwal Poezji „Maj nad Wilią” jest jednak nie tylko świadectwem polskiej obecności literackiej w Wilnie, lecz przede wszystkim żywym miejscem spotkań – w pierwszej kolejności polskich i litewskich twórców, którzy przekraczając granice własnych kultur, budują trwałe mosty przyjaźni między Polakami i Litwinami. Co więcej, w festiwalu uczestniczą goście z wielu różnych krajów, zarówno przedstawiciele Polonii, jak i twórcy w swoich językach narodowych. Przez dwadzieścia kilka lat w „Majach nad Wilią” wzięli udział uczestnicy z niemal wszystkich kontynentów, a nawiązane w Wilnie relacje zwykle owocowały potem wieloma międzynarodowymi działaniami, w tym wyjazdami miejscowych twórców polskich i litewskich na prestiżowe festiwale nie tylko w Polsce, lecz i w innych krajach, zaś niżej podpisany, dzięki nawiązanym podczas „Maja nad Wilią” kontaktom literackim, między innymi został zaproszony do udziału w Międzynarodowym Festiwalu Poetyckim „Letras en La Mar” w Puerto Vallarta w Meksyku w 2017 roku. A na chociażby pobieżne odnotowanie tego rodzaju kulturalnej współpracy, nawiązanej dzięki wileńskiemu festiwalowi, zbrakłoby miejsca.

Warto natomiast podkreślić, że dzięki współpracy ze Związkiem Pisarzy Litwy corocznie podczas „Maja nad Wilią” odbywa się również spotkanie gości festiwalowych z wybitnymi postaciami życia literackiego współczesnej Litwy. Nieodłącznym punktem są spotkania poświęcone współczesnym problemom twórczym, translatorskim i wydawniczym w siedzibie Związku Pisarzy Litwy – w pięknym i zabytkowym pałacu Ogińskich, w tym z prezeską tej organizacji Birutė Jonuškaitė. To dzięki tej współpracy opublikowano wiele tłumaczeń polskich poetów na język litewski, by wymienić chociażby książki Barbary Gruszki-Zych (poezja i proza), a ostatnio dwujęzyczny zbiór poezji Marii Duszki pt. „Wolność chmur” / „Debesų laisvė”.

„Maj nad Wilią” jest także festiwalem nie tylko interdyscyplinarnym, ale i o charakterze dynamicznym, ustawicznie proponującym różne formuły. Od kilku lat jego częścią stała się wileńska edycja Festiwalu Filmów Emigracyjnych EMiGRA, organizowanego przez Agatę Lewandowski. Dobór prezentowanych tam filmów oraz prowadzone po projekcjach dyskusje stanowią wyśmienite dopełnienie dla humanistycznej wrażliwości uczestników. Literackim spotkaniom i prezentacjom towarzyszy stale muzyka. Dość wspomnieć, że podczas niedawnych edycji wystąpili

Panorama Wilna, Michał Elwiro Androlli, XIX w.

z recitalami Stanisław Soyka czy Tadeusz Woźniak, jazzowo go „ilustrował" muzyk miejscowy Jan Maksymowicz, dobrze znany poza granicami Litwy.

Nieodłączną częścią festiwalu są także wycieczki czy raczej wyprawy tematyczne po Litwie, nawiązujące do corocznie innego hasła festiwalu, idei przewodniej każdej kolejnej edycji, a także wędrówki śladami literackimi po Wilnie oraz biesiady, w tym tradycyjna Biesiada Poetów, Muzyków, Malarzy i ich Przyjaciół w Polskiej Galerii Artystycznej „Znad Wilii". Do pięknych festiwalowych tradycji należą turnieje młodych twórców o Nagrody Czeladnika Poezji, podsumowanie konkursu „Polacy Wielu Kultur", organizowanego od lat przez czasopismo „Znad Wilii", które nota bene ma rodowód niepodległościowy i w tym roku obchodzi swe 30-lecie.

Każdorazowo i obowiązkowo musi też być tradycyjne przywitanie się z Adamem, czyli spotkanie inauguracyjne przy pomniku poety i zrobienie tu wspólnego zdjęcia. Od samego początku podczas każdego festiwalu jest „Środa Literacka" pod Celą Konrada (dziś mieści się w jej murach hotel), bardzo wzruszająco brzmi wspólnie recytowana tutaj przez wszystkich obecnych, niczym swoista modlitwa poetów, *Inwokacja* Adama Mickiewicza.

Stałą częścią festiwalowych spotkań jest również konferencja poświęcona aktualnym rocznicom i wybranym tematom. W tym roku, na przykład, w pięknej Sali Gotyckiej Akademii Sztuk Pięknych w Wilnie odbyła się konferencja poświęcona 100. rocznicy odrodzenia Uniwersytetu Wileńskiego i 440. rocznicy jego powstania. Dzisiejsza litewska ASP mieści się w starych murach, należących przed wojną do Uniwersytetu Stefana Batorego, a konkretnie do jego Wydziału Sztuk Pięknych.

Jestem pewien, że na temat tego festiwalu można pisać książki. Mocno ograniczając się i podsumowując, podkreślę, że ten wyjątkowy festiwal po prostu łączy gości z różnych stron Europy i świata, promując w sposób artystyczny najpiękniejsze wileńskie miejsca, jest miejscem nawiązywania długoletnich przyjaźni, wymiany kulturalnej, a nade wszystko coraz rzadszym dziś miejscem obcowania z pięknem poezji.

Wydaje się, że „Maj nad Wilią" obrał bardzo dobry kierunek, zachowując poezję jako rdzeń przedsięwzięcia, przy jednoczesnym otwarciu się na muzykę, film, fotografię i malarstwo. W ten sposób stworzyła się formuła, mogąca stanowić uatrakcyjnienie dla festiwalowej publiczności, przyciągając zwłaszcza młode pokolenie do literatury. Podczas festiwalu młodzi ludzie, dzięki wspomnianym konkursom uzyskują szansę zaistnienia w środowisku lokalnym i w Polsce, prezentacji swoich pierwszych prób, a niekiedy także publikacji swoich utworów i w „Znad Wilii", i w oddzielnych tomikach. Wszystkie te aktywności łączy z jednej strony szacunek dla polskiej spuścizny Wilna, z drugiej życzliwe i przyjazne otwarcie się na współpracę ze stroną litewską, promujące budowanie poprzez kulturę wzajemnego porozumienia. Warto odnotować, że w ostatnim wydawnictwie w serii Biblioteki Znad Wilii ukazał się tomik poezji wilnianina Tomasa Tamošiūnasa „Piwo z Aniołem Stróżem".

Na zakończenie wspomnieć należy o wyjątkowej i przepięknej tradycji, zapoczątkowanej przed kilkoma laty, zgodnie z którą uczestnicy festiwalu odwiedzają wileńskie Hospicjum im. bł. ks. Michała Sopoćki, dzieląc się swoją obecnością z chorymi. Ich odwiedziny w hospicjum to wszakże ważne świadectwo solidarności z chorymi,

a także zwrócenie uwagi na to, że hospicjum jest częścią normalnego życia w społeczeństwie, zwrócenia uwagi na bardzo ważne sprawy społeczne.

Niezmiernie istotne jest dostrzeżenie długofalowych efektów festiwalu. Należy do nich w pierwszej kolejności ustawiczny wzrost znaczenia polskiej kultury w stolicy Litwy. Kultywowaniu polskich tradycji literackich towarzyszy jednoczesne rozwijanie otrzymanej spuścizny pokoleń. Niezmiernie cieszy, że uczestnicy festiwalu niejednokrotnie kontynuują zawiązane w Wilnie relacje, wzajemnie zapraszając się do udziału w organizowanych przez siebie wydarzeniach. Dzięki festiwalowi powstają nowe utwory, tłumaczenia, przedsięwzięcia, wydawnictwa.

Miejmy nadzieję, że „Maj nad Wilią" będzie się dalej rozwijał, stanowiąc serce polskich tradycji literackich współczesnego Wilna. Potrzeba, by taka inicjatywa, rozpoznawana na Litwie, w Polsce, jak i w Europie, cieszyła się życzliwym wsparciem wszystkich zatroskanych o utrwalenie polskiego dziedzictwa, jak również o jego dalszy rozwój w zmieniającej się rzeczywistości. Aby w Polsce nie tylko było wielu chętnych do przyjazdu na spotkania wileńskie, lecz i pamiętano o partnerstwie wzajemnym i o polskich twórcach z Wilna w Polsce.

Tomasz Snarski

Tomasz Snarski urodził się w 1985 roku w Gdańsku, w rodzinie o wileńskich korzeniach. Doktor nauk prawnych, adiunkt w Katedrze Prawa Karnego Materialnego i Kryminologii Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Gdańskiego, adwokat. Naukowo zajmuje się prawem karnym, teorią i filozofią prawa oraz problematyką praw człowieka, w tym prawnymi aspektami wielokulturowości. Prowadzi kancelarię adwokacką w Gdańsku i studiuje filozofię. Autor petycji do Parlamentu Europejskiego w sprawie praw językowych polskiej mniejszości na Litwie. Członek Stowarzyszenia Naukowców Polaków Litwy oraz wolontariusz wileńskiego Hospicjum bł. ks. Michała Sopoćki. Autor dwóch tomów poezji: *Przezpatrzenia* (Gdańsk 2012 i 2014) oraz *Werblista* (2016). Jego utwory zostały opublikowane w prasie i w antologiach zbiorowych, przetłumaczone na języki hiszpański, japoński i litewski.

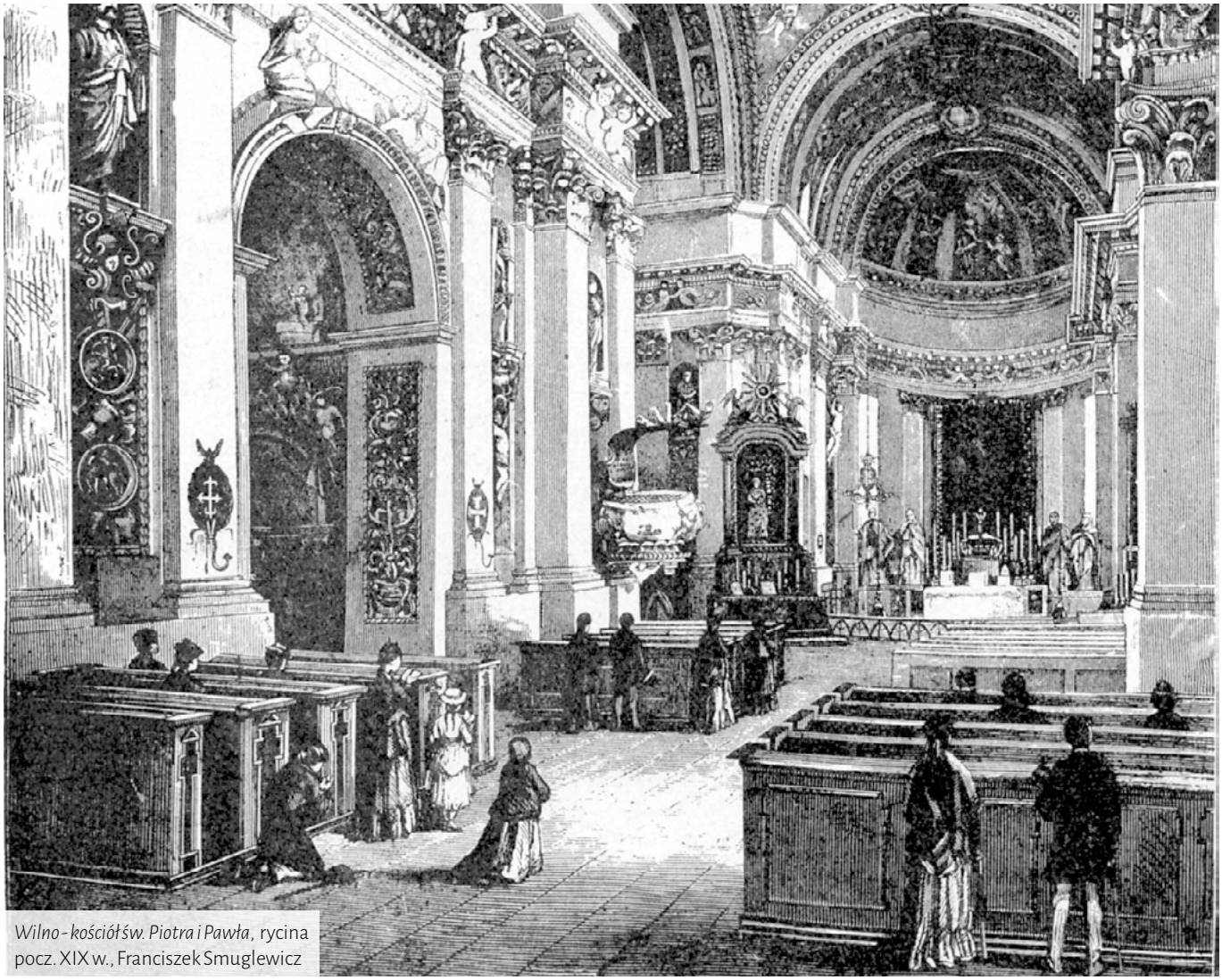

Wilno - kościół św. Piotra i Pawła, rycina pocz. XIX w., Franciszek Smuglewicz

Mirosława Bartoszewicz

Wileński Romantyzm

Syrokomla niedoskonały,
Słowacki wzruszony,
Moniuszko w Strasznym Dworze
i Mickiewicz zamyślony.

Romantyzm ucieka z Wilna
potykając się o kostki na bruku,
pozostawia ciągnący się za sobą tren wspomnień,
namiastkę aromatu
który wywietrzał
biegnąc w ślad za kibitkami.

Czarnobyl

Umarły tam Wiara i Nadzieja
napromieniowane dawką Przemilczenia,
przykryte merelką Kłamstwa
zakrywającą obrzękłe twarze Bólu i Strachu.

Wypędzono stamtąd Miłość
nie dopuściwszy do głosu Rozsądek
i teraz i potem,
gdy wróciła Starość
z tęsknoty przedzierając się
nocami przez lasy.

Puszczanie latawców

Gdy piszę wiersz,
to tak się czuję
jakbym rzucała
słowa na wiatr.
Odlecą – ulotne
rozpłyną się w powietrzu.
A tak bym chciała
je zebrać,
związać w jedno
i puszczać
razem z latawcami.

Mirosława Bartoszewicz pochodzi ze wsi Bojary koło Wilna. Ukończyła studia polonistyczne na Wileńskim Uniwersytecie Pedagogicznym. Pracuje w bibliotece w Rudominie koło Wilna. Jest członkinią grupy literackiej Nowa Awangarda Wileńska. Debiutowała w prasie w 2001 roku. Jej utwory zostały opublikowane w prasie polskiej i litewskiej oraz w antologiach *Susitikimai – Сустрэчи – Spotkania* (Wilno 2013), *W zakolu Wilii* (Wilno 2016) i *Metafora współczesności* (Warszawa 2017) oraz innych polskich i litewskich edycjach zbiorowych. Tłumaczy poezję litewską na język polski. W 2018 roku wydała debiutancki zbiór poezji *I pieśń gdzieś leci ode mnie echowa…* Jest aktywną uczestniczką litewskiego życia literackiego. W 2019 roku uczestniczyła w litewskim ogólnoświatowym festiwalu literackim Poezijos pavasaris.

Agnieszka Masalytė

Wilno

Chciałabym odłamać kawałek muru i schować do kieszeni.
Wyrwać kocie łby z brukowanych uliczek.
Każdy kościelny krzyż umieścić w paciorki dni,
Które umknęły między palcami wspomnień o Tobie.
Miasto wspomnień i wizji,
Przeszłości i przyszłości,
Obiektem snów i powodem bezsenności,
Westchnień, rozpaczy, rozlanej miłości
Od brzegu do brzegu pełnej namiętności.
Chciałabym zapomnieć wszystkie drogi wiodące od ciebie.
Wpleść we włosy wstęgę Wilenki
I skakać po czerwonych dachówkach
Rozżarzonych w zachodzie słońca.

Kto nie czyta poezji

Kto nie czyta poezji nie naraża się na niebezpieczeństwo.
Nie uzależnia się od przeczytanych strof,
Nie zapamiętuje rymów,
Nie wierzy, że poezja to most łączący ludzi,
Którzy mają do powiedzenia tak dużo
I w tak krótki sposób.

Kto nie czyta poezji nie boi się spojrzeć w oczy
Dniu jutrzejszemu,
Nie tonie w otchłaniach białych, niezapełnionych pól,
Nie rani go czasem ostra czcionka zbyt miękkich słów,
Które zostają w pamięci
Tak długo.

Agnieszka Masalytė urodziła się i mieszka w Wilnie. W 2018 roku ukończyła studia polonistyczne na Uniwersytecie Wileńskim, broniąc rozprawy o Nowej Awangardzie Wileńskiej – młodzieżowym ruchu literackim obecnej dekady. Debiutowała w prasie literackiej w 2011 roku. Jej utwory zostały przełożone na język grecki i opublikowane w prasie europejskiej oraz w antologii młodych poetów Wileńszczyzny *W zakolu Wilii*. Jest bardzo aktywną uczestniczką młodzieżowego życia literackiego Wilna i tłumaczką litewskiej poezji na język polski i polskiej na litewski. Nie ma w dorobku publikacji książkowych.

Agnieszka
Masalytė

Nowa Awangarda Wileńska – literacki odcień Wilna

Nowa Awangarda Wileńska to grupa literacka zrzeszająca młodych poetów z Wileńszczyzny, działająca przy Krajowym Stowarzyszeniu Literatów Polskich. Została założona w maju 2011 roku podczas tradycyjnego Światowego Dnia Poezji w Wilnie, organizowanego przez Krajowe Stowarzyszenie Literatów Polskich. Jak twierdzą sami poeci, najtrudniej było wymyślić nazwę grupy. Jej autorką jest współzałożycielka grupy Marzena Mackojć – poetka i naukowiec. Pierwotnie do grupy należały bardzo różne osoby, każda ze swoim indywidualnym stylem pisania oraz różnorodną tematyką wierszy. Na początku do grupy należeli Agnieszka Mackojć – siostra bliźniaczka Marzeny, Tomasz Tamošiūnas, Katarzyna Pieczuro, Daniel Krajczyński oraz Dariusz Kaplewski. Zdaniem członków grupy, wyraz awangarda w nazwie miał zapowiadać nowatorstwo. Oddalają się oni od wierszy rymowanych, jasnych i klarownych, pisząc wiersze białe, zaskakujące swoją treścią i formą, czasem otwartością i nawet intymnością napisanych strof.

Jest to grupa otwarta, zawsze oczekiwani są nowi członkowie. Może nim zostać każdy, kto ma talent pisarski oraz może przyczynić się do szerzenia poezji wileńskiej. Zapraszane są też osoby utalentowane w innych dziedzinach, np. śpiewające, często na imprezach z uczestnictwem Nowej Awangardy Wileńskiej prezentowana jest poezja śpiewana. Członkowie Awangardy nie tylko prezentują własną twórczość, ale też organizują szersze prezentacje literacko-artystyczne, czego unika starsze pokolenie. Organizują i biorą udział w spotkaniach poetyckich, organizowanych w kawiarenkach, goszczą w wileńskich szkołach. W ramach współpracy z instytucjami publicznymi i dzięki ich dofinansowaniu przygotowują antologie i zbiory poetyckie. Wiersze młodych poetów umieszczane są na łamach wileńskich czasopism. Niektórzy wydali własne tomiki poezji. Coraz częściej młodzi poeci dzielą się swoją poezją w mediach społecznościowych, publikują wiersze na swoim profilu na Facebooku.

Członkowie grupy są bardzo różni, co pozwala na wymianę pomysłów i dzielenie się doświadczeniem. Niektórzy członkowie grupy ukończyli filologię, jednak większość z nich na co dzień zajmuje się rzeczami bardzo odległymi od poezji. Nie łączy ich też jeden uniwersytet – ukończyli bowiem różne uczelnie i są specjalistami w różnych dziedzinach.

Dziś jest to nie tylko własna poezja, ale też organizacja konkursów, pomoc początkującym poetom w pokazaniu swojej twórczości. W 2015 Awangarda zaangażowała się w wydanie książki *Thriller po wileńsku* – pierwszej na Wileńszczyźnie antologii przedstawiającą opowiadania nietradycyjne, takie jak dreszczowiec czy fantastyka naukowa.

W 2018 roku Stowarzyszenie Literatów Polskich na Litwie przedstawiło w konkursie, ogłoszonym przez litewski Urząd ds. Mniejszości Narodowych, projekt wydania czterech debiutanckich zbiorów poezji młodych polskich autorów z Wileńszczyzny. W ramach tego projektu ukazały się tomiki poetek z Nowej Awangardy Wileńskiej: Mirosławy Bartoszewicz, Dominiki Olickiej oraz Krystyny Užėnaitė. Debiutantom w wyborze wierszy pomagała znana polonistka dr Halina Turkiewicz, której zdaniem każdy z autorów jest inny, ale „wszyscy mają pewne cechy wspólne". Poetki zaprezentowały swoje wiersze w oryginale oraz przekładzie na język litewski w Bibliotece Adama Mickiewicza w Wilnie.

Ostatnio coraz częściej obecni członkowie Awangardy integrują się z litewskimi poetami. 22 maja 2019 roku poetki Mirosława Bartoszewicz i Alina Lassota zaprezentowały swoją poezję w corocznym festiwalu poetyckim *Poezijos pavasaris* (*Wiosna Poezji*).

18 czerwca br. odbyła się akcja dobroczynna *Sobótka świętojańska* na rzecz hospicjum pod celą Konrada w wileńskim dawnym klasztorze Bazylianów. Zebrali się tu polscy i litewscy poeci, Mirosława Bartoszewicz, Nijolė Daujotytė, Albinas Galinis, Alisa Gładyszewa, Alina Lassota, Paweł Krupka, Agnieszka Masalytė, Emilija Statinaitė, Krystyna Užėnaitė, Aleksander Śnieżko, Tomasz i Wiktor Tamošiūnasowie, Wiaczesław Zienkiewicz, Aistis Žekevičius i Juozas Žitkauskas.

Wspólne, polsko-litewskie prezentacje literackie oraz wzajemne przekłady i publikacje utworów wskazują, że w literackim życiu Litwy, po wielu latach izolacji różnych środowisk narodowych występują korzystne zmiany we wzajemnych relacjach. Pozytywną rolę w tym procesie odgrywa Nowa Awangarda Wileńska i związani z nią młodzi polscy literaci. ■

Dominika Olicka

***

.....

Będę pisała piękną poezję.

O miłości i pięknym, szerokim świecie
Bez przemocy, nienawiści i śmierci.
O romantycznym księżycu i nadzieję niosącym słońcu,
W promieniach których nie czujemy goryczy, zazdrości i winy.

Będę pisała piękną poezję.
Wygodną, jak ślad leniwego ciała w starej kanapie.
Wybaczcie, drodzy czytelnicy, krytycy i koledzy poeci –
Żartuję.
Będę niewygodnym stołkiem o nadłamanej nodze.

Wyznanie fałszywej zesłanki

Jasne, czerwcowe popołudnie
Tonęło w wonnym rozkwicie
Niezapominajek. Leniwie i marudnie
Wolne i beztroskie chwile snuły po szafirowym błękicie.

Otworzyłam książkę. Wreszcie mogę dać chleba
Głodującej już od roku duszy.
Chciwie wśród kartek grzebię,
Nasycając się ekstraktem geniuszy.
Jak motyl.

Jedna strofa, druga i nagle...
Skroplone szczęście sączy się z oczu.
Serce, jak statek o wydętych żaglach
W otwarte morze się rwie i z klatki chce wyskoczyć!

Wzruszający wiersz?
Nie –
Polszczyzna.

Hańbą zgrzytają rdzawe sumienia kajdanki
I jak węże owijają zawstydzoną pamięć – płynnie.

Ojczyzna zawsze była przy mnie.
Ja nie byłam.
Wybacz, Matko...

Dominika Olicka urodziła się i mieszka w Wilnie. W czerwcu 2019 roku ukończyła studia indologiczne na Uniwersytecie Wileńskim. Debiutowała w 2013 roku w konkursie literackim z okazji Światowych Dni Poezji. W 2014 roku związała się z młodzieżową grupą literacką Nowa Awangarda Wileńska. Tłumaczy poezję litewską na język polski. Jej utwory były publikowane w prasie literackiej i w antologiach *Susitikimai – Сустрэчи – Spotkania* (Wilno 2013), *Portret ze słów* (Słupsk 2015), *W zakolu Wilii* (Wilno 2016), *Świat idzie inną drogą* (Słupsk 2016) oraz *Tomik poezji kresowej* (Mrągowo 2017). W 2018 roku wydała w Wilnie debiutancki zbiór poezji *Podróż długa jak życie*.

Bartosz
Połoński

Robczik
(fragment powieści)

Idąc do binzakałonki[1] ja zaczął czuć taka ciemność, cziuju najgorszy moment dzisiejszego dnia, kiedy w głowie jakieś nieszczęścia zmieniają się jak kanały telewizora, że to babek[2] ludzi nie dostają, że narkotyki, użimtumasa[3] nie ma. Trolejbusy zasrane, dziadźki[4] szukają przebitych biletów na ziemi, żeby kantralior nie złapał. Czy to było choć raz, żeby ja jechał trolejbusem i jakimś starikom ni waniała? Czemu, zdajsie, że w takim piekle ja tusuju̇ś[5]. I nie zawsze mogą zrozumieć skąd ten optymizm? Z mtv, sztoli[6]? Z czatów internetowych? W bloku całe życie mieszkał? Wapszie[7], skąd te bloki wzięli sie? Czemu oni nas do bloków powsadzali. Spalne rajony? A mnie paibać[8], kiedy niektóre ludzi zasnąć nie mogą nocami, nie mają czym karmić swoich dzieci i narkamanija rozwija się. Kto za to atwicziajet[9]? Czemu oni do bloków nas powsadzali, my co gorsze jakie, czy jak? Czemu nie dano nam żyć tak jak innym. Ja tak szed do binzakałonki i nie wtykaju czyim to głosem, ja te paszkudztwa bazariu[10]. Ja żesz nie mam nic wspólnego z tym bólem, który przeszed przez moja głowa. Ja żesz tylko jedna buteleka wypił. Dziwnie jakoś czuć sie zaczął, jakby to co szybciej wsio naokoło działo się, jakby to, tylko co wstał. Wsio, myśla, przestań myśleć, a to gdzieś za daleko poszli twoje myśli. Wzioł piwa, ida z Beatko na astanowka[11].

– Mogli w kiosku koło żiedasa[12] wziąść...

– Ai, niważna, zabudź[13].

Beatka wyraźnie poczuła mój napriag[14]. Za każym zaciągnięciem dymu myślała cipa „co jemu jest, czego on taki zapariny[15]". Ale ja już uspokoił się, przede wszystkim dlatego, że nie wiadomo skąd ta parka tymczasowa wzięła się. Wsio, zakalibała[16].

– Beatka, poczęstuj cygaretką.

– Co? Tak, ty żesz ni palisz – to powiedziawszy pierwszy raz uśmiechnęła się i dopiero wtedy ja poczuł, że ja uspokoił się, że priot[17].

– Nu ni pala, ale ja pacza, ty tak ładnie zaciągasz, to mnie też zechciało się.

Beatka zaczęła kopać się w swojej torebce, ja tak zaczął paczeć na jej szyja, ona tak zaibiś[18] wygląda, bardzo kobieco, karoczie[19].

– Ale u mnie redzik[20] miętowy...

– Pofig...[21]

Zaciągam redzik miętowy. Red And White, cipa polskie cyzy, bo białe i czerwone, ale jako że miętowe, to zielone, gliuk[22] karoczie. Gandżubass chadziaczij[23]. Karoczie, Beatka rzuciła cyza[24] na ziemia.

– Nu jak smacznie?

– Smacznie. I śmiesznie. Śmieszne miętowe cyzy, od nich na duszy zimniej robi się, moje serce stanowi się zimne i ja zaczynam czuć dystans do otaczającej mnie rzeczywistości...

– Oho, musi paet[25]?

– Ja nie paet, ja razwlikajuś…[26]

1 stacja paliw
2 pieniądze
3 zatrudnienie
4 prości ludzie
5 zabawiam się
6 czyżby
7 w ogóle
8 mam to gdzieś
9 odpowiada
10 opowiadam
11 przystanek
12 rondo
13 zapomnij
14 napięcie
15 zasmucony
16 dość
17 w porządku
18 wspaniale
19 krótko mówiąc
20 tani papieros marki Red & White
21 nic takiego
22 skręt
23 chodząca „trawka"
24 papieros
25 poeta
26 rozrywam się, zabawiam

Widok na wileńską wieżę telewizyjną

Beatka wzięła mnie pod ręka.

– E, prikurić jeść[27]?!

Ja odwaracam się, a tam karoczie jakiś łaszok[28] w czarnej kurtce, charia[29] czerwona, broda podjewszy[30], cipa dziławoj[31], i patrzy mnie prosto w oczy. Ja, karoczie, popaczał tam jeszcze parę drużkow jego stało za pięć metrów, ale ja odwrócił się, raczej my odwrócili się, bo kiedy Beatka trzymała się za moje ramię, to ja czuł się za niej odpowiedzialny. Tak wo, ja odwrócił się nic nie mówiąc temu łaszku, wyraźnie ignorując jego pytania, które dla mnie byli zupełnie ni pa ciemie[32]. ■

27 masz ogień

28 łachmyta

29 pysk, ryj

30 zadarł do góry

31 jak jaki bufon

32 nie na temat

Robczik *to powieść napisana współczesną miejską gwarą, którą posługuje się młodzież mieszkająca na wileńskich osiedlach. Treścią utworu są sceny z życia codziennego bohatera, wileńskiego maturzysty i jego najbliższego otoczenia, rodziny, kolegów i sąsiadów. Powieść nie ukazała się w formie książkowej.*

Bartosz Połoński

urodził się w 1981 roku w Wilnie. Ukończył studia w zakresie multimediów w Akademii Sztuk Pięknych w Wilnie i w dziedzinie intermediów w Akademii Sztuk Pięknych w Poznaniu. Pracuje jako programista. Tworzy interaktywne filmy krótkometrażowe. Jest członkiem wileńskiej grupy artystycznej *Siekiel*. Zajmuje się poezją i formami narracyjnymi. Fragmenty powieści *Robczik* zostały opublikowane w prasie w 2014 roku. Nie ma w dorobku publikacji książkowych.

Krystyna Užėnaitė

Wilno moje

Św. Krzysztof z Dzieciątkiem Jezus,
U stóp postaci poza polem herbowym –
Krzyż
I to miasto przecudne
Z Górą Zamkową wznoszącą się wzwyż
Ostra Brama i Matka Boża
Spoglądająca na dzieci swe
Wielonarodowe i wielowyznaniowe
Takie bliskie mnie.
Miasto przepięknych ulic,
Starówka i Plac,
Gdzie Katedra, dzwonnica i
Wielkich Władców Pałac.
Miasto twórców i bohaterów
Co zostawili tu ślady swoje
Zbudowane z legend i podań
Wilno moje!

Biała róża

Cudna, szlachetna
Jej płatki białe jak płatki śniegu
Jak białe lśniące skrzydła anielskie
Białe, jak obłok porannej zorzy
Jak czysta, biała kartka papieru...

Biała róża
Już ścięta..., nieżywa
Nie zdążyła jeszcze łzy rosy jej uschnąć
Oddała swe życie
Dla pociechy Twych oczu
W zamian jedynie – za Twój uśmiech

Krystyna Užėnaitė urodziła się i mieszka w Wilnie. Ukończyła studia polonistyczne na Wileńskim Uniwersytecie Pedagogicznym. Jest poetką i malarką, członkinią twórczego związku malarzy polskich na Litwie Elipsa. Należy do młodzieżowej grupy literackiej *Nowa Awangarda Wileńska*. Wyróżnia się działalnością społeczną w dziedzinie animacji kultury. Uczestniczyła w licznych festiwalach literackich, plastycznych i folklorystycznych. Opublikowała liczne utwory w polskiej i litewskiej prasie oraz w antologiach poetyckich w krajach Europy, Indiach, Pakistanie i USA. Jej wiersze zostały przełożone na języki angielski, bułgarski, litewski i włoski. W 2018 roku jej debiutem książkowym był zbiór *Na strunach duszy* wydany w Wilnie.

Widok na Wilno ze wzgórza Gedymina

Bazylika archikatedralna św. Stanisława i św. Władysława w Wilnie

Wiaczesław Zienkiewicz

***

.....

Wielki
Wśród wielkich
Spoczywasz
W spokoju i ciszy
Szelest
Michała Anioła
Pędzelka
Na firmamencie
Kaplicy Sykstyńskiej
Można usłyszeć
Serce zranione
Ojczyzną
Nie wystukuje
Kolejnej miłości
Genezy
W labiryncie
Gotyckich sklepień
Strzelistych
Na ukochanej
Obczyźnie
Czy słyszysz
Ten płacz
Poloneza...
Dźwięczał
Nucony przy
Słupach granicznych
Po kolejnym
Stłumionym powstaniu.
Wyły nuty
Załamywanych rąk
Na pięcioliniach
Losu
Przy na wieki
Z ojczyzną
Bolesnym rozstaniu.
W strasznych
Dołach Katynia
I Smoleńska
Rojstach zamglonych
Ta melodia wrosła
W cudzą ziemię
Rozpaczy korzeniem
Krwią polską
Zroszonym...
Kupioną w Oszmianie
Kiedyś płytę
Bez końca kręciłem
Te wspomnienia
Z dzieciństwa

Jak puzzle
Ostatni złożyłem
Zajeżdżona melodia
Tragiczna
I taka prorocza
Polonez
Ogiński
I Santa Croce

***

.....

Siedział ważny
W czarnej
Błyszczącej
Toyocie
Złapał wzrok
Siedzącego obok
W Gazeli
Zatrzymali się
Przed czerwonym
Na skrzyżowaniu
Losu
Zdążył
Uśmiechnąć się
Z szerokością
Dzielącej ich
Przepaści
Znak równości
Postawił
Żuraw wieżowy
Padający
Na samochody
Z wysokości
Przeznaczenia
Amen

***

.....

Jaki ogromny
Plakat
Tryskający
Nieszczerością
Obiecanego raju
Jaki sztuczny
Uśmiech
Podciągnięty
Wszechmogącym
Fotoshopem
Ile drogiej farby
Musiało zeżarć
Te monstrum
Wydrukowane
Na grubym
Kartonie
Rozrzutności...
Co teraz zrobię
Z tym
Bogactwem
Ani zjeść
Ani chwalonego
Eurocenta
Za to
Nikt nie da...
Biedował
CZŁOWIEK
Grzebiący
W kontenerze
Na śmiecie

***

.....

Wpuszczam
Oddech jesieni
Do
Opłacalnego
Lata
Mieszkania
Czuję się
Ułomnym
Władcą
Pór roku

***

.....

Przekonałem się
Że Śmierć
Jest
Niepiśmienna
Umie
Postawić
Tylko krzyżyk
Na uboczu
Czarnej
Wstęgi
Drogi

***
.....

Płacę złotem
Opadłych liści!
Szczerze
Śmiejesz się:
– Nic nie warte.
Muszę
Zgodzić się,
Oczywiście,
Najmniejszego
Dziś nie mam
Fartu.
– Płacę srebrem
Strumieni
Deszczu!
Więc ponownie
Wybuchasz
Śmiechem:
– Jestem wiosną!
Wciąż wiosną
Jestem!
Nie rozmawiam
Z młodości
Echem...

Wiaczesław Zienkiewicz urodził się w 1962 roku we wsi Sawiczuny na Wileńszczyźnie. Kształcił się w Królewcu na uczelni wojskowej. Podczas służby w Archangielsku ukończył studia na Uniwersytecie Łomonosowa. W 1991 roku zakończył służbę wojskową i osiadł na Wileńszczyźnie. Pracuje jako nauczyciel historii w Rukojniach i Szumsku. Jest poetą oraz autorem i wykonawcą piosenek. Tłumaczy poezję litewską na język polski. Uczestniczył w wielu festiwalach literackich na Litwie i w Polsce oraz opublikował swe utwory w prasie litewskiej i polskiej, także w międzynarodowej antologii *Mosty*. W 2018 roku wydał w Wilnie debiutancki zbiór poezji *Wśród kwiatów zimnych gwiazd…*

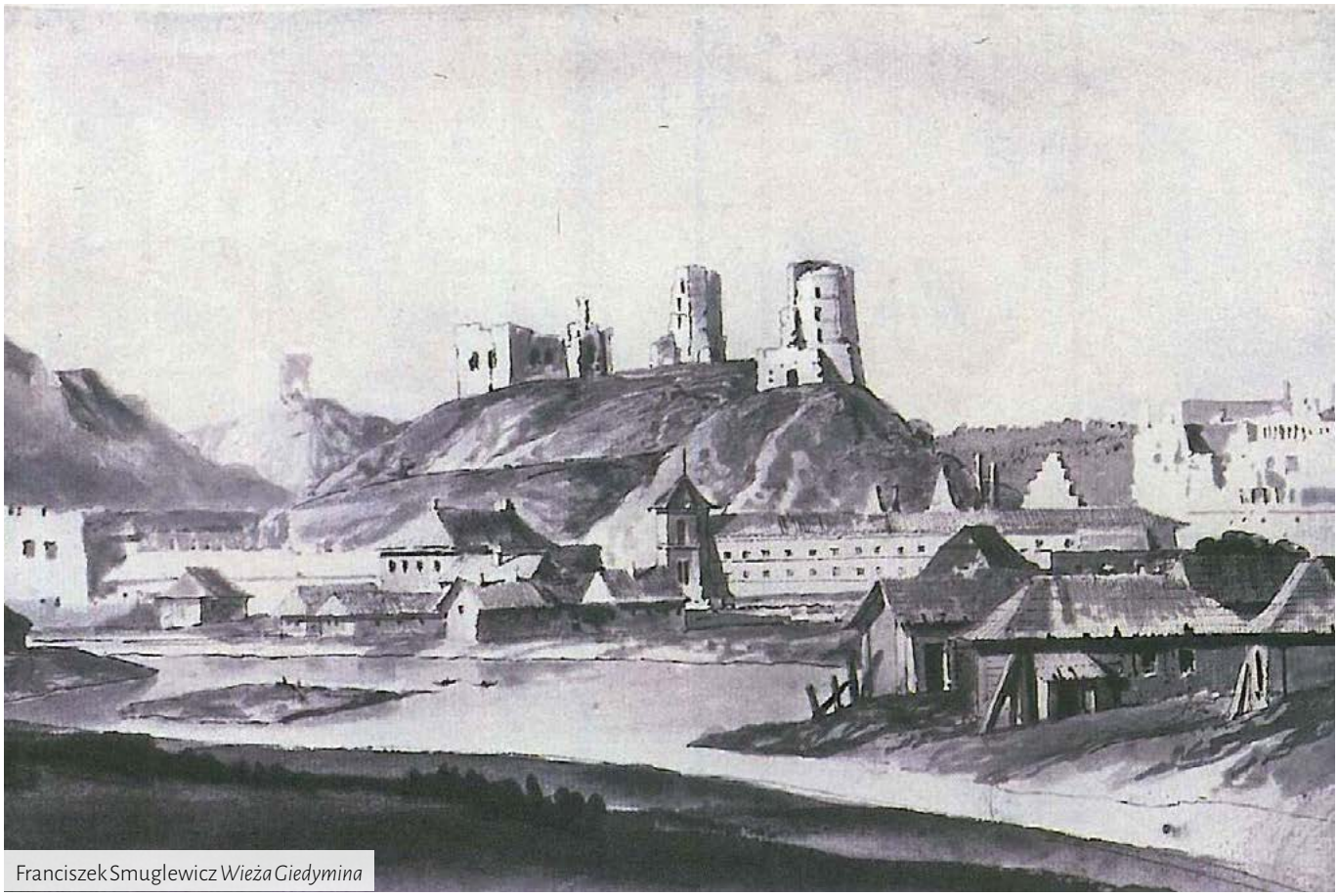

Franciszek Smuglewicz *Wieża Giedymina*

Faustyna
Zawalska

Gra ze śmiercią
(fragmenty)

Ciężko jest mi mówić, a jeszcze trudniej jest mi opowiadać o rzeczach, które mam ochotę wymazać z pamięci. Te wydarzenia jednak tak głęboko wryły się w moją głowę, że nie potrafię od nich uciec. A przecież wszystko zaczęło się tak niewinnie…

[…]

Dzień Dziesiąty. Tylko trzy osoby – Albert, ja i jeszcze jeden chłopak. Zadanie było dziwne, bo zaprowadzono nas na dach Laboratorium, w którym odbywała się Gra. Zadanie polegalo na tym, żeby chodzić po krawędzi dachu i nie spaść, jak najdłużej utrzymać równowagę. Od samej wysokości zakręciło mi się w głowie. Chodziliśmy tak na przemian i wtedy omal nie spadłam. Chyba wmawiałam sobie, że upadnę, ale w ostatniej chwili złapałam równowagę i ruszyłam dalej. I wtedy właśnie ten chłopak pośliznął się i runął. Nie patrzyłam, czy coś z niego zostało, tylko spokojnie nabrałam powietrza do płuc. Nadal żyłam.

Dzień Jedenasty. Albo ja, albo Albert. Finał już się zbliżał milowymi krokami, a ja planowałam ucieczkę. Nie wierzyłam, że szczęście się do mnie uśmiechnie. Byłam pewna, iż zadanie, które dostaniemy tego dnia, będzie decydujące i najgorsze ze wszystkich, więc mój instynkt samozachowawczy podpowiedział mi, że mam coś z tym zrobić.

Chodząc korytarzami, próbowałam znaleźć miejsce, w którym nie ma kamer. Zauważyłam małą ciężarówkę, która stała przy wyjściu z budynku i miała za chwilę odjechać. Nie zastanawiałam się zbyt długo, tylko biegiem ruszyłam w jej stronę. Wskoczyłam do środka i zdążyłam się schować na sekundę przed tym, jak kierowca zamknął drzwi i ruszyliśmy. Odetchnęłam z ulgą, bo wolność miałam w zasięgu ręki. Jechaliśmy bardzo długo, aż nagle ciężarówka gwałtownie się zatrzymała.

Kierowca otworzył drzwiczki i zaczął rozładowywać sprzęt. Przez całą podróż nie miałam pojęcia, co wiózł, a teraz zauważyłam, że były to różnego rodzaju narzędzie lekarskie. Gdy upewniłam się, iż nikogo w pobliżu nie ma, wyskoczyłam z ciężarówki i zaczęłam biec przed siebie. Zatrzymałam się dopiero w bezpiecznej odległości i zrozumiałam, że jestem w wileńskiej dzielnicy Naujininkai, a ciężarówka stała obok lokalnej przychodni. Dziwne,

ale mimo braku sił ruszyłam przed siebie spokojnym krokiem. Teraz miałam tylko udać się do domu i się uspokoić. Nieoczekiwanie zauważyłam auto – czarny mercedes, który na pełnym gazie zmierzał w stronę przychodni. Na ucieczkę było za późno, bo moi prześladowcy już mnie zauważyli. Ale nie straciłam zimnej krwi.

Puściłam się biegiem w stronę skrzyżowania. Niestety, musiałam stanąć na czerwonym świetle. Zobaczyłam jak na jezdni obok stanęła ciężarówka… którą uciekłam. Teraz zrozumiałam, że to był podstęp. Kierowca wiedział o mojej obecności w wozie, a doktor Tadeusz sam zaaranżował ten spektakl z moją ucieczką. Nagle zauważyłam dwóch funkcjonariuszy policji. Podbiegłam do nich i zaczęłam bez ładu i składu opowiadać, co mi się wydarzyło. W połowie zdania przerwał mi Tadeusz, który pospiesznie do nas podbiegł. W białym kitlu i z uśmiechem na twarzy sprawiał wrażenie dobrego lekarza. Zaczęłam krzyczeć, aby mnie ratowali. Nie poskutkowało. Policjanci nie zareagowali. Doktor Tadeusz przekazał mnie jednemu z ochroniarzy, po czym wylądowałam w samochodzie. Usłyszałam, jak tłumaczył policjantom, że panicznie boję się zastrzyku. Policjanci się uśmiechnęli i już po chwili wracaliśmy do Laboratorium.

Darłam się w niebogłosy, aż Tadeusz nie wytrzymał i rzeczywiście wstrzyknął mi jakąś substancję. Po minucie zasnęłam. Ale żyłam.

Dzień Dwunasty. Obudziłam się ze strasznym bólem głowy. Rozejrzałam się i spostrzegłam, że siedzę na krześle w tym samym pokoju, w którym odbywała się konwersacja między doktorem Tadeuszem i prezenterem telewizyjnym. Naprzeciwko siedział Albert. Jego uśmiech był uroczy, ale miałam ochotę przyłożyć mu solidnie. I wtedy spojrzałam na stół. Leżał na nim jakiś czarny przedmiot. Rewolwer. A więc mieliśmy zagrać w rosyjską ruletkę. Nie miałam sił, aby otworzyć usta. Albert wziął rewolwer do ręki i wsadził do bębenka jeden nabój, po czym zakręcił obrotowym magazynkiem. Sześć strzałów i tylko jeden celny. Moje ręce zaczęły się pocić i nie byłam w stanie ukryć zdenerwowania.

Albert spokojnie wziął rewolwer do ręki i przyłożył do głowy. Po chwili nacisnął spust. Miałam nadzieję, że padnie martwy, ale nie stało się nic. Dziwne, że na takie zadanie się zgodził, bo w tej grze Tadeusz nie miał żadnego wpływu na ostateczny wynik.

Rzeźby i sztukaterie autorstwa Giovanni Pietro Perettiego, kościół św. Piotra i Pawła na Antokolu (1668-1684 r.), Wilno

Albert położył rewolwer na stół i popchnął go w moją stronę. Tak, prawdopodobnie moja śmierć stała teraz obok mnie, ale nie miałam ochoty na spotkanie z nią. Wzięłam do ręki broń i przyłożyłam do głowy. Zagryzłam wargi, a łzy chciały wydostać się na wolność.

Nagle odezwał się Albert i powiedział, że mój pomysł z pocałunkiem był genialny i jego ojciec docenił moją inwencję twórczą. Oczywiście, wypowiedział te słowa, pokrzepiające mnie na duchu, bo był przekonany, iż za chwilę wygra. Pociągnęłam za spust.

Pudło. Żyję. Z krzywym uśmiechem wysłałam rewolwer w stronę Alberta. Chciałam, by się nim wypchał. Wziął go i przyłożył, tak jak wcześniej, do głowy. Pociągnął za spust i wtedy na chwilę cały mój świat zawirował. Zobaczyłam, jak trysnęła krew i Albert padł na podłogę, a w tym samym czasie ściany rozpadły się na miliony kawałków. Tracąc świadomość, zobaczyłam ludzi z karabinami, którzy biegną i coś krzyczą, poczułam, że jakieś mocne ręce podejmują mnie i gdzieś wynoszą.

***

Obudziłam się w szpitalu na Antokolu, a obok mnie stali zmartwieni rodzice. Niezmiernie się cieszyli, że żyję. Już wiedzieli o wszystkim. Okazało się, iż jeden z policjantów przypomniał sobie moją twarz, bo oglądał odcinek show doktora Tadeusza z moją krwawą potyczką i postanowił sprawdzić, czy rzeczywiście wszystko jest ze mną w porządku. Właściwie dzięki niemu żyję. Nieco później dowiedziałam się, że Albert zginął, strzelając sobie w głowę, a doktor Tadeusz i pozostali twórcy makabrycznego reality show staną przed sądem. Ja zaś pod koniec każdego dnia staję przed lustrem i patrząc w swoje odbicie powtarzam te słowa jak mantrę: Nadal żyję!

■

Faustyna Zawalska urodziła się i mieszka w Wilnie. Ukończyła szkołę muzyczną Broniaus Jonušo w klasach skrzypiec i fortepianu. Studiuje pielęgniarstwo w Kolegium Wileńskim. Jest poetką oraz autorką i wykonawczynią piosenek. Jej utwory były publikowane w prasie wileńskiej. Opowiadanie *Gra ze śmiercią* zostało wyróżnione w konkursie i opublikowane w antologii *Thriller po wileńsku* w 2015 roku. Jest laureatką wielu młodzieżowych konkursów literackich i członkinią zespołu pieśni i tańca *Ojcowizna*.

Alina Lassota

Palma wileńska

W twoim mieszkaniu
z dala od Wilna –
zawieruszyła się palma
z Kaziuka
pośród pamiątek
z wielkiego świata
znalazła skromne miejsce
na mapie –

twego muzeum
teatru życia
fantastyk Lema
harmonii grania
motłochu ludzi –
Boga czekania
Ona jest echem
spod Ostrej Bramy

W 55 dniu samotności

W 55 dniu samotności
wszystko na opak
chmury są smutne
choć niebo się śmieje
gołębie wloką wiosnę
na zbyt ciężkich skrzydłach
nadzieja...
gdzie nadzieja
twarz zasłoniła
błękitnym welonem czasu

***

Stoją skamieniałe cienie miłości.
To ludzie zamienili płomień w popiół.
To ludzie ucinali skrzydła ptakom.
To ludzie zaciskali gardło słowom.
To ludzie pogrzebali klejnot w piachu.

Przeszłość zaprasza

przeszłość zaprasza
do pustego stołu
w wileńskiej kawiarni
skąd odjechała miłość
gdzie połamała skrzydła
przyjaźń
gdzie trzeba włożyć
nową maskę

Alina Lassota urodziła się w Wilnie, gdzie mieszka i tworzy. W rodzinnym mieście ukończyła studia na kierunkach historii i filologii polskiej. W latach 1985–94 była dziennikarką polskojęzycznego dziennika Kurier Wileński. Przez 16 lat była członkinią zespołu pieśni i tańca Wilia. Następnie studiowała w Polsce reżyserię teatralną. Wystawiła w Warszawie i Wilnie liczne spektakle teatralne oraz widowiska poetycko-muzyczne według scenariuszy własnych oraz innych autorów. Uczestniczyła w wielu międzynarodowych festiwalach poezji. Opublikowała trzy zbiory poezji oraz jeden zbiór opowiadań. Jej utwory zostały przełożone na języki czeski, fiński, grecki, litewski, niemiecki, rosyjski i włoski. Były publikowane w prasie codziennej i specjalistycznej w różnych krajach Europy, a także w antologiach.

Współczesny pomnik nagrobny, cmentarz na Rossie, Wilno

Kazimierz
Przybyłko

Ślad Boga

Refleksje turystyczno-pielgrzymkowe do krajów Europy Zachodniej

Nasza dwutygodniowa podróż po Europie Południowo-Zachodniej była zorganizowana przez biuro turystyczne „Avitur" w Lublinie, a jej pilotem, który sprawnie i fachowo oprowadzał nas po różnych ciekawych miejscach był Zdzisław Niedbała, postać w Lublinie znana i szanowana. Plan naszej wycieczki, nazwę ją turystyczno-pielgrzymkową, przewidywał pobyty w Niemczech, Francji, Hiszpanii, Portugalii, Włoszech i Austrii. Oprócz atrakcji turystycznych w poszczególnych krajach, organizator zapewniał pielgrzymkę do znanych i licznie nawiedzanych przez pątników sanktuariów: Lourdes we Francji, Santiago de Compostela w Hiszpanii oraz Fatimy w Portugalii. Świadomość, że odwiedzimy miejsca, w których objawiła się Matka Boża napełniała nas niemal mistycznym uniesieniem. Wiele obiecywaliśmy sobie także w związku z planowanym zwiedzaniem obiektów historycznych i kulturalnych na trasie wycieczki. Jadąc w jedną stronę , udało się nam zwiedzić Lourdes, Santiago de Compostela oraz Fatimę. Wracając południowym szlakiem Europy, dotarliśmy do Portugalii i Hiszpanii, zwiedziliśmy Lizbonę oraz Madryt i Barcelonę, a na końcu szlaku kolejna atrakcja, pobyt we Francji na Lazurowym Wybrzeżu!

Wyruszamy z Lublina w daleką podróż

A wszystko miało swój początek na placu Zamkowym w Lublinie. Wyruszyliśmy o godz. 17.30. Trasą przez Puławy, Radom, Piotrków Trybunalski, Wrocław i Legnicę dotarliśmy do granicy w Zgorzelcu. Po jej przekroczeniu o 3 w nocy dalsza podróż przez Niemcy, mijamy po drodze Görlitz (Gorlice), Bautzen (Budziszyn) i Drezno. Nad ranem o godz. 5.00, w drodze do Chemnitz, zatrzymaliśmy się na stacji paliw na krótki relaks, by następnie udać się w dalszą drogę w kierunku Karl-Marx-Stadt, Zwickau-Ost, Nürnberg (Norymberga) i Stuttgartu. Kolejnym krajem, do którego wjechaliśmy była Francja. Zerkam kolejny raz w przewodnik i przypominam sobie wiadomości znane z setek artykułów, książek, reportaży, filmów fabularnych i dokumentalnych. Powierzchnia terytorium Francji to 551,5 tys. km², ludność 61,4 miliony, ta liczba nie obejmuje jeszcze uchodźców, którzy w ostatnim czasie wdarli się do tego pięknego kraju. Administracyjnie dzieli się na 22 regiony obejmujące 96 departamentów, w tym cztery departamenty zamorskie: Gujanę Francuską, Gwadelupę, Martynikę i Reunion. Na północy i zachodzie kraju przeważają niziny, na południowym wschodzie i południu wyżyny (Masyw Centralny) i góry (Alpy, Pireneje). Klimat jest tu umiarkowany – ciepły, morski; główne rzeki to: Loara, Sekwana i Garonna. A Francja – o czym nie wszyscy pamiętają – jest republiką, na czele stoi prezydent, który ma dużą władzę i rozległe uprawnienia w zakresie władzy wykonawczej i ustawodawczej.

Strasburg – miasto zabytków i polityki

Pierwszym miastem docelowym na naszym szlaku wycieczkowym był Strasburg. Miasto leży na pograniczu Francji z Niemcami (Alzacja) w południowo-wschodniej części kraju i stanowi ośrodek administracyjny departamentu Bas-Rhin położony przy ujściu rzeki Ill do Renu. Liczy ok. 850 tys. mieszkańców, jest porównywany z Krakowem. Jego nazwa potocznie oznacza twierdzę strzegącą dróg i pochodzi z czasów rzymskich, gdy założono

Autor Kazimierz Przybyłko przed gmachem Parlamentu

Lourdes

tu obozowisko dla II Legionu Augusta. Miejsce to miało wówczas znaczenie strategiczne, strzegło bowiem bezpieczeństwa przebiegających w pobliżu szlaków handlowych. W IV wieku zostało erygowane biskupstwo, a w 1621 roku został utworzony uniwersytet. Strasburg, jako miasto pogranicza, kilka razy zmieniał przynależność państwową. W 1871 roku, po wojnie francusko-pruskiej, został włączony do Niemiec, aby 1918 roku powrócić do Francji. W 1919 roku powstała tu Liga Narodów, a 1945 roku Organizacja Narodów Zjednoczonych (ONZ). W 1951 roku powołano w Strasburgu Europejską Wspólnotę Gospodarczą (EWG), a 1979 roku utworzony został Parlament Europejski z siedzibą w Brukseli. Od 1998 roku obrady Parlamentu Europejskiego odbywają się również w Strasburgu. Niestety, nasz pobyt w tym mieście przypadł na dzień świąteczny i dlatego nie było możliwe zwiedzanie gmachu Parlamentu, choć i z zewnątrz robi duże wrażenie. Strasburg jest dziś trzecią stolicą zjednoczonej Europy, gdzie mają siedzibę: Parlament Europejski, Rada Europy i Europejski Trybunał Praw Człowieka. Miasto jest wpisane na listę UNESCO.

Znajduje się tu wiele zabytków architektury, z dużą ilością kościołów (100 świątyń); z tego powodu miasto jest nazywane małą Wenecją. Na plan pierwszy wysuwa się Katedra Marii Panny (Cathédrale Notre-Dame) wznosząca się w sercu miasta. Dla Polaków ma ona szczególne znaczenie – tutaj odbył się w 1725 roku ślub króla francuskiego Ludwika XV z Marią Leszczyńską, córką króla Polski Stanisława Leszczyńskiego. Katedra została zbudowana w XI–XV wieku w stylu romańsko-gotyckim i jest dziełem mistrza Erwina i jego potomków. Jest kościołem trójnawowym z transeptem i 2-wieżową fasadą. Ciekawostkę architektoniczną stanowi północna wieża (jedynie skończona), której wysokość wynosi 142 m. Wnętrze katedry zdobi kilkadziesiąt witraży, głównie z XII i XIV wieku, przedstawiających Apostołów, a także wspaniałe elementy architektury sakralnej – kaplice. W jednej z nich uczestniczyliśmy we Mszy św. odprawianej przez naszego kapłana o. Waldemara OP. Fasada katedry jest idealnym przykładem gotyku. Jest podzielona na trzy części, a każda z nich zawiera portal – czyli ozdobne drzwi, wokół których schodzące się u szczytu płaskorzeźby postaci biblijnych tworzą tzw. tympanon (trójkątna przestrzeń nad drzwiami). Nad głównym portalem mieści się wspaniała, zdobiona rozeta z finezyjnym witrażem. Wnętrza gotyckich katedr są mroczne, tak i tutaj tylko z witraży sączy się tajemnicze światło. Czasem, gdy mocniej zaświeci słońce, postacie skomponowane z kolorowego szkła wyglądają jakby się poruszały. W wystroju katedry zwracają również uwagę organy, ambona, chrzcielnica oraz freski w apsydzie. Na obrazie po lewej stronie znajduje się postać Mikołaja Kopernika oraz zegar astronomiczny z końca XVI wieku, wysoki na 18 m. Pokazuje on dokładną godzinę i datę wraz z dniem tygodnia, ale też fazy księżyca i znaki zodiaku.

Po zwiedzaniu centrum miasta i uczestnictwie we Mszy św. w Bazylice Notre-Dame, spożyliśmy obiad i ruszyliśmy w dalszą drogę w kierunku Lourdes, by po drodze zatrzymać się na pierwszy nocleg w małym hotelu Balladins. Po →

skromnej kolacji, zmęczeni podróżą, nie zważając na hałas dochodzący z pobliskiego lotniska, szybko udaliśmy się na spoczynek. W następnym dniu, z uwagi na dużą odległość do pokonania, zjedliśmy tylko suchy prowiant i wyjechaliśmy o godz. 6.00. Jednak te wszystkie niewygody miał zrekompensować pobyt w przepięknie położonym sanktuarium w Lourdes.

Sanktuarium maryjne w Lourdes

Lourdes, to miasto i sanktuarium maryjne w południowo-zachodniej Francji (dep. Hautes-Pyrénées) w diecezji Tarbes-Lourdes, usytuowane u podnóża Pirenejów nad rzeką Gave de Pau. W 1858 roku Bernadetta Soubirous doświadczyła w Grocie Massabielle 18 objawień Najświętszej Maryi Panny. Matka Boża ukazywała się z różańcem, prosząc o modlitwę, pokutę i nawrócenie grzeszników. W grocie wytrysnęło źródełko o cudownych właściwościach leczniczych. Na tym miejscu został wybudowany 3-poziomowy kompleks sakralny, który tworzą: świątynia wykuta w skale oraz dwa poziomy bazyliki (L'Immaculata Conception, zw. Bazyliką Górną). A poniżej u podnóża skały Massabielle znajduje się bazylika Notre-Dame du Rosaire w stylu bizantyńskim. W 1858 roku miejscowy biskup – B. S. Laurence, powołał komisję kościelną w celu przesłuchania świadków objawień oraz zbadanie groty i wody ze źródła. W 1862 roku tenże biskup ogłosił autentyczność objawień. Papież Leon XIII w roku 1891 zatwierdził kult prowincjonalny Matki Bożej, a 1907 roku papież Pius X ustanowił święto dla całego Kościoła. Kolejny papież, Pius XII, w 1957 roku potwierdził, że Kościół uznał za cudowne uzdrowienie 64 osób, a Międzynarodowy Komitet Lekarski potwierdził jako nadzwyczajne uzdrowienie 400 chorych. Nadmienić trzeba, że od kwietnia do października codziennie odbywają się tu procesje z lampionami z udziałem chorych na wózkach inwalidzkich, połączone z odmawianiem różańca i śpiewaniem w różnych językach pieśni Ave Maryja, co stanowi wielkie przeżycie religijne. Również i ja w tej międzynarodowej procesji aktywnie uczestniczyłem i wodę z cudownego źródła piłem.

Po dotarciu do Lourdes w godzinach popołudniowych zostaliśmy zakwaterowani w miłym hotelu z widokiem na sanktuarium. Po kolacji skierowaliśmy się do Groty objawień, aby tam się pomodlić i napić się wody ze źródła Bernadetty. Wróciliśmy do hotelu późno, po drodze oglądaliśmy rozświetlone miasto, to niezapomniane wrażenie. Następnego dnia rześcy na ciele i duchu wyruszyliśmy zwiedzać miasto, zwłaszcza Grotę objawień i młyn Boly – dom rodzinny Bernadetty.

Przed modlitwami – trochę ku ochłodzie,
uzdrawiająca kąpiel w świętej wodzie,
by z rześkim ciałem i zbożnym serc biciem,
stanąć przed Matki Najświętszej obliczem.

Lourdes, niegdyś wioska cicha i nieznana, dziś przygarnia rzesze pielgrzymów od samego rana. Tu się spełniają najskrytsze marzenia, mają miejsce liczne cudowne uzdrowienia, których nie potrafi wyjaśnić współczesna medycyna. W bazylice podczas nabożeństwa modlimy się szczerze w naszych i proszonych intencjach, które mają przynieść nam i innym pokój i dobro. Wieczorem, z licznymi pielgrzymami, uczestniczymy w procesji z lampionami i z różańcem w ręku wypraszamy łaskę dla naszego domu. Prosząc o zdrowie, o pokój serc naszych i ład moralny, który stanowi przecież podstawę naszego działania. Na wielkim placu wśród wielu pątników odmawiamy różaniec w wielu językach. Wszyscy są tu dla siebie bliscy, mimo różnych języków i koloru skóry łączy nas wspólny cel podróży – pielgrzymowanie oraz spotkanie z Matką Bożą i usłyszenie jej orędzia dla świata. W tłumie pielgrzymów z różnych stron świata widać wyraźnie rozmodlone twarze, pełne próśb i zawierzenia. To do Lourdes, obok Guadalupe w Meksyku, przybywa najwięcej pątników w świecie, odnawiają swoje przyrzeczenia i proszą o łaskę odnowy duchowej. Źródło wody w grocie dla jednych nie ma właściwości leczniczych i jest traktowane jako symbol pobożności. Dla innych ta woda stała się przyczyną cudownego odzyskania zdrowia.

Po tych głębokich przeżyciach religijnych, następnego dnia po śniadaniu w hotelu Villa Létoile w Lourdes, udaliśmy się w dalszą trasę pielgrzymkową na Półwysep Iberyjski do Santiago de Compostela w Hiszpanii.

Santiago de Compostela – sanktuarium św. Jakuba

Hiszpania (España) – Królestwo Hiszpanii, Reino de España. Państwo w płd.-zach. Europie nad Oceanem Atlantyckim i Morzem Śródziemnym – czytam w moim przewodniku. Terytorium Hiszpanii zajmuje ok. 85% pow. Półwyspu Iberyjskiego, obejmuje również Baleary i Wyspy Kanaryjskie oraz miasta Ceuta i Melilla w Afryce Północnej. Graniczy: z Francją (656 km), Andorą (64), Portugalią (1292), Gibraltarem (1 km) i Marokiem (19 km). Powierzchnia 506 km², ludność 41,1 miliona mieszkańców. Obowiązującym ustrojem jest monarchia konstytucyjna, w związku z czym głową państwa jest król.

Santiago de Compostela znajduje się w północno-zachodniej części kraju (Galicja) w prowincji La Coruña nad Oceanem Atlantyckim. Jest to miasto uniwersyteckie (uniwersytet został założony w 1501 roku), stolica arcybiskupstwa i wielkie centrum pielgrzymkowe. To także ośrodek

przemysłowy i handlowy oraz kulturalny. Miasto przyciąga licznych turystów i pątników; pod względem religijnym wymieniane jest jako trzecie po Rzymie i Jerozolimie. Dotarliśmy tam, przemieszczając się wzdłuż Zatoki Biskajskiej. Nasz autokar marki „Volvo" śmiało pędził, pokonując liczne zakręty i groźnie wyglądające serpentyny. Jechaliśmy wiaduktami podpartymi żelbetowymi podporami; w dole znajdowały się głębokie jary, a w oddali małe, kolorowe chatki. Na naszej drodze były także liczne, przepastne tunele. Zbudowane są one w naturalnej skale i mają często kilka kilometrów długości. Są oświetlone i jednokierunkowe. Tunelami wjeżdżamy w środek góry, by po kilku kilometrach jazdy wyjechać z drugiej strony. Nikt nie potrafił mi udzielić informacji, jak była podtrzymywana nasza wspaniała autostrada, która biegła na dużej wysokości nad przepastnym szerokim, głębokim jarem. Patrzyłem zdumiony, bowiem podpory oko nie widziało. Jestem gotów uznać ten budowlany wyczyn jako cud myśli współczesnej techniki drogowej. Budowa tych autostrad w tak trudnym terenie, to „okno" dla rozwoju nie tylko przemysłu, ale całej infrastruktury i chluba Zachodu.

Jadąc do sanktuarium, pokonaliśmy olbrzymią trasę liczącą 860 km. By dotrzeć do Santiago w regionie Galicja, trzeba przeciąć wszerz północną Hiszpanię, pędząc na zachód nad brzeg Atlantyku i mijając po drodze Asturię. Galicja to wyjątkowy region Hiszpanii, posiada swoją autonomię uzyskaną na mocy przeprowadzonego w 1980 roku referendum. W tym celu powołano lokalne władze wykonawcze (Xunta de Galicia – Rada Galicji) i parlament galicyjski, obradujące w La Coruña. Obok języka hiszpańskiego mówi się tu także w języku galicyjskim. W przeszłości kraina stanowiła kraniec Imperium Rzymskiego nad Oceanem Atlantyckim i Zatoką Biskajską, graniczyła od zachodu z północną Afryką i Morzem Śródziemnym, Morzem Tyrreńskim i Morzem Adriatyckim oraz od północy z Alpami. Galicja obejmuje swym zasięgiem tereny prowincji: La Coruña, Lugo, Ponteverda i Odense. Ma powierzchnię 29,429 km² i około 2,8 mln mieszkańców.

Po dotarciu do Santiago de Compostela czekał na nas czterogwiazdkowy hotel „Congreso", gdzie przywitano nas kolacją i uraczono wyśmienitym winem. Miasto – tu znów sięgam do przewodnika – zostało zasiedlone przez Celtów w X wieku przed Chr., a w II zostało zdobyte przez Rzymian. Następnie pod koniec V wieku zdobyli je Szwedzi i później Wizygoci. Na początku VIII wieku znalazło się pod panowaniem Arabów i było stolicą Księstwa. Od XI wieku wchodziło w skład Królestwa Asturii, a od 1230 roku Królestwa Kastylii. Miasto zostało wpisane przez UNESCO na listę Światowego Dziedzictwa.

Posiada stare zabytki, a głównym jest ogromna katedra barokowa z XI–XII wieku – Katedra Santiago, przebudowana w XVII–XVIII wieku, z bogato rzeźbionym

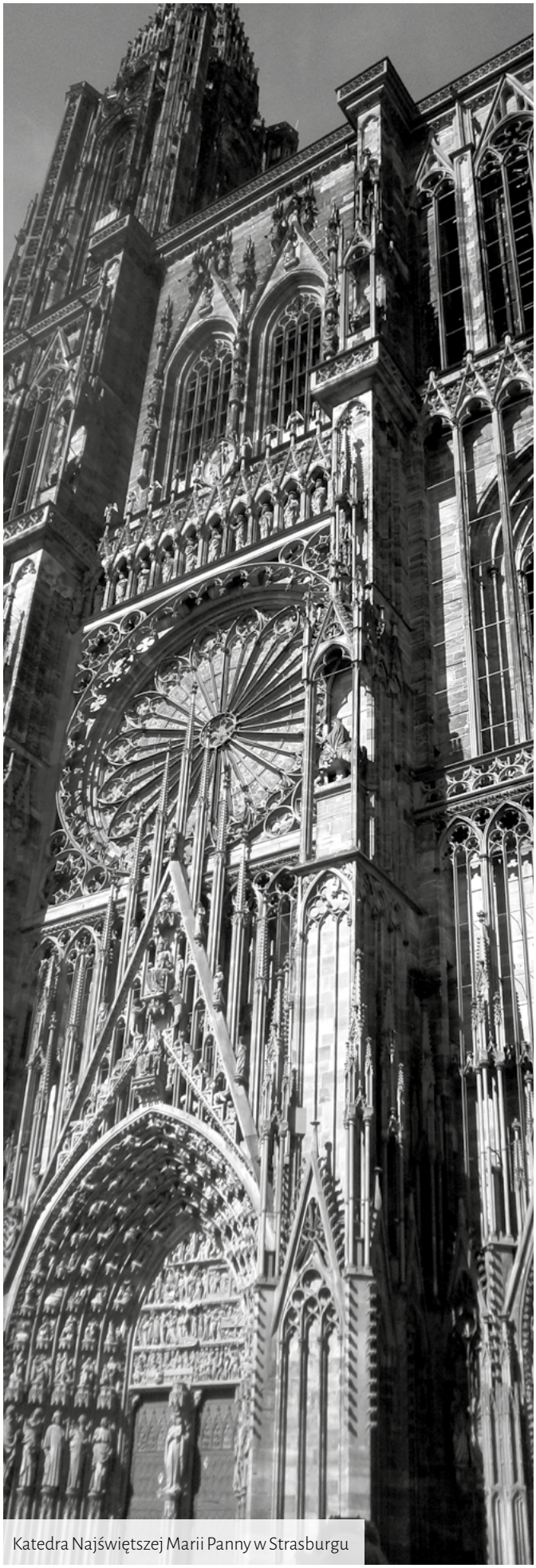

Katedra Najświętszej Marii Panny w Strasburgu

portalem (Portico de la Gloria) oraz wspaniałym wyposażeniem wnętrza, w którym dominuje romańska krypta. Katedra jest 3-nawowa, z 3-nawowym transeptem i kolebkowym sklepieniem na wysokości 32 m. Jest tu także masywna, granitowa wieża zegarowa o wysokości 72 m, w której mieści się dzwon o średnicy 2,5 m. Jest słyszany ponoć z odległości 20 km. Charakterystyczne są również ułożone poziomo organy. Za głównym ołtarzem bazyliki wystawione są relikwie św. Jakuba. W bazylice znajduje się też wielki trybularz „Botufameiro" (gal. – wydzielający dym), którego uruchomienie wymaga pracy związanej z pociąganiem za sznury dla ośmiu mężczyzn. Do budowli przylega pałac biskupi, klasztor z pięknym wirydarzem (dziś Muzeum de Arte Sacra) oraz ułożone w wieniec kapliczki.

Sanktuarium jest celem licznych pielgrzymek; ma to związek z kultem św. Jakuba Apostoła, zwanego Większym lub Starszym. Św. Jakub jako misjonarz odwiedzał Hiszpanię dwukrotnie w celach ewangelizacyjnych. Zginął męczeńską śmiercią z rozkazu Heroda. Ciało męczennika do Galicji przywieźli jego uczniowie. W 1. połowie IX wieku (813 r.) bp Irii Flavii Teodomir odkrył grób Apostoła (wg tradycji miał być on usytuowany w miejscu wskazanym przez gwiazdy, co dało początek nazwie miasta, zwanym locus apostolicus). Święty został otoczony kultem, który rozszerzając się spowodował napływ pielgrzymów. Rozwój ruchu pątniczego nastąpił pod koniec IX wieku. W XII wieku papież Kalikst II nadał przywilej udzielania pielgrzymom odpustu zupełnego w uroczystość św. Jakuba Apostoła. Tu przybywają pątnicy z całej Europy i świata, głównie z Francji, Niemiec, a także i Polski. Papież Jan Paweł II odwiedzał to sanktuarium dwukrotnie w 1982 i 1989 roku, a Benedykt XVI odbył pielgrzymkę w 2010 roku. Te odwiedziny papieskie są potwierdzone tablicą ze zdjęciami Jana Pawła II i Benedykta XVI umieszczoną we wnętrzu bazyliki.

Kończąc pielgrzymkę w Santiago de Compostela udaliśmy się następnie na południe Europy do słonecznej Portugalii, aby w sanktuarium w cudownej Fatimie prosić o łaski i zdrowie dla naszej rodziny.

Jednak jak na pielgrzymów przystało rasowych
od Mszy św. w Katedrze święcimy dzień nowy;
ogrom Katedry zdumiewa, zachwyca,
gdzie tylko dotrze ciekawa źrenica…
Zdobne kolumny, kaplice, ołtarze
rzeźby i freski, stubarwne witraże,
przez które światło zaledwie przenika,
jak do eremu mnicha – pustelnika…
Dziś Compostela w całym świecie słynie –
trzeci ośrodek po Rzymie i Jerozolimie.

Jesteśmy w Portugalii

Portugalia, rzec można: kraj niewielki. Powierzchnia wynosi 92,1 tys. km² zamieszkiwanych przez 10,6 mln mieszkańców. Wiadomo, że leży na Półwyspie Iberyjskim, niewielu jednak wie, że do Portugalii należą także wyspy: Azory i Madera (regiony autonomiczne). Kraj ma ustrój republiki konstytucyjnej, a głową państwa jest prezydent wspierany przez system rządów parlamentarno-gabinetowych. Administracyjnie dzieli się na 7 regionów i 22 dystrykty; w praktyce podział ten jest oparty na 11 prowincjach historycznych.

Nasze niezawodne „Volvo" pędziło na południe. Trasa nie była tym razem uciążliwa, gdyż liczyła tylko ponad 400 kilometrów. Mijaliśmy po drodze góry, pagórki pokryte wyschniętą trawą, przejeżdżaliśmy przez tunele i przepastne jary. Czasami widać było uprawne pola – winnice czy cytrusowe sady, które są zraszane wodami kaskady. Mimo panujących tutaj upałów i wielkiej spiekoty dostrzegaliśmy, że między autostradami są pięknie utrzymane szpalery kwitnących krzewów. Wzdłuż trasy mogliśmy zobaczyć wyschnięte koryta rzek górskich i wszędzie szare o tej porze roku pola. Pokonując trasy takiego krajobrazu, zbliżaliśmy się do Fatimy.

Fatima – objawienie Matki Bożej w czasie I wojny światowej

Fatima to jedno z największych centrów pielgrzymkowych świata chrześcijańskiego. To miasto spotkań wielu pielgrzymów, które od ponad 100 lat przyciąga wierzących ludzi z całego świata i jest porównywane z Lourdes, Santiago de Compostela czy Częstochową. Jest miejscem wyjątkowo cichym. Ogromny plac między dwiema bazylikami jest przez większość doby niemal pusty. Z łatwością można tu o tej porze roku znaleźć spokój, miejsce na modlitwę i rozmyślania. Można powiedzieć, że wczesną wiosną Fatima żyje własnym, spokojnym życiem, przygotowując się na letni napływ wiernych. I chociaż ta cisza, bezchmurne niebo i portugalskie słońce sprzyjają raczej odprężeniu, to jednak nie sposób nie czuć wagi wydarzeń, które rozegrały się w tym miejscu, i które do dziś przyciągają do tutejszego sanktuarium wiernych z wielu narodów, języków i kultur. Zapewne to właśnie powszechna znajomość fatimskiego fenomenu i uniwersalność wynoszonych stąd przeżyć sprawia, że w naturalny sposób miasto staje się areną wielokulturowych spotkań religijnych. Leży w środkowej Portugalii (okręg Santarém) w diecezji Leiria. Jego nazwa pochodzi prawdopodobnie z okresów podbojów arabskich Półwyspu Iberyjskiego i jest zaczerpnięta od imienia córki Mahometa, Fatimy. Przybywa tu tysiące wiernych szczególnie w dniach 12–13 maja oraz 12–13

października – w rocznicę objawień. Jeszcze 100 lat temu nikt nie przypuszczał, że ta skromna nadmorska miejscowość będzie rocznie gościć około 4 mln pielgrzymów.

13 maja 1917 roku na wzgórzu Cova da Iria (Dolina Pokoju), rodzeństwu Marto: 7-letniej Hiacyncie i 9-letniemu Franciszkowi oraz 10-letniej kuzynce Luizie dos Santos (która później wstąpiła do zakonu karmelitanek w Coimbrze, gdzie otrzymała imię zakonne Łucja), ukazała się po raz pierwszy Matka Boża. Poleciła im modlitwę i pokutę za grzeszników, a dla uproszenia pokoju na świecie nabożeństwo do Niepokalanego Serca Maryi. Zachęcała do odmawiania różańca i nakłaniała ludzkość do nawrócenia, gdyż odejście od Chrystusa jest przyczyną nieszczęść i nowych wojen. Nakazała dzieciom, aby co miesiąc przychodziły w to miejsce o tej samej porze. Po pół roku tych widzeń miała wyjawić, kim jest. Głos Maryi słyszała tylko Łucja. Ostatnie (szóste) objawienie miało miejsce 13 października, a jego świadkami było 70 tysięcy osób. Wydarzył się wówczas, zapowiedziany przez Maryję „cud słońca", który trwał ok. 10 min. Całą noc przed tym wydarzeniem padał rzęsisty deszcz, więc zebrani pielgrzymi byli całkowicie przemoczeni. Nazajutrz, nagle spośród chmur ukazało się słońce, które zataczało koła, aby na koniec z wielkim impetem skierować się w stronę zebranych ludzi. Zgromadzeni, którzy jeszcze przed chwilą byli przemoczeni, zostali zupełnie osuszeni.

W okresie objawień Matki Bożej niektórzy z chorych, cierpiący na rozmaite schorzenia, w sposób cudowny odzyskali zdrowie (wzrok, mowę czy sprawność kończyn). Matkę Bożą widziały tylko dzieci, a Łucja jako jedyna usłyszała trzy tajemnice, nazwane później fatimskimi. Pierwszą z nich była wiadomość o zakończeniu I wojny, a druga zapowiadała wybuch rewolucji październikowej. Trzecią tajemnicę Stolica Apostolska trzymała w tajemnicy aż do maja 2000 roku. Dotyczyła ona zamachu na papieża; Łucja napisała na kartce: „Ubrany na biało biskup pada na ziemię po strzale z broni". Oczywiście chodziło o zamach na Jana Pawła II w 1981 roku. Papież był później trzykrotnie w Fatimie (12–13 V 1982 r., 12–13 V 1991 r. oraz 12–13 V 2000 r.), aby podziękować Matce Bożej Fatimskiej za ocalenie życia. Podczas tych pielgrzymek towarzyszyła papieżowi Łucja (dożyła późnej starości, zmarła 13 II 2005 roku mając 98 lat). Do dziś możemy tu oglądać umieszczoną w koronie na głowie Maryi kulę, która raniła Ojca Świętego na placu Świętego Piotra w Rzymie.

Już od 1917 roku przybywali w to miejsce pątnicy. Biskup José Alvaes Correia da Silva wydał orzeczenie o wiarygodności objawień (ogłosił także 13 IX 1939 r. nabożeństwo pierwszych sobót miesiąca), zaś w 1930 roku Stolica Apostolska zezwoliła na kult, udzielając odpustów dla pątników odwiedzających Fatimę. Papież Paweł VI potwierdził wiarygodność objawień w wydanej adhortacji *Signum magnum* (13 V 1967r.) i udał się do Fatimy z pielgrzymką dla uproszenia pokoju w Kościele i świecie.

Pielgrzymi z Lublina w Lourdes. W środku Kazimierz Przybyłko

Centralnym miejscem sanktuarium jest bazylika, duża świątynia wzniesiona z jasnego marmuru w stylu neobarokowym. Przed nią znajduje się plac Różańcowy. Rozpościera się on na dużej, utwardzonej powierzchni, ma 130 m długości i 80 m szerokości (ok. 15 ha; jest dwukrotnie większy od placu św. Piotra w Rzymie) i jest otoczony murkiem z kolumnami. Można tu pomieścić jednorazowo – jak podają źródła – kilkadziesiąt tysięcy wiernych. Na placu, który od bazyliki wznosi się w górę, stoi skromna kapliczka z figurą Matki Boskiej. Do kapliczki wiedzie poprzez betonowy plac granitowa ścieżka o długości 130 m. Po tej ścieżce wielu wiernych zdąża na kolanach, w tej był również uczestnik naszej wyprawy, Zdzisław.

Na miejscu w sanktuarium były tłumy wiernych z bliskich i dalekich krajów, w tym również z Polski. Spotkaliśmy kilku młodych księży – neoprezbiterów z koszalińskiej diecezji, którzy swe pierwsze kroki skierowali do Fatimy, aby podziękować Bogu i prosić o łaski w kapłańskiej pracy. Nasza grupa przeszła na plac Różańcowy do kaplicy, którą nawiedzają tysiące wiernych. W środku przechowywane jest drzewo, na którym w 1917 roku dzieci ujrzały Madonnę. Przebywając tutaj odczuwa się podniosłość tego miejsca, miło też usłyszeć z oddali dobrze znaną pieśń *My chcemy Boga*.

Panorama Monako

Po tych modlitwach i wielu wzruszeniach żegnamy sanktuarium w niezwykłej Fatimie. Przed nami droga wzdłuż oceanu, kierowca stara się, aby zdążyć przed nocą do hotelu „Soleil Peniche". Tam czekała na nas obiadokolacja i zakwaterowanie w 2-osobowych pokojach. Następny dzień zaczęliśmy od odpoczynku nad wielkim Oceanem Atlantyckim. Mimo pogody i uciążliwych upałów, wody oceanu nie zachęcały do kąpieli, gdyż ich temperatura była niska i dlatego turyści ograniczali się do spacerów i polegiwania na plaży. Był to czas relaksu, spokoju i wytchnienia, czas na refleksję i zastanowienie nad naszym życiem i postępowaniem, nad ogromem świata i marnością życia, naszym przemijaniem. Odczułem nagle potrzebę obmycia się oceaniczną wodą. Zimna woda mi niestraszna, zdecydowałem się więc na kąpiel, nie odstraszyły mnie też wysokie fale ani słoność wód Atlantyku. Wyszedłem wysmagany wodą, ale niespotykanie odświeżony, rzec można: uduchowiony.

Tak nam upłynął cały dzień, na odpoczynku, spacerach wzdłuż morza i po mieście, nabieraliśmy sił do dalszej podróży; a w planie były Lizbona oraz najdalszy zakątek Europy – Cabo da Roca nad Oceanem Atlantyckim.

Droga powrotna. Zwiedzanie Lizbony

W drodze powrotnej wstąpiliśmy do Lizbony, która jest największym miastem i portem Portugalii. Wyruszali z niego w poszukiwaniu nowego świata m.in.: Henryk Żeglarz, Vasco da Gama oraz Ferdynand Magellan. Inni odkrywcy i sławni rodacy są uwiecznieni na licznych pomnikach z alabastru rozstawionych na wielu placach i skwerach Lizbony. Miasto, położone na zboczach, jest stosunkowo nieduże, liczy około 600 tysięcy mieszkańców. Charakterystyczne są wąskie, strome i kręte uliczki, po których jeżdżą żółte tramwaje. Znajdują się tu liczne kościoły i zabytkowe budowle – zamki, wieże oraz okazały most na rzece Tag, zwany don Vasco da Gama, ma siedemnaście kilometrów i jest widoczny w całości z pobliskiego pomnika-wieży.

Pożegnaliśmy lizbońskie zabytki, pomniki i ulice, udaliśmy się w dalszą drogę liczącą 600 km – do Madrytu. Wyjechaliśmy świtem, aby do stolicy Hiszpanii trafić jak najszybciej. Tam, zgodnie z programem, mieliśmy zwiedzić szereg kościołów i innych zabytków kultury i architektury.

Luksusowy Madryt

Madryt – stolica Hiszpanii, położony jest w środkowej części kraju u podnóża Wyżyny Kastylijskiej nad rzeką Manzanares. Ma powierzchnię 607 km² i liczy 3,28 mln ludności. Jest też stolicą regionu autonomicznego, którego powierzchnia ma 7,993 km². To jedno z największych miast Unii Europejskiej, po Paryżu i Londynie. Miasto jest siedzibą rządu, parlamentu, ministerstw, agencji i innych przedstawicielstw międzynarodowych oraz rezydencji króla Hiszpanii. Tu mieści się sławne Muzeum Prado, Muzeum Narodowe, Centrum sztuki Królowej Zofii i wiele innych, które są najczęściej odwiedzane w świecie. Madryt znajduje się na 10 miejscu pod względem najwyższej jakości życia. W przeszłości przez siedem wieków rządzili nim Maurowie, po których pozostały pałace, świątynie, fontanny i place, z których kraj jest dzisiaj dumny. Jest w tym mieście jeszcze wiele innych wspaniałości: budowli, ogrodów, pomników, kościołów, muzeów oraz płótna Prado, których nie ujrzeć nawet nie wypada. Tych wspaniałości sam Paryż może pozazdrościć. Wiele z tych dóbr kultury było dla nas niedostępnych, gdyż program zwiedzania był bardzo napięty. Dlatego część tych obiektów

oglądaliśmy jedynie z okien autokaru. Żałując niewykorzystanej szansy, obiecywaliśmy sobie, że tu wrócimy.

Barcelona z pięknymi katedrami

Trudno o tym się mówi, ale Madryt zwiedziliśmy pobieżnie. Czas naglił, trzeba było ruszać dalej. Czekała na nas Barcelona – stolica Katalonii. Nasza trasa była niezwykle urozmaicona. Z jednej strony Morze Śródziemne, z drugiej góry, zaś w rozległych dolinach, pola, łąki, stawy oraz winorośla, z czego Katalonia słynie.

Tu również program zwiedzania był napięty: kościoły, zamki, pałace – w tym bazylika Familia Sagrada oraz słynna katedra Sagrada Eulalia. Jest też w programie „Dom bez kantów" sławnego architekta – Antonio Gaudiego. Godne uwagi są słynne ulice – ramble, pomnik Kolumba, kilka muzeów oraz Teatro Gran del Liceo, gdzie śpiewa hiszpański artysta, tenor o światowej sławie – don Jose Carreras. Jedną z atrakcji jest zwiedzanie słynnego stadionu drużyny FC Barcelona – Camp Nou. Na koniec w dużym pośpiechu zwiedziliśmy zatłoczoną katedrę – Familia Sagrada, która posiada dwanaście wież. Po wyczerpującym dniu udaliśmy się do przyjemnego hotelu w Calelli Mont Rosa, tam po kolacji i Mszy św. wieczornej udaliśmy się na spoczynek.

Choć nasze plany turystyczne w Hiszpanii nie zostały w pełni zrealizowane, to jednak w pamięci naszej pozostaje wiele ciepłych wspomnień, ciekawych przeżyć i doznań.

Czas już pożegnać dziś hiszpańskie progi
i do powrotnej szykować się drogi.
Jechać będziemy przez gaje i liczne winnice,
by znowu przekroczyć francuską granicę!

Nikt nas nie pyta o paszport, o wizę czy inne dowody przekraczając granice w państwach Europy.

To kolejna fraza autorstwa naszego autokarowego poety.

Znowu we Francji. Lazurowe Wybrzeże

I jak zauważył poeta: „jadąc przez gaje i liczne winnice znowu przekroczyliśmy francuską granicę". Strzeliste tuje i cieniste pinie rosnące wzdłuż autostrad przywodzą na myśl nieruchomo stojących strażników, którzy wskazują drogę do francuskiej granicy. Droga ta prowadzi nas do Prowansji – stolicy róż i perfumerii. Tu znów sięgnę po słowa poety:

Jednak nie zatrzymujemy się na postój,
lecz pędzimy nad Morze Śródziemne na
Lazurowe Wybrzeże,
które z francuska „Cote d'Azur" się zowie,
jednak „Riwierą" zwą je Anglikowie,
zaś by Francuzów zaspokoić gusta
– mówią, że jest to „Riwiera francuska.

Można też wyróżnić tę część, która leży na italiańskim wybrzeżu oraz część hiszpańską, która nie pretenduje do nazwy „Riwiery". Hiszpańskie wybrzeże zwie się „Costa Brava" i „Costa Sol" (Brzeg Słońca). Wszystkie je łączy pas zieleni – kwitnącej natury oraz lazurowy widok Morza Śródziemnego.

Nasz autokar zatrzymuje się pod pałacem festiwali filmowych w Cannes. Ten pałac wielu widziało w telewizji, podobnie jak rozciągnięty przed nim czerwony dywan, na którym pojawiają się gwiazdy światowego kina. Tam też przeżywamy niezwykłą chwilę. Nadarza się okazja, by niczym filmowe gwiazdy, ruszyć po purpurowym dywanie! Nasze wycieczkowe „gwiazdy" natychmiast ruszają na dywan, świetnie się nam poczuły, chętnie pozują, a nasze aparaty cyfrowe wszystko rejestrują. Chciałoby się tu dłużej gościć, to jednak czeka nas dalsza droga – Nicea i San Remo nad Morzem Liguryjskim. „Kwitnące białe juki wzdłuż alei żegnały nas w drodze do Nicei, gdzie w morze biegnie długi pas startowy" – to też słowa Bogdana Walasa. Tu nasza grupa spaceruje dumnie po alejach – promenadach nadmorskich. Widzimy wędkarzy siedzących na ogromnych głazach, a nad nimi stada skrzeczących mew. Wzdłuż promenad znajduje się mnóstwo wytwornych i drogich hoteli, które zapraszają tu zasobnych gości. Niedaleko stąd jest Księstwo Monaco słynące z kasyn i rajdu formuły 1.

Monako – maleńkie księstwo

Monako to państwo-miasto w południowej Europie nad Morzem Śródziemnym, na Wybrzeżu Lazurowym. Ma powierzchnię ok 2 km² i niewielu mieszkańców, bo zaledwie 33 tysiące. Dominującym wyznaniem jest katolicyzm (90%). Posiada ustrój monarchii konstytucyjnej. Istnieją tu 4 dzielnice: Fantvielle, La Condemine, Monaco Ville, Monte Carlo. Językiem urzędowym jest francuski, zaś jednostką monetarna euro. W Monako mają swoje siedziby zagraniczne firmy i banki (w liczbie ok. 50). Rozwija się turystyka, jest tu port jachtowy. Znane są rajdy formuły F-1 na torze w Monte Carlo. Produkuje się tu sprzęt specjalistyczny, są zakłady: farmaceutyczne, kosmetyczne, odzieżowe i jubilerskie. Linia kolejowa o długości 1600 m zlokalizowana jest całkowicie w tunelu podziemnym. Niedaleko przebiega autostrada Nicea – Genua. PKB wynosi 27 tys. dolarów USA na 1 mieszkańca. →

Uczestnicy pielgrzymki w Wiedniu

Żegnamy Niceę oraz Monte Carlo, jadąc wzdłuż morza – nadmorskiej przyrody, aby zdążyć przed nocą do Hotelu „Belvedere" w San Remo, gdzie po długiej podróży i licznych atrakcjach spożywamy obiadokolację. Przedostatnią noc przed powrotem do Ojczyzny spędziliśmy w Italii i mimo wielu przeżyć, będąc jakby w raju, to jednak radośnie wracamy do domu. Po drodze mijamy wielki Mediolan (1,3 mln mieszkańców), stolicę Lombardii oraz jego wspaniałe zabytki.

Słynną katedrę – gotyk, co swe smukłe wieże
ku niebu wystrzela,
a na placu pomnik „Rex Emanuela".

To słowa poety do których dorzucę notkę z przewodnika: „Jest tam również wielki postument Verdiego ze stali, a naprzeciwko gmach opery „La Scala", Civico Museo, trzy uniwersytety, politechnika i inne uczelnie oraz inne wspaniałe obiekty kultury i sztuki".

Następnego dnia zaliczyliśmy 740 km, jadąc autostradą przez Włochy do Austrii. Kierowca autokaru nie zwalniał, z okien patrzyliśmy najpierw na górzysty krajobraz, po paru godzinach autostrada wiodła rozległą doliną, która sprawiała wrażenie już swojskiej krainy. Tu spotkaliśmy obfitość lasów, sadów, łąk i krzewów, zieloność zbliżoną do polskiego krajobrazu. Wszędzie widać uprawy pomidorów, pola kukurydzy, winnice, cytrusowe sady; mnogość owoców i jarzyn.

Przejazd przez Austrię

Wkrótce minęliśmy włosko-austriacką granicę i wjechaliśmy w piękny alpejski kraj, którego roślinność jest podobna do tej na ziemi włoskiej, mimo górskiego klimatu. Każdy skrawek górskiej ziemi jest tu dobrze zagospodarowany. Wzdłuż doliny płynie skromna rzeczka, obok biegnie autostrada, która dla jej budowniczych była nie lada wyczynem. Z drugiej strony rzeki, po zboczach i w tunelach ciągnie się szlak kolejowy. Widok jest niezwykły, podziwiamy ludzi, którzy w takim warunkach pracują na swoich poletkach.

Dotarliśmy przed nocą do hotelu „Der Schütthof" w Zell am See. Jest to małe turystyczne miasteczko ulokowane nad jeziorem z widokiem na alpejskie ośnieżone szczyty. Byliśmy spóźnieni, więc nasza obiadokolacja była skromniejsza. Po wieczornej modlitwie, po całodziennym trudzie nadszedł czas wypoczynku, by nabrać sił do dalszej drogi. A droga ta prowadziła przez teren prawie całej Austrii: Innsbruck, Salzburg, Linz i Wiedeń. Tu zetknęliśmy się z niemal polskim klimatem; wydawało się, że roślinność uprawy, zachowania, kultura były podobne. Niestety, znowu zabrakło nam czasu, by zwiedzić kościół na Kallenbergu w Wiedniu. Mimo tych niedociągnięć cel nasz został osiągnięty i z poczuciem dumy powracaliśmy do naszego kraju.

Przez Słowację i Czechy

Dalsza nasza trasa wiodła przez Słowację i Czechy, do Polski wjechaliśmy przez Cieszyn. Następnie, jadąc nocą, pokonaliśmy dalszą drogę mijając Górny Śląsk i kierując się na Jędrzejów, Kielce, Radom. Do Lublina dotarliśmy bezpiecznie i zdrowo dużo po północy dziękując Bogu za szczęśliwy powrót.

KAZIMIERZ PRZYBYŁKO

W tekście wykorzystano fragmenty wiersza autorstwa Bogdana Walasa pt. *Pielgrzymim Szlakiem (Lourdes – Santiago – Fatima)*. Autor był jednym z uczestników naszej wyprawy, wspaniałym towarzyszem podróży, w mojej relacji zawarłem wiele jego uwag, refleksji i wierszowanych fraz, za które serdecznie dziękuję.

HENRYK RADEJ

Włoskie wakacje (1)

Obudziło ją nagłe hamowanie autokaru. Poczuła zimny dotyk szyby na czole i wróciła do rzeczywistości. Zdała sobie sprawę, że są już na autostradzie poza Polską. Nie przyglądała się współpasażerom. Zupełnie ją nie interesowali. Wystarczyło, że i tak miała mętlik w głowie i nie mogła uporać się z własnymi myślami. Nie potrzebowała nikogo ani nowych problemów. O tym, że wyjedzie z Polski pod koniec sierpnia, uprzedzała wszystkich dokoła podczas kłótni i przypadkowych rozmów. Niech wiedzą, że panuje jeszcze nad swoją sytuacją. Nad mężem już dawno nie panowała. Gdy mówiła mu o wyjeździe, odgrażał się:

– Nie strasz, nie strasz, bo twój strach większy od mojego.

A potem coraz częściej wracał do domu pijany, gdyż praca nocnego stróża przy magazynach zbożowych nie należała do zbyt wymagających. Miał rację. Wanda też bała się, choć jeździła już wcześniej do Niemiec i do Włoch. Za każdym razem były to wyjazdy do obcych ludzi i zawsze w charakterze opiekunki do osób starszych. Niemiecki pamiętała ze szkoły i bez trudu przypomniała sobie praktyczne zwroty. Zakupy w markecie nie wymagały wielkiej znajomości języka, płaciła kartą i szybko wracała do domu. Z czasem odważyła się na wyjazd zarobkowy do Włoch. Była zdumiona, jak bez większych trudności chwyciła ten śpiewny język. Duża w tym zasługa Giorgia, którego już samo imię pachniało jak męskie perfumy od Armaniego. Szybko zapomniała o chłodnych i ułożonych Niemcach. Włochy były dla niej gorące pod każdym względem.

Ponad ćwierć wieku temu Wanda ukończyła liceum z dobrym świadectwem maturalnym. Rodzice jednak bardziej liczyli na jej szybką karierę w kombinacjach gminnych niż po jakichkolwiek studiach. Matura wystarczyła najpierw do pracy w sklepie, a rok później ulubiona matematyka przydała się jej w kasowym okienku banku spółdzielczego. W nim poznała Michała, młodego wówczas rolnika z sąsiedniej gminy. Dziś sama dziwi się, że uległa wtedy jego gadce i młodzieńczym bajerom. Pamięta, że było coś wyjątkowego w jego głosie – w okienku widziała najczęściej jego zawadiacką twarz i słyszała ten głos, od którego miękły nogi, a myśli zwalniały bieg. Po trzykroć przeliczała wtedy pieniądze i za każdym razem otrzymywała inny wynik. Michał uśmiechał się pod delikatnym jeszcze wąsem, a potem mówił, że i tak za dużo mu naliczyła i za nadwyżkę zapraszał na lody. Kiedyś dała się namówić i tak została żoną rolnika na hektarach z długiem bankowym. Musiała zmienić pracę w kasie na niekończącą się krzątaninę w domu, w polu, przy dzieciach i opiekę nad mężem. Po kilku latach jego ujmujący głos zmienił się z powodu nałogowego palenia papierosów i picia wódki, a wąsy pożółkły od nikotyny. Zmienił się też charakter Michała. Teraz sama – najczęściej po niedzielnej mszy – z trojgiem dzieci chodziła na lody. Michał stronił od kościoła, widziano go tam tylko od wielkiego święta.

Wanda obojętnie przyglądała się mknącym w przeciwną stronę autom. Wyrzucała ze świadomości wspomnienia, w których nie było wiele przyjemności. Pojawiająca się od czasu od czasu myśl o Giorgiu porządkowała chaos w jej myślach. Był w wieku jej męża, ale wyglądał na młodszego, pomimo przebłysków siwizny w bujnych włosach. Przekornie, jakby po angielsku, wymawiał jej imię Łonda i uśmiechał się bielą zadbanych zębów. Mieszkał w Tivoli z matką, która potrzebowała kobiecej opieki. Niestety, żona Giorgia uciekła przed laty z innym mężczyzną do Ameryki, zabierając ze sobą ich jedyną córkę, kiedy ta była jeszcze dzieckiem. Rodzinny majątek i dobra praca w korporacji pozwalały Giorgiowi nadal żyć na odpowiednim poziomie i dbać o matkę. Ta okazała się być dostojną, schorowaną siniorą, skazaną na łóżko w zaciemnionym salonie lub na krótkie przejażdżki wózkiem inwalidzkim po niewielkim ogrodzie. Giorgio – z wyjątkiem weekendów – znikał po szybkim śniadaniu, dojeżdżając do pracy w Rzymie. Czasem nie wracał na noc. Matka była spokojna, ale co jakiś czas prosiła Wandę, aby była dobra dla Giorgia. Nie wiedziała, jak ma to rozumieć? Przyjeżdżała tu do pracy przy niej, a nie do Giorgia. Domyślała się, że w takim Rzymie stać go na kobietę, o jakiej zamarzy. Ona z resztkami słowiańskiej urody i tuż przed pięćdziesiątką nie jest już żadną atrakcją ani konkurencją dla nikogo. Jednak myliła się.

→

Autor Henryk Radej w rzymskiej scenerii, (fontanna di Trevi)

Wczoraj pakowała rzeczy w pośpiechu. Chciała wykorzystać całodobową nieobecność męża i zniknąć bez pożegnania. Jednak kłótliwi teściowie zajmujący parter ich domu, których jedynie tolerowała, zaczęli się czegoś domyślać. Bacznie obserwowali, jak wynosi za stodołę worki pełne śmieci, a potem rozpala z nich wielkie ognisko. Nie chciała, aby pod jej nieobecność grzebali w materialnych śladach z jej przeszłości. Najchętniej podpaliłaby tu wszystko i bez oglądania się wyjechała na zawsze. Ale to także dom ich dzieci. Szczęście od Boga, że chłopcy wyrwali się stąd i próbują ułożyć sobie życie na własną rękę. Została Amelka, ale ona jeszcze nie wie, czy chce pracować na wsi przez resztę życia. Wanda patrzyła, jak ogień zamienia w popiół jakieś książki, stare gazety, pocztówki i mnóstwo ubrań, które trzymała jedynie dla sentymentów. Pod wieczór do jednej walizki wrzuciła kilka niezbędnych, typowo damskich rzeczy, zdjęcia dzieci i to, co zabierała zawsze dla Giorgia – duże opakowanie nałęczowskich śliwek w czekoladzie, a dla jego matki – pudełko toruńskich pierników w kształcie serca. Do reklamówki włożyła kilka jabłek i dwie kanapki. W ostatniej chwili wsunęła jeszcze buteleczkę nalewki wiśniowej to z myślą o sobie, aby przez drogę spać jak najdłużej.

Podczas krótkiego postoju na parkingu w Austrii próbowała z komórki dodzwonić się do Giorgia, ale jego numer był niedostępny. On wie, że Łonda przyjeżdża jutro, ale tak bardzo chciała usłyszeć właśnie teraz jego głos. Wysłała tylko krótki SMS, że będzie w Rzymie tam, gdzie czekał na nią ostatnio. Potem zapadła długa noc przeplatana jawą i półsnem z męczącym warkotem silnika w tle. Jechali przez Alpy, ale niewiele widziała. Pokonywali tunel za tunelem, a jej wydawało się, jakby na nowo wpadała w kolejną czeluść swojego życia, z której ucieczka tylko do przodu. Usiłowała zasnąć, ale zanim nadszedł świt, skończyła się słodka nalewka. Nie było też żadnej odpowiedzi od Giorgia. Dopiero teraz dopadł ją mocny sen, a wraz z nim senne majaki. Widzi swoją wioskę, pola jeszcze przed żniwami i siebie zaplataną w gęstym zbożu poprzerastanym krzakami. W pobliżu słyszy głos swoich dzieci, szuka ich wzrokiem, już są tuż tuż, w zasięgu jej ręki, ale nie może ich chwycić. Coś trzyma ją za nogi, nie pozwala postawić kroku. Dzieci oddalają się, za chwilę spadną ze skarpy, a ona jak spętana, tak strasznie się męczy. Boże!

Obudził ją własny krzyk, który uwiązł w gardle. Była spocona i wystraszona. Ostre słońce świeciło jej prosto w twarz. Zaciągnęła okienną zasłonkę i mimowolnie zaczęła się modlić. Zawsze rano przynajmniej żegnała się i odmawiała w myślach Zdrowaś Maryjo. Teraz dołożyła jeszcze Ojcze nasz i Pod Twoją obronę, myśląc o dzieciach, czy aby nic im się nie stało. Wprawdzie nie wierzyła w sny ani w horoskopy, ale niepokój pozostał. Może coś złego spotkało Giorgia? Dlaczego milczy? Jeszcze kilka

długich godzin musi sama cierpliwie poczekać. Potem pojadą do jakiejś knajpki na spóźniony obiad i będą rozmawiać ze sobą za te wszystkie miesiąca niewidzenia. Ciekawe, czy choć trochę się zmienił? Czy nadal kładzie na włosy ten mokry żel, w którym wygląda, jakby dopiero wyszedł spod prysznica? Skarciła siebie za zbyt frywolne myśli i znów zaczęła martwić się o swoje dorosłe dzieci. Na pewno zadzwoni do nich, ale dopiero z Rzymu, kiedy przyjdzie uspokojenie.

Rzym, jak zwykle, powitał ich zapchanymi ulicami. Kierowca dokonywał cudów, aby ominąć korki i krążyli jakimiś bocznymi ulicami. Z zamyślenia wyrwał Wandę sygnał telefonu. SMS zawierał tylko trzy słowa: Będę. Poczekaj. Giorgio. Odpisała krótkie bene i zapatrzyła się na rzymskie ulice, na świat jakże inny od polskich realiów. Zaczęła przekonywać siebie, że chyba mogłaby tu żyć. Kanapki dowiozła nienaruszone, pragnienie gasiła kolejnym, soczystym jabłkiem z własnego sadu. Na dworcu skorzystała z łazienki, obmyła twarz i nieco się ogarnęła. Wolnym krokiem, ciągnąc za sobą walizkę na kółkach, opuściła to hałaśliwe miejsce. Dwie uliczki dalej był niewielki skwer z ławkami. Usiadła na jednej z nich. To stąd zawsze ją zabierał. Tym razem jeszcze go nie było. Czekała prawie godzinę, zanim przyjechał. Obok niego w aucie siedziała kobieta. Giorgio wysiadł sam. Wanda poczuła, że jak w porannym śnie jej nogi stają się niewładne i chyba nie wstanie z ławki. Ostatkiem sił dźwignęła się, kiedy stanął przed nią. Był w ciemnych okularach i wyglądał odświętnie. Uścisnął lekko dłoń Wandy i zaprosił do auta. Po jego twarzy błądził zaledwie jakiś smutny uśmiech. Kobieta w aucie wyglądała najwyżej na trzydzieści lat. Kiedy podeszli, wyszła na brzeg jezdni. Zdjęła ciemne okulary, bez których wyglądała jeszcze młodziej.

– To jest Priscilla, moja córka. A to Łonda, opiekunka mamy – wyrecytował Giorgio. – Moja matka zmarła trzy dni temu. Jedziemy prosto z cmentarza. Nie zawiadamiałem cię, gdyż obawiałem się, że z tego powodu możesz nie przyjechać – dorzucił półgłosem.

Wanda znów poczuła lekkie drżenie w kolanach. Dziewczyna ucałowała ją w policzek i uśmiechnęła się. Coś jeszcze grzecznościowo dorzuciła po angielsku. Wanda znów nie mogła pozbierać myśli zaskoczona śmiercią siniory i nową znajomością. Powiedziała tylko, że jest jej przykro. Zapadło dłuższe milczenie, w czasie którego Giorgio wrzucił jej walizkę do bagażnika. Zapytał jeszcze, czy chcą się czegoś napić po drodze. Obie podziękowały. Wtedy zaproponował powrót do Tivoli.

Przez drogę prawie nie rozmawiali. Wszyscy czuli się zmęczeni nieoczekiwanym przebiegiem zdarzeń. Na pewno nie będzie wymarzonej knajpki – pomyślała Wanda i nagle poczuła się niepotrzebna. Dyskretnie sięgnęła po chusteczkę i ukradkiem dotykała nią oczy zachodzące łzami.

W domu krzątali się jacyś obcy ludzie. Zanim usiedli do stołu, Giorgio przyniósł Wandzie czarny, koronkowy szal, którym nakryła swoją kolorową bluzkę. Obiad podawali kelnerzy z miejscowej restauracji. Całą trójką mogli wybrać się do dobrego lokalu na mieście, ale Giorgio postanowił, że w tak wyjątkowej sytuacji zjedzą w dużym salonie, który Priscilla pamiętała z dzieciństwa. Gdy przyszła pora na deser, Wanda położyła na stole przywiezione z Polski słodycze i rozpłakała się na dobre. W szczerych łzach wylewała z siebie wszystkie żale, jakie nosiła ostatnio w sercu. Żal jej było siniory, że odeszła z tego świata, żal Giorgia, którego zapewne więcej nie zobaczy i żal jej samej, zmęczonej życiem na polskiej wsi, żal pijanego męża i synów, co się tułają poza domem. Zapewne →

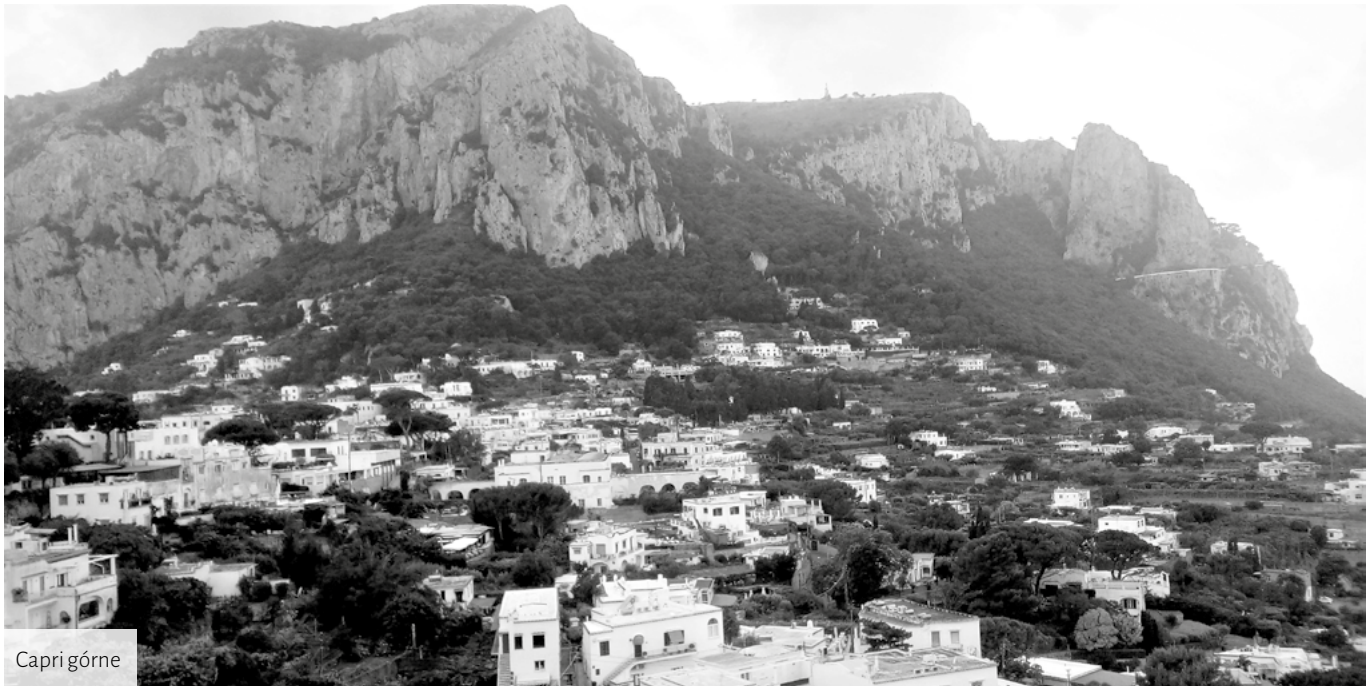

Capri górne

wyjedzie stąd za dwa, trzy dni, bo nic tu po niej. Poprosiła Giorgia, aby jutro mogła pojechać z nim na cmentarz i pomodlić się nad grobem matki. Był wyraźnie wzruszony zachowaniem Wandy. Zanim wstali od stołu, położył przed nią urzędową kopertę z jej imieniem i nazwiskiem. Wanda ze zdziwieniem patrzyła na zadrukowany blankiet. Było to zawiadomienie od notariusza, aby następnego dnia wraz z dokumentem tożsamości stawiła się pod wskazanym adresem biura, gdzie w obecności spadkobierców nastąpi otwarcie testamentu siniory. Na koniec dowiedziała się, że Giorgio od kilku lat prowadził z córką korespondencję ukrywaną w tajemnicy przed jej matką. Wierzył, że kiedyś ją odzyska i Priscilla wróci do Tivoli. Tego było już za wiele na skołataną głowę Wandy. Przeprosiła gospodarzy i powiedziała, że musi pójść odpocząć.

Spała ponad dwanaście godzin. Kiedy żyła siniora, Wanda wstawała przed piątą rano. Teraz było już po dziewiątej, więc odespała wreszcie ostatnie noce. Przeżegnała się i dziękowała Bogu za to, co ją tu spotykało przez ponad trzy lata. Trochę obawiała się dzisiejszej wizyty u notariusza, tak łatwo mogła się ośmieszyć czymś niestosownym. Ale jeśli zechcą choć tylko podziękować jej oficjalnie za opiekę nad siniorą, to wystarczy. Punktualnie w samo południe byli na miejscu. W kancelarii notarialnej byli już jacyś obcy ludzie. Wśród nich Wanda dostrzegła zakonnika, kuzynów Giorgia i starszą panią w żałobie. Jak było do przewidzenia, głównymi spadkobiercami zostali Giorgio i jego córka, którzy odziedziczyli posiadłość i jakieś kosztowności. Pozostali obdarowani zostali znacznymi kwotami pieniędzy, zwłaszcza zakonnicy prowadzący sierociniec i miejscowa parafia. Kiedy usłyszała swoje nazwisko, nie rozumiała dokładnie, co czyta notariusz. Na koniec dotarło do niej tylko mila euro. Szepnęła cicho gracje i usiadła speszona. Giorgio podsunął jej karteczkę z napisaną odręcznie kwotą dwudziestu tysięcy euro. Spojrzała na niego ze zdziwieniem. Przecież za opiekę otrzymała już stosowne wynagrodzenie. Tyle pieniędzy nie miała w życiu. Bała się, że za chwilę zemdleje. Przez głowę przemknęła jej myśl, że powinno wystarczyć na remont domu i wesele choćby najstarszego syna. Szybko skarciła siebie w myślach za tę niestosowną frywolność. W tym czasie wszyscy obdarowani długo ściskali ręce Giorgia, wyrażając się ciepło o jego matce. Wanda stała z boku nadal oszołomiona. Czuła się jak Kopciuszek z bajki, który przypadkowo znalazł, a nie zgubił złoty pantofelek. Godzinę później, kiedy stali nad grobem siniory, Giorgio powiedział jakby do siebie, że jego matka była wspaniałą kobietą i zawsze miała wielkie serce dla innych. Po modlitwie Wanda położyła pod marmurowym krzyżem wianuszek z różowych nieśmiertelników kupiony w przycmentarnym sklepiku i dyskretnie odeszła na bok.

W drodze powrotnej wstąpili do zacisznej restauracji. Wanda wspomniała coś o swoim wyjeździe. Prawie natychmiast usłyszała zapewnienie, że może zostać przynajmniej tydzień, gdyż oboje z Priscillą planują wyjechać na krótkie wakacje. Powiedziała wtedy nieśmiało, że następne mogliby spędzić w Polsce. Giorgio był autentycznie zaskoczony jej propozycją i po namyśle oświadczył, że na pewno wezmą to pod uwagę. Chciała jeszcze powiedzieć coś o zaproszeniu na ślub syna, ale w porę ugryzła się w język. Nie wypada mówić o weselu w dzień po pogrzebie. Przeprosiła ich na chwilę i wyszła na taras. Wreszcie mogła zadzwonić do dzieci. Gdy usłyszała głos Amelki, spłynęło na nią uspokojenie. Zaledwie trzy dni minęły od jej wyjazdu z domu, a tak wiele się wydarzyło.

Tej nocy Wanda nie mogła zasnąć. Pokój, który miała do dyspozycji mieścił się w północnej części willi i nie był nagrzany od słońca, ale jej wydawało się, że od każdej ściany bije żar, który czuje na policzkach. Przeszkadzały jej hałasujące cykady. Dźwięki, jakie wydawały, brzmiały dla niej jak odgłos jakiejś piekielnej maszyny mielącej żwir. Powracały do niej obrazy z obu ostatnich dni. Analizowała je drobiazgowo, przywołując miejsca i twarze, na nowo słyszała rozmowy. Zastanawiała się, czy aby dobrze zrobiła, nie mówiąc dzieciom całej prawdy o swojej sytuacji tutaj. Nie powiedziała im, że siniora nie żyje,

Capri, Instytut Filmowy

Koloseum

a ona nie będzie szukać innego zajęcia i że wróci niebawem do Polski z pokaźną sumą na koncie. Póki co pieniądze są tylko na papierze, a konta jeszcze nie założyła. Ma na to prawie pół roku, a w tym czasie spadek może odrzucić albo przyjąć z jednoczesnym potrąceniem kwoty podatkowej. Te zawiłości Giorgio wyjaśnił jej, nie bez trudu, dopiero wieczorem w domu z pomocą komputera. Na pewno musi założyć sobie indywidualne konto, bo to gospodarcze, z którego korzysta mąż, nie wydaje się jej bezpieczne. Michał, jako upoważniony dysponent, mógłby je znacznie uszczuplić, pobierając z niego „co nieco", ku radości kolegów i właściciela pobliskiego baru. Do męża nie dzwoniła, bo trudno się z nim rozmawia, zwłaszcza gdy jest „na czujce" przy magazynach. Pomysł z wyremontowaniem domu i weselem starszego syna, które niebawem mogłaby sfinansować, wydał się jej najlepszym pomysłem na nadchodzący czas. Powinna też zamówić niejedną mszę świętą o spokój duszy siniory, a oprócz tego modlić się za nią do końca życia za tak nieoczekiwane wsparcie.

Jeszcze raz przyznała sobie rację, że ze wszystkich spraw rodzinnych najbardziej udały się im dzieci. Paweł i młodszy Marcin nie wzięli przykładu ze złych nawyków ojca, ale mimo to szanują go. Ich pracowitość i poczucie humoru czasami przypomina jej lata młodości, gdy z Michałem dorabiali się wszystkiego, ciężko pracując, ale też radowali się szczerze z najmniejszego powodzenia. Zanim mąż zamknął się w sobie, chodzili na wiejskie potańcówki, na wesela, a od święta – w gości do kuzynów. Synowie zrobili matury, a potem studia i zaczęli zarabiać na siebie, nie wyjeżdżając z Polski. Najmłodsza, Amelka, wprawdzie jest tylko po technikum i bez matury, ale znalazła pracę w delikatesach w Zamościu i dojeżdża tam, mieszkając nadal w rodzinnym domu. Przy okazji pomaga ojcu i dziadkom, a pod nieobecność matki ma oko na wszystko. To ją Wanda poprosiła, aby poinformowała ojca, że dojechała tu szczęśliwie. Amelka popłakała się, słysząc głos matki.

– Jest tak samo wrażliwa jak ja w jej wieku. Zapewne za dużo obowiązków na nią nałożyłam – westchnęła głośno. – Koniecznie muszę jej to jakoś wynagrodzić i nie siedzieć tu za długo. Innej pracy nie będę szukać. Tylko… co ja tu będę robić i jak długo? – wróciło do niej pytanie z poprzedniego dnia.

Tego Wanda jeszcze nie wiedziała. Resztką zasypiającej świadomości przyrzekła sobie, że gdy wróci, bardziej zadba o Amelkę i wreszcie zadba też o siebie – zacznie chodzić do fryzjerki i wyleczy sobie zęby. A Michałowi... Michałowi zafunduje porządne protezy, aby nie wstydził się uśmiechać do ludzi pełną gębą i opłaci mu wczasy ze skuteczną terapią odwykową. Zapewne nie będzie wyglądał jak Giorgio, ale może choć trochę zmieni swoje usposobienie i uwolni się od wiejskich pijaczków. Nagła myśl o Giorgiu znów wytrąciła ją ze snu.

– Boże, co ja robię w tym obcym domu z samotnym mężczyzną i jego córką? – zapytała bardziej siebie niż Pana Boga. – Jakie to wszystko dziwne. I Bogu dzięki, że w tym czasie zesłał Priscillę... A teraz noc spokojną i bezpieczną ześlij, Panie… – bała się nawet myśleć, co by to było, gdyby zostali tylko we dwoje? Czy byłaby na tyle silna, gdyby Giorgio zechciał szukać u niej pocieszenia? – Co też roi się w mojej głowie! – skarciła siebie, żegnając się, aby odpędzić złe myśli. Po chwili podeszła do drzwi i przekręciła blokadę. Nieco uspokojona wróciła do łóżka i wreszcie zasnęła.

HENRYK RADEJ

Zbigniew Furgał

Przysłowia i powiedzenia lubelskie

Lublin winem...

Toruński piernik,
a wódka gdańska
warszawski trzewik
lubelska panna...

Ten króciutki utwór trafił między przysłowia, widnieje w *Nowej księdze przysłów polskich*, spisanej przez prof. Juliana Krzyżanowskiego.

Lubelskie panny szeroko zasłynęły w kraju, a choć co należy zaznaczyć z całą stanowczością – ceniono je za urodę, to bezlitośnie pokpiwano z charakterów. W tejże Księdze znajdują się i takie frazy: „Lublinianka ładna, tkliwa, ale leniwa" czy „Lublinianka składna, zręczna ale niewdzięczna".

W XIX-wiecznej *Księdze przysłów polskich* Samuel Adalberg, zamieścił zabawny czterowiersz:

Łęczna złotem
Szczebrzeszyn błotem
Lublin winem
Kock rabinem

Przysłowie zrodziło się przed wiekami. Dziś Szczebrzeszyn znany jest szeroko z powiedzonka o chrząszczu brzmiącym w trzcinie. A w XIX wieku powiadano często, iż „nie od Szczebrzeszyna świat się zaczyna i w Wielączy (nieopodal Zamościa) świat się nie kończy". W Kocku nie pamiętają już rabinów, niewielu też wie, iż mieszkał tu w XIX wieku sławny na cały świat cadyk Menachem Mendel. Ten sam, o którym Lejzorek Rosztwaniec – bohater słynnego dzieła Ilji Erenburga – powiadał, że cadyk ten czytał nieznośnie mądre księgi i przez dwadzieścia cztery godziny na dobę nad tymi księgami rozmyślał.

Czy w Łęcznej pamiętają o tutejszym złocie? Jeszcze niedawno węgiel, z którego słynie dziś Łęczna, nazywany był czarnym złotem. Kopalnia Bogdanka ma się wprawdzie nieźle, ale nawet największy optymista nie powie, że Łęczna ciągle na złocie stoi. Czarne złoto bowiem wyraźnie straciło swój niegdysiejszy blask. A kiedyś faktycznie płynęła tu struga złota. Lata świetności Łęcznej przyszły w XVII wieku, gdy podupadł zniszczony wojnami Lublin. Na słynne łęczniańskie jarmarki zjeżdżało po kilkanaście tysięcy ludzi z różnych stron świata. No i przede wszystkim spędzano tu rok rocznie – z Wołynia, Podola, Ukrainy – tysiączne stada wołów, owiec, trzody chlewnej, gospodarskich i rasowych koni. Wielki boom handlowy trwał blisko wiek, bez przesady można mówić o międzynarodowej pozycji handlowej Łęcznej, obroty jarmarków kształtowały się w niebagatelnej wysokości około 800 tysięcy rubli. Niestety, epoka jarmarcznej świetności podlubelskiej metropolii zamknęła się ostatecznie.

Parę wieków wcześniej zaczęły się „winne" lata Lublina. Były to czasy Trybunału, który w roku 1578 powołał król Stefan Batory. Trybunał to najwyższa instancja sądowa dla szlachty w sprawach cywilnych i karnych, rozpatrująca apelacje od wyroków sądów ziemskich i grodzkich. Do Lublina ściągała swarliwa szlachta z terenów małopolski i województw południowo-wschodnich. W samym mieście nastąpiło ożywienie gospodarcze i polityczne, wzniesiono wiele okazałych pałaców magnackich, dworów szlacheckich i – rzecz jasna – zajazdów, gospód, karczem. Cieszono się w nich z trybunalskich sukcesów, opijano przegrano, obmyślano kruczki prawne. Dowody, że nie żałowano sobie w trybunalskim grodzie wina zachowały się w literaturze, bo przecież do Trybunał ściągali także poeci, pamiętnikarze, publicyści. Ale ten piękny czas też musiał minąć. Nadszedł rok 1794 i odbyła się ostatnia sesja Trybunału, lubelski trybunał przeszedł do historii i legendy. Jej ślad pozostał także w przysłowiach. W minionych wiekach popularne było powiedzenie: „W jego głowie, jak w lubelskim trybunale!".

Aby żart był zrozumiały, musi odwoływać się do faktów powszechnie znanych. Kontekst w przytoczonych wierszykach był zrozumiały, dziś jest mniej czytelny, dlatego pokuszono się o wyjaśnienie. W niektórych sytuacjach, dla wielu dawnych powiedzeń czy przysłów, trudno o kontekst.

Dlatego pewien passus w słynnym piśmie satyrycznym „Kolce", w jednym z numerów z roku 1886, budzić musi dzisiaj niemałe zdumienie. Przy opisie Płocka, niedbalstwa i niechlujstwa płocczan, leniwych urzędników, niesolidnych rzemieślników, kupców-oszustów pada zwrot: „A cóż to za podłe miasto, drugi Lublin, czy co?".

Lubelska podłość oszustwa, były powszechnie znane? Czyjąś niegodziwość, nikczemność najłatwiej było opisać czy przedstawić, porównując z lubelską? ■

SL01, 2011 r.

Dziennik konsumenta 500+, 2018 r.

Obiekty, 2013 r.

Krąg, 2017 r.

Kręgi, 2013 r.

Odwrócona wartość, 2017 r.

365, 2014 r.

Relief 03, 2015 r.

Paper Heaven, (detal) 2018 r.

Dywan, (detal), 2018 r.

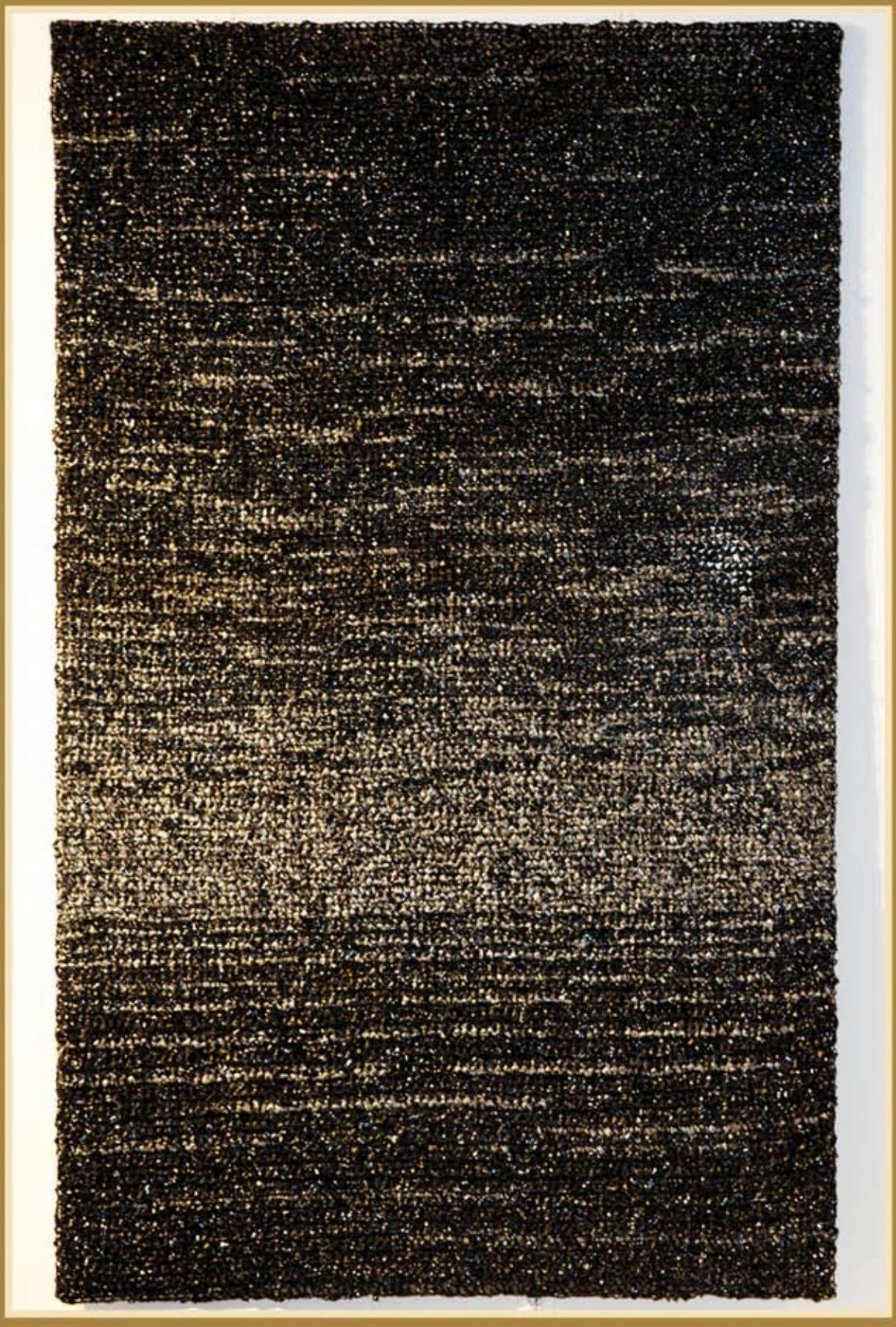

ISSN 1733-4330
9 770173 343303 87